Lynn V. Andrews

Szamanka

Tłumaczył Jerzy Moderski
Tytuł oryginału Medicine Woman

Projekt graficzny okładki Jacek Piefrzyński
Redaktor Bogusław Jusiak

Książkę dedykuję Davidowi Carsonowi — prawdziwie niewidzialnemu

ISBN 83-86530-54-5

Zysk i S-ka Wydawnictwo ul. Wielka 10, 61-774 Poznań x 52-63-26, tel. 53-27-67, 53-27-51

PODZIĘKOWANIA
Pozostaję szczególnie wdzięczna D. H. Latimerowi, który okazał się już wilkiem-przewodnikiem wielu autorów. Wyrażam też głęboką wdzięczność i szacunek memu wydawcy, Claytonowi Carlsonowi, co jest samo przez się zrozumiałe. Szczególne podziękowania należą się także Rosalyn Bruyere — prawdziwej siostrze, która zna swój cień.
Dziękuję również moim drogim nauczycielom indiańskiej magii, bez których książka ta nigdy nie zostałaby napisana.

Szaman nic istnieje bez szamanki. Szaman otrzymuje moc od kobiety, i zawsze tak było. Szaman jest jej narzędziem. Choć może wydawać się, że jest inaczej, taka jest prawda.
Agnes Whistling Elk

Złocisty księżyc wzeszedł nad dalekimi wzgórzami. Niebo było piękne i ogromne. Z oddali dobiegała żałobna pieśń kojotów. Siedziałam przy ognisku w towarzystwie starej Indianki. Miała twarz pomarszczoną jak wyschnięte jabłuszko, wystające kości policzkowe i długie warkocze opadające poniżej ramion. Ozdobny naszyjnik szamanki odcinał się na tle kraciastej koszuli Pendletona.

-— Twoje życie jest ścieżką — mówiła, a jej toporny akcent początkowo utrudniał zrozumienie. — Chcący czy niechcący, szukałaś tego w swoich widzeniach. To dobrze, kiedy ma się wizję, sen.

Było w niej coś pociągającego. Jej osobowość zdawała się zmieniać bez ustanku. Mimo pewnych trudności z angielską wymową, zaskakiwała mnie głęboką erudycją. Uderzające było też jej zachowanie, pełne niezwykłej godności.

— Matka ziemia należy do kobiety, nie mężczyzny. To kobieta ma łono.
Tak przemawiała do mnie, zanim jeszcze zostałam jej uczennicą.
Jest szamanką heyoka. Los sprawił, że żyłam blisko niej przez siedem lat. Książka ta jest opisem mojego pobytu w jej dziwnym i pięknym świecie. Stanowi hołd oddany mocy tej kobiety — mocy, której byłam świadkiem.

Spaceruję w rozległym pejzażu. Prerię porastają rzadkie krzewy szałwi i niskie cedrowe zarośla. Myślę o samotnej dolinie we wnętrzu księżycowego krateru. W ciszy tego pustkowia natrafiam na ozdobną szafkę. Jest niezwykle pięknej roboty. Przez przezroczyste, szklane drzwiczki widzę jej wnętrze. Po lewej stronie spogląda na mnie zza szyby twarz kobiety — twarz pierwotnej, amerykańskiej Indianki. Po prawej widzę granatowoczarnego kruka. Scena przywodzi mi na myśl obrazy Magritte 'a.
Głowa kobiety zaczyna nagłe kołysać się w przód i w tył— miarowo, niczym metronom.
— Ile razy mam ci powtarzać — napomina mnie, — że koszyk ślubny nie jest na sprzedaż. Powinnaś na niego zasłużyć. Musisz zasłużyć.
Strofuje mnie, a moją uwagę przyciąga w tym momencie błyszczący wzrok kruka. Jego ciało zaczyna obracać się w stronę głowy kobiety i poruszać w tym samym metronomicznym rytmie.
Patrzę osłupiała. Kruk zaczyna parodiować głos Indianki. Oba glosy brzmią tak groźnie i natrętnie, że przenika mnie dreszcz.

Widziałem tylko jeden koszyk ślubny w moim życiu. Wiem przypadkowo, że koszyk ten wciąż istnieje- Gdzie,tego nie wiem.

Hyemeyohis Storm

Czy jesteś już gotowa do wyjścia? — spytał niecierpliwie Ivan.
- Jeszcze nie — odpowiedziałam. — Może mi nie uwierzysz, ale myślę, że znalazłam coś ciekawego.
Wybrałam się do Grover Gallery na otwarcie wystawy Stieglitza w towarzystwie mego przyjaciela doktora Demetriva, psychiatry. Galeria była zapełniona, jak zwykle przy takich okazjach, patronami sztuki i pretensjonalnymi aspirantami do wyższej kultury, ale na to

byłam przygotowana. Nie to mnie nużyło. Raczej sama ekspozycja, statyczna i bezbarwna.

Trwało to do chwili, gdy ujrzałam tę fotografię.

— Zaczekaj chwilkę, Ivan, to nie może być Stieglitz — powiedziałam, ciągnąc go za rękaw. Staliśmy przed zdjęciem staroindiańskiego ślubnego koszyka. Ivan rzucił przelotne spojrzenie, nadal znudzony, wciąż ciągnący ku wyjściu.

— Fascynujące — powiedziałam, przyglądając się bliżej, — ale zupełnie nie pasuje do Stieglitza. — Wpatrywałam się w koszyk, który coraz bardziej przykuwał moją uwagę. Miał zawiły ornament, przypominający delfina z wężem albo z błyskawicą. Choć byłam kolekcjonerką sztuki Indian amerykańskich, nigdy do tej pory nie widziałam niczego, co dałoby się z tym porównać. Nawet w samym splocie koszyka było coś niezwykłego. Nie potrafiłabym orzec, czy był pleciony, skręcany, czy może zrobiony leszcze inaczej. Przyciągała mnie jego doskonałość. Trudno powiedzieć, skąd pochodził, ale na pewno istniał już w jakiś sposób — wcześniej — w mojej podświadomości. Ivan nadal miał niezadowoloną minę i ciągle zerkał w stronę drzwi. Odbitka formatu 8 x 10 miała tajemniczy odcień sepii, czego nigdy nie przypisa- łabym Stieglitzowi. Zastanawiałam się, w jakim okresie ją zrobił. Zahaczyłam wzrokiem o małą, schludną karteczkę pod zdjęciem, wypatrując daty. Była tam, oczywiście, ale spotkała mnie niespodzianka. Wypisane nazwisko fotografa brzmiało McKinnley. Maleńka wyspa w morzu Stieglitzów. Ivan patrzył na mnie z coraz większą niecierpliwością.,

— Słyszałeś, kiedy o fotografie nazwiskiem McKinnley? — spytałam.

— Nie przypominam sobie — odpowiedział, ciągnąc mnie za rękę. - - Widzę tu natomiast całą kupę snobów i pseudointelektualistów, więc wynośmy się stąd i chodźmy na drinka.

— Ale ja chcę tę fotografię -- opierałam się.

—Więc przyjdź tu jutro i załatw to spokojnie —rzucił Ivan i ruszył nagle do wyjścia.

— Pozwól mi, chociaż zapisać nazwisko. — Grzebałam nerwowo w torebce, szukając bezskutecznie pióra. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Ivana, jak machał do mnie zza szyby. Z westchnieniem zdecydowałam, że zapamiętam „Ślubny koszyk" i „McKinnley". Pobiegłam, żeby dopędzić Ivana.

Tej samej nocy zaczęły się dziwne wizje. Nie mogłam zasnąć. Słyszałam pohukiwania sowy w gałęziach wielkiego orzecha za oknem mojej sypialni. Otuliłam twarz kołdrą i leżałam bez ruchu. Kiedy zaczynałam zasypiać, pojawiły mi się w półśnie obrazy ślubnego koszyka, tajemnicze i mroczne. Znienacka wizja rozwiała się, zmieniając w dźwięk - - dziki łopot skrzydeł na granicy świadomości. Zbudziłam się gwałtownie i usiadłam przerażona na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Ze złością odrzuciłam przykrycie i pobiegłam do łazienki. Włączyłam światło i poczęłam hałaśliwie przerzucać zawartość apteczki, co rusz podejrzliwie zerkając w lustro, czy aby niepojawi się jakiś cień za moimi plecami. Butelka aspiryny wymknęła mi się z rąk i rozprysła na drobne kawałki na podłodze. Kiedy schyliłam się, żeby pozbierać szkło i tabletki, rąbnęłam się w głowę.

- Niech to diabli! wyrwało mi się.

Przełknęłam łyk alka-seltzera i czmychnęłam z powrotem do łóżka. W pokoju było ciemno, tylko odblask księżyca tańczył po mojej twarzy. Pomyślałam o Anais Nin, bohaterce opowieści, która zasnęła przy pełni księżyca, drżąc i przewracając się w jego niepokojącym blasku, aż utraciła duszę. Gdy powtórnie zapadłam w sen, za oknem znów pohukiwała sowa, a ślubny koszyk majaczył przede mną, tym razem trzymany przez starą Indiankę, która wyciągała go w moją stronę i wpatrywała się we mnie oczyma jak polerowane lusterka. Wizja utrzymywała się, póki nie zasnęłam z wyczerpania.

Następną rzeczą, która do mnie dotarła, był dzwonek telefonu. Był ranek.

— Halo —- powiedziałam, jeszcze nie całkiem rozbudzona.

— Z panią Lynn Andrews, proszę. Grover Gallery, dzwonimy w odpowiedzi na wczorajszy telefon.

—Tak, to ja, we własnej osobie. Zostawiłam wczoraj wiadomość dotyczącą fotografii ślubnego koszyka, którą widziałam na wystawie Stieglitza. Czy moglibyście zatrzymać ją dla mnie?

— Ślubny koszyk, mówi pani?

—Tak, indiański koszyk ślubny, sfotografowany przez McKinnleya, o ile pamiętam. Nawet nie jestem pewna. Myślę, że to był McKinnley.

— McKinnley?

— Tak, nie. Stare zdjęcie jakiegoś fotografa.

—Pozwoli pani, że sprawdzę. — Połączenie zostało przerwane. Sygnał brzęczał w słuchawce. Objęłam rękami bolącą głowę. Kilka minut później telefon zadzwonił znowu.

— Pani Andrews?

_ Tak.

— Nie mamy takiej fotografii ani pod nazwiskiem McKinnleya, ani żadnego innego autora.

-Co to znaczy, nie macie fotografii? — Wyprostowałam się nagle, zaalarmowana.

— Nie ma w naszym spisie żadnego śladu indiańskiego ślubnego koszyka, pani Andrews. — Usłyszałam wyraźne zniecierpliwienie w jej glosie.

— Ależ to niemożliwe. To znaczy, musiała zajść jakaś pomyłka. Zaraz tam będę. Dziękuję.

Czułam, że ogarnia mnie wyraźna obsesja. Przepychałam się samochodem w stronę bulwaru La Cienega, wyczerpana po przeżyciach ostatniej nocy, otumaniona zamieszaniem, jakie wywołał poranny telefon, i pełna pogardy dla nieudolności w tak prostej sprawie, jak prowadzenie katalogu. Zaparkowałam przed wejściem i zamaszyście wkroczyłam do galerii. Obszerne białe wnętrze i obfitość wiszących na ścianach fotogramów spotęgowały moje wzburzenie, podobnie jak scena, która się potem rozegrała. Właściciel galerii podszedł do mnie i zlustrował badawczym wzrokiem moją starą torbę od Gucciego i stojącego na zewnątrz sportowego jaguara. Miał ostre rysy, był sztywny i pretensjonalny.

— Pani Andrews?

— Tak. Dzwoniłam w sprawie fotografii ślubnego koszyka. Widziałam ją tutaj wczoraj wieczorem. To był McKinnley. Mój głos zabrzmiał obco przez ściśnięte gardło.

—Pozwoli pani, że przerwę. Przede wszystkim proszę usiąść i napić się herbaty. Ze śmietanką? Z cukrem? Doskonale. — Opuścił pomieszczenie, nie czekając na moją odpowiedź.
Usiadłam na jedynym meblu, jaki znajdował się w galerii — okrągłej, puszystej, pomarańczowej kanapie w kształcie pączka, z oparciem pośrodku, zaprojektowanej lak, aby w żaden sposób nie dało się usiąść na niej wygodnie. Mężczyzna wrócił z dwiema filiżankami i usiadł wręczając mi jedną z nich. Siedzieliśmy plecami do siebie w pełnej powagi ciszy i popijaliśmy herbatę. Uznałam, że to on powinien przemówić pierwszy. W narastającej paranoi doszłam do wniosku, że ukrył tę fotografię ,aby wyłudzić ode mnie więcej pieniędzy.
- Pani Andrews, to musi być pomyłka. Szukaliśmy w naszych spisach bardzo dokładnie, mamy tylko jedną fotografię McKinnleya. — Przerwał i obrócił się, aby spojrzeć na mnie. Wyciągał przy tym szyję i podpierał się ręką ,żeby nie spaść z kanapy na posadzkę.
- Wobec tego proszę mi pokazać tę fotografię. Podniósł wzrok na biały sufit i wyszedł ponownie.
Jego nieobecność przeciągała się w nieskończoność i byłam pewna, że przygotowuje dla mnie astronomiczną cenę za odbitkę. Siedziałam, skręcając palcami pomarańczowe futro kanapy w małe kulki, i przyglądałam się zdjęciom na ścianach. Maski z fotografii odpowiadały mi złowieszczymi spojrzeniami, niczym czarno-białe echo moich nocnych koszmarów. Wstałam i zaczęłam nerwowo chodzić. Marszand powrócił z niewielką teczką, spojrzał na mnie i powiedział przesadnie słodkim głosem:
Proszę, oto ona, pani Andrews. — Otworzył teczkę na pomarańczowym siedzeniu kanapy i zaprezentował starą fotografię z Little Big Horn, z około 1850 roku. Schwyciłam ją, szukając pod spodem gorączkowo zdjęciu ślubnego koszyka. Teczka była pusta.
Pan kłamie — powiedziałam.
Człowieczek odskoczył do tyłu i wykrzyknął pośpiesznie:
— Powiedziałem już pani, że nie mamy tej fotografii i, ile wiem, nigdy nie mieliśmy. Doprawdy, pani Andrews, wydaje mi się, że posuwa się pani za daleko.
Zdając sobie sprawę z własnej porywczości i braku opanowania, przeprosiłam go, po czym wymknęłam się z galerii. Pojechałam w dół La Cienega, potem zawróciłam w stronę Beverly Hills. Po przyjeździe do domu zaparzyłam kolejną herbatę i osunęłam się na sofę, wyciągając przed siebie zziębnięte nogi. Potem sięgnęłam po telefon i wykręciłam numer Ivana.
— Gabinet doktora Demetrieva — odezwała się sekretarka. —Czym mogę służyć?
—Chciałabym mówić z Ivanem. Tu Lynn Andrews. —- Doktor ma pacjenta. Proszę podać swój numer.
Przekażę, żeby zadzwonił do pani później.
— To pilne. Proszę powiedzieć mu, że jestem na linii.
Sekretarka kazała mi czekać. Szum muzyki w słuchawce drażnił moje uszy.
-— Halo — przemówił znienacka Ivan.
— Ivan, przypomnij sobie ten ślubny koszyk z wczorajszego wieczora. Jakie było nazwisko fotografa?

— Jaki znowu koszyk? Jaka fotografia? Ja mam tu przypadek samobójczego rozstroju nerwowego, więc proszę, pośpiesz się, Lynn.
—Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale muszę się czegoś dowiedzieć o tej fotografii w galerii. Wczoraj wieczorem, nie pamiętasz?
—Nie pamiętam żadnej fotografii ani żadnego koszyka — stwierdził nieodwołalnie. — A to była wystawa Stieglitza. Nie podoba mi się, że przeszkadzasz mi w pracy
—Ależ pokazałam ci ją tuż przed naszym wyjściem...
— Lynn, sądzę, że powinnaś załatwić to z moją sekretarką i zamówić sobie u mnie wizytę — dociął mi Ivan. — Nigdy nie pokazywałaś mi fotografii ślubnego koszyka, zapewniam cię.
— Ivan, czy jesteś całkowicie pewien? To ważne. To była stara, sepiowa odbitka, co najmniej siedemdziesięcioletnia. Zrobiona przez McKinnleya, jak mi się zdaje.
-— Powtarzam ci, że niczego takiego mi nie pokazywałaś. Zadzwonię do ciebie później. -— Odłożył słuchawkę.

Czułam, że kręci mi się w głowie. Byłam przekonana, że widziałam tę przeklętą fotografię. Dotykałam jej, a potem widziałam ją we śnie. Co się ze mną działo? Nagle poczułam się bardzo zmęczona.

Rozejrzałam się po pokoju. Wyglądał jak kombinacja afrykańskiej wioski z muzeum indiańskim. Przez lata gromadziłam niezmordowanie bezcenną kolekcję plemiennych rzeźb kongijskich, magicznych fetyszy i bożków wojny, koców Indian Navajo i wszelkiego typu koszyków pochodzących z Ameryki Północnej i Gwatemali. Pokój był pełen poezji i czaru indiańskich tradycji. Koszyki wiszące na ścianach, symetryczne i doskonałe, należały do moich ulubionych eksponatów. A tamten ślubny koszyk, przepojony magią... Nigdy nie czułam tak mocno i wyraźnie, że pragnę posiadać jakiś przedmiot.
Rozsiadłam się w fotelu i popatrzyłam na przeciwległą ścianę, gdzie wisiał przedmiot mojej poprzedniej fascynacji: biało-czarny ręcznie tkany pas płodności z Gwatemali. Obok niego umieściłam fotografię Wielkiego Jaguara ze świątyni Majów, zrobioną w Tikal kilka miesięcy temu. Zaczęłam rozpamiętywać wszystkie trudy całomiesięcznych poszukiwań tego pasa.

Pojechałam wówczas wynajętym jeepem z Gwatemala City w kierunku Chichicastenego — starego miejsca targowego Indian, gdzie, jak mi powiedziano, mogłam znaleźć ten rodzaj pasa, na jakim mi zależało.

Piękno krajobrazu zapierało dech w piersiach — szachownica upraw i wymyślna sieć kanałów nawadniających pokrywały tarasowe zbocza wzgórz. Majowie gwatemalscy od wieków znali i stosowali nawadnianie pól. Ziemia była żyzna, pokryta bujną zielenią. Czułam jej zupach, połączony z zapachem dymu z palenisk w pokrytych strzechami chatach. Dotarłam do podjazdu do Chi Chi, kiedy słońce było jeszcze wysoko. Prastara osada znajdowała się na szczycie wysokiego wzgórza o ściętym szczycie, a droga do niej była zdradliwa, nawet dla jeepa o napędzie na cztery koła.

Mniej więcej w połowie wąskiego podjazdu pod górę musiałam się zatrzymać. Okazało się, że cyrkowa ciężarowka przewożąca słonicę ze słoniątkiem wyjechała zza zakrętu nad urwiskiem. Przejazd został zatarasowany na długie godziny.

Wyłączyłam silnik i wysiadłam z auta. Gromada podekscytowanych ptaków świergotała w koronach drzew. Ich gałęzie, łączące się wysoko nad ziemią, nasuwały skojarzenie ze sklepieniem katedry. Wsteczny bieg ciężarówki nie działał, a z każdym ruchem obu słoni samochód trzeszczał i osuwał się coraz bardziej w stronę krawędzi. Nadciągały, jedno po drugim, następne auta. Wściekli Gwalemalczycy wykrzykiwali przekleństwa i dobre rady pod adresem kierowcy.
Narastało zamieszanie. Słonica i słoniątko kołysały ciężarówką w przód i w tył. Drewniane boki ogromnej klatki zaczynały pękać. Samochód chwiał się niebezpiecznie, o dwie stopy od głębokiej na tysiąc stóp przepaści. Właśnie wtedy nadjechał autobus wypełniony cyrkowcami.

Zdeformowane karły z zardzewiałymi łańcuchami, tłuste kobiety i wytatuowani, ogoleni na łyso mężczyźni z lewarkami i kołowrotkami wysypywali się kolejno z wnętrza. Linoskoczkowie, akrobaci i tancerki —wszystko ciemni, niewysocy Gwatemalczycy — zaczęli wrzeszczeć na turystów, żeby odsunęli się z drogi.

Słonie w panice trąbiły przeraźliwie, ciężarówka zsuwała się groźnie coraz bliżej przepaści i — zarazem — pewnej śmierci obu zwierząt. Karły pełzały pod ciężarówką, dodając sobie animuszu obscenicznymi przekleństwami. Około pięćdziesięciu ludzi obserwowało ten spektakl — turyści w szortach, Gwatelmaczycy i Indianie w tradycyjnych strojach, i huipiles, dźwigający na głowach kosze z towarem na targ. Wszyscy zamarli, wstrzymując oddech.
Jeden z karłów owinął łańcuch wokół osi ciężarówki, a ktoś inny przywiązał drugi koniec do zderzaka autobusu. Silnik autobusu zaczął pracować. Aż nie do wiary, że zderzak to wytrzymał, nie wspominając o starym, zardzewiałym łańcuchu. Kiedy ciężarówka zaczęła się poruszać, jedna z kobiet i wytatuowany mężczyzna zabrali się do usuwania odłamków skalnych spod kół. Robili to błyskawicznie odrzucając je na boki niczym żwir.

Zwierzęta przestały się miotać. Karły skakały i wywijały koziołki, a cały las zatrząsł się od naszych radosnych wiwatów. Cyrk ruszył w dalszą drogę.

Dojechałam do Chi Chi tylko po to, by się dowiedzieć, że powinnam polecieć do odległej prowincji Gwatemali, go Tikal-Pelen, starych ruin Majów, i tam odszukać handlarza, który sprzeda mi pas. Musiałam znów wskoczyć do jeepa i jechać z powrotem do Gwatemala City. Kolejne pół dnia drogi.

Za to lot do Tikal-Peten był niezapomnianym przeżyciem. Dziesięć miejsc, a ja byłam jedynym pasażerem. Samolot okazał się starym wojskowym transportowcem z czasów II wojny światowej. Pomiędzy listwami podłogi mogłam obserwować gwatemalską dżunglę. Przylecieliśmy nad maleńkie lotnisko zgodnie z rozkładem, o szóstej rano, ale nawet o tak wczesnej porze było tam duszno i gorąco nie do wytrzymania. Pilot zatoczył koło nad Barem ruin o powierzchni około pięćdziesięciu mil kwadratowych, bojaźliwie unikając większych skupisk dżungli. Po odczekaniu, aż miejscowy wieśniak przepędzi swoją krowę z brudnego pasa startowego, mogliśmy wreszcie spokojnie wylądować.

Muzeum, założone na lotnisku dla wygody turystów, świeciło pustkami. Jakaś kobieta powiedziała mi, że handlarz, którego szukam, poleciał właśnie do Gwatemala City, a samolot powrotny mam dopiero za cztery godziny. Byłam załamana.

Kupiłam puszkę zimnego soku i mapę, z której dowiedziałam się, jak dojść do Świątyni Wielkiego Jaguara. Zanim wyruszyłam ubitą ścieżką w stronę świątyni, włożyłam jeszcze nowy film do aparatu.

Ptaki w dżungli naigrywały się ze mnie, czyniąc straszliwy harmider. Powietrze poranka przesycone było korzennym zapachem. Po obu stronach ścieżki rosły olbrzymie palmy i paprocie oplecione pnączami bidium. W miarę jak upał narastał, pociłam się coraz| bardziej. Podwinęłam białą koszulę i zawiązałam na piersiach. Byłam zupełnie sama wśród potężnych kamiennych akweduktów, platform, steli i tak dogłębni pochłonięta oglądaniem rzeźb i hieroglifów, że nawet nie spostrzegłam, kiedy zabłądziłam. Skręciłam na chybił trafił między ruiny i przy wejściu na maleńki dziedziniec zderzyłam się znienacka z wysokim Indianinem. Krzyknęłam zaskoczona.

— Co ty tu robisz? — zapytał. — Powinnaś być na północy.

— To znaczy w mieście? — spytałam.

Spojrzał na mnie surowo i mówił dalej, jakby znała mnie dobrze:

—Musisz jeszcze wrócić do miasta, ale potem odbyć podróż daleko na północ.

— Jak mogę dojść do lotniska? — zapytałam nerwowo, chcąc zakończyć jak najprędzej tę rozmowę.

— Usiądź — powiedział.

Wygładził piasek pod nogami i, używając kija, starannie narysował mapę, po czym wskazał kierunek, w którym powinnam podążać. Tłumaczył powoli i starannie, abym go dobrze zrozumiała. Zwróciłam uwagę na wdzięk i elegancję, z jaką mówił. Kiedy skończył, poczułam, że powinnam mu coś ofiarować, więc zaczęłam przeszukiwać torbę, ale jedyną rzeczą, na jaką natrafiłam, był dwudziestodolarowy banknot. Dałam mu go, a on spojrzał na mnie z intensywnym, dziwnym błyskiem w oczach.

— Pieniądze, które mi dałaś, wiążą cię — powiedział. — Poślę ci dwóch pomocników w ciągu czterdziestu czterech dni. Pierwszym pomocnikiem będzie kobieta. Nie rozpoznasz początkowo, że jest twoim sprzymierzeńcem. Będziesz musiała pozyskać ją dla siebie. Drugim pomocnikiem będzie mężczyzna, który wytyczy twój szlak. -- Przedarł banknot na dwie części i zwrócił mi połowę.- Zachowaj to.

Byłam wystraszona i zmęczona.

- Spotkamy się jeszcze — dodał. - - Zachowaj te , przełamane pieniądze w twoim tobołku.

— Masz na myśli moją portmonetkę?

Rozmowa była zakończona. Wskazał tylko kierunek laską i powiedział:

- Nigdy nie wracaj w to miejsce. Śpiesz się.

Nie chciałam urazić tego człowieka, który był naj-wyraźniej odrobinę stuknięty. Mogłam przecież wrócić do Gwutemali i tych świątyń, kiedy tylko przyszłaby mi im to ochota. Skinęłam jednak głową na znak, że zrozumiałam.

- Śpiesz się, albo już nigdy nie odnajdziesz swojej drogi.

Wstał i odszedł, znikając niemal w tej samej chwili w dżungli. W pierwszym odruchu chciałam wyrzucić bezwartościowy skrawek banknotu, ale w końcu zatknęłam go za

kartę kredytową w portfelu. Zmierzałam ku lotnisku, ku Gwatemala City, ku mojemu upragnionemu pasowi.

Teraz pas wisiał na mojej ścianie. Był piękny, na pewno wart wysiłku, jaki włożyłam w jego odszukanie. Łyknęłam herbaty, zdając sobie nagle sprawę, że minął już miesiąc od spotkania z młodym Indianinem. No tak, i tyle z tego, pomyślałam. Na pewno nie było żadnej pomocnicy na widoku, bez względu na to, co ów człowiek miał na myśli.

- Jeśli będę musiała zostać tu dziś wieczorem, oszaleję — powiedziałam do siebie głośno. Pochyliłam się, sięgając po srebrne pudełko, które stało na stoliku do kawy, uniosłam wieczko i wyjęłam karteczkę z nagryzmoloną datą i nazwiskiem. Mój stary przyjaciel Artur Desser wydawał przyjęcie osiemnastego lutego o ósmej — właśnie tego wieczora. Wrzuciłam zaproszenie z powrotem do pudełka. Byłam załamana na skutek niewyspania i nieprzyjemnych przeżyć w galerii. Zaczynałam mieć wątpliwości, czy przypadkiem nie wymyśliłam sobie tej fotografii. Przerzuciłam nawet ogłoszenia z weekendowego „Timesa", sprawdzając czy wystawa Stieglitza rzeczywiście miała miejsce. Wystawę zapowiadano.

Potem znów straciłam nad sobą kontrolę. Zatelefonowałam do kilku galerii w Nowym Jorku. Bez rezultatu — żadna z nich nie miała fotografii ślubnego koszyka McKinnleya, choć jedna słyszała podobno o takiej. Potrzebowałam dozy realności. Zdecydowałam się pójść do salonu kosmetycznego Elisabeth Arden i zrobić pedicure.

Kiedy wróciłam do domu, przysiadłam na skraju łóżka, przebierając świeżo pomalowanymi palcami stóp w dywaniku z futra jelenia. Nastawiłam budzik na dwie godziny, wtuliłam głowę w poduszkę i zasnęłam.

—Nie, nie, nie. — Usłyszałam własny głos krzyczący z oddali. Obudziłam się gwałtownie, zlana polem, a wokół leżały porozrzucane poduszki. Musiałam miotać się we śnie na wszystkie strony. Usiadłam w pościeli, ciągle mając przed oczyma senny koszmar. Próbowałam odepchnąć rękoma powietrze, mając wrażenie, jakby ogromny ciężar przygniótł mi pierś. Wizja nie mogła być zwykłym snem. Widziałam ją wyraźnie — dziewczynka z niesamowitymi, błyszczącymi oczami wyciągała ku mnie ślubny koszyk. Kiwała na mnie abym podeszła bliżej, a potem nagle sama zaczęła rosnąć, a koszyk zrobił się ogromny. Ruszyła w moją stronę, groźnie napierając na mnie koszykiem.

— O mój Boże, tylko nie to --jęknęłam. Zapaliłam światło i spojrzałam na budzik. Właśnie w tym momencie zadzwonił. Wyłączyłam go i położyłam się na wznak, drżąc wtulona w pozostałe na łóżku poduszki. Miałam ochotę zerwać się i pozapalać wszystkie światła.

Gdy wstałam wreszcie i ubierałam się na party u Artura, dygotałam jeszcze ze strachu.

Ruszyłam w stronę Bel Air, wzdłuż Carolwood Drive, obok domu Walta Disneya. Miałam przed sobą niecałe dziesięć minut drogi. Wspomniałam Leona Craiga, zaangażowanego w rozbudowę Bel Air, który był właścicielem sąsiadującej z domem Disneya posiadłości. Obejmowała ona rozległy park na miarę Wersalu, z wieloma akrami starannie wytyczonych ścieżek i połaci różanych klombów, rozciągających się z pogodną doskonałością wokół domu. Papa, jak nazywała go rodzina, czarujący i przemiły człowiek, który żył zupełnie samotnie w tym wielkim domostwie — nie licząc krótkich,

okolicznościowych odwiedzin rodziny — był alkoholikiem. Był człowiekiem, który — mając wszystko — zwykł jeszcze upijać się do nieprzytomności. Zawsze bardzo mnie to dziwiło. Papa był taki, jak większość przyjaciół moich rodziców, którzy pierwszą połowę życia spędzili na zbijaniu fortuny, a drugą przeżywali dotknięci chorobą zgorzknienia i autodestrukcji. Nie chciałam, aby moje życie zakończyło się w taki sposób.

Symbole bogactwa rozciągały się jak okiem sięgnąć po obu stronach krętej drogi. Zwolniłam, żeby popatrzeć na luksusowe ogrody, długie aleje drzew, liście połyskujące srebrzyście w świetle księżyca. Te manikiurowane krzewy i klomby, wypielone i jakby zaprojektowane za pomocą cyrkla, przynosiły mi zawsze ukojenie. Uporządkowany i zasobny świat Bel Air był mi znany i bliski. Lubiłam napawać się tutejszym powietrzem i ciszą i dziwiłam się nieodmiennie, gdy ktoś mówił, że chciałby żyć gdzie indziej.

Jednakże tego wieczora czułam się jak wyczerpana bateria. Zwróciłam wzrok na drogę i przyspieszyłam.

Po przejechaniu trzech mil dotarłam przed dom Artura. Zobaczyłam światła w oknach i już z ulicy posłyszałam dobiegającą z wnętrza muzykę. Około dziesięciu samochodów parkowało na ulicy — mercedesy, rolls-royce'y i olbrzymi pick-up o napędzie na cztery koła. Ciekawiło mnie, kogo Artur zaprosił tym razem. Uwielbiał intelektualne wieczorki, zestawiając ze sobą naukowców, przedsiębiorców, artystów i przeróżnych guru. Zarobił znaczne pieniądze na rafineriach, był czterokrotnym rozwodnikiem z dwójką dzieci i odbył już wszystkie psychiczne i psychodeliczne wędrówki, jakie tylko można sobie wyobrazić. Doprowadziło go to donikąd, a ja - chociaż lubiłam Artura — zawsze miałam się na baczności w jego towarzystwie. Nigdy nie było wiadomo, co zrobi — zwłaszcza podczas takiego właśnie przyjęcia.

Z głośnika domofonu odezwał się metaliczny głos z obcym akcentem. To była francuska służąca.

—Francoise, to ja, Lynn Andrews. Posłyszałam szczęk zamka i Francoise otworzyła masywną bramę zdobioną chińską laką.

—Comment ca va? — zapytałam.

—Tres bien, merci Mademoiselle Andrews. Cest manifique — wykrzyknęła, dotykając mojego kimona z czarnego jedwabiu i poklepując mnie przyjaźnie po ramieniu.

Nagle zza zieleni otaczającej basen wypadły psy Baskerville'ów", jak nazywałam pieski Artura. Były to teriery rasy Yorkshire — małe, kudłate poduszeczki pełne wściekłości, bez przerwy warczące i ujadające.

—Och, uwaga na tego, pani Andrews — powiedziała zaniepokojona Francoise. -— Proszę pamiętać, że on gryzie.

—Merlin mnie nie ugryzie. Zna mnie.

Merlin warknął, obwąchał moje palce u nóg, po czym radośnie zatopił małe, ostre ząbki w nogawce moich spodni.

—Au, ty mały diable! -— wrzasnęłam, odtrącając go nogą od siebie. Nie przebił skóry, ale w spodniach zostawił kilka dziur.

—Wstrętny pies! —zbeształa go Francoise. Schyliła się i zagoniła trzy szczekające psy do psiarni.

Ruszyłam w górę po ceglanych schodkach prowadzących do salonu. Na każdym stopniu stały znicze, a z balkonu powyżej zwieszały się girlandy jasnoróżowych kwiatów. U szczytu schodów stał uśmiechnięty Artur, ubrany w swój tradycyjny niebieski sweter z Yale i spodnie z szarej flaneli. W dłoni trzymał drinka.
—Kochanie, spóźniłaś się — przywita! mnie.
- Twój pies właśnie mnie ugryzł, ten mały potwór!
—Miewa takie skłonności. Wejdź, proszę, kochanie. Masz piękne włosy. Chciałbym ci przedstawić kilkoro ważnych ludzi.
Zdjął ze mnie kimono i powiesił je w szafie.
—Co takiego wykombinowałeś na dzisiaj, Arturze?
—Mam dla ciebie szczególną niespodziankę. Indiańskiego szamana, który napisał ten bestseller Siedem strzał. Słyszałaś o nim?
—Tak. Jestem zachwycona.
—Byłem tego pewien — powiedział Artur sarkastycznie.
Weszliśmy do prostokątnego, białego salonu. Ogień trzaskał w kominku. Na suficie igrały subtelne, pryzmatyczne refleksy świetlne z „light boxu Raya Howletta". Malowidło Fritza Scholdera pokrywało całą ścianę za wielką, skórzaną sofą, a rozpadający się ze starości, wysoki na sześć stóp posąg Buddy przypatrywał się nam z pogodną refleksją.
Artur przedstawił gości.
—Lynn, chciałbym, abyś poznała moich najstarszych, najdroższych przyjaciół z Connecticut, George'a Haalmsteada i jego żonę Pamelę. George jest bankierem.
— Miło mi — powiedziałam.
—Doktora Demetrieva znasz dobrze. Uściskaliśmy się z Ivanem.
— A to moja przyjaciółka Helen, która fetuje dziś swoje wielkie zwycięstwo w pewnej sprawie ubezpieczeniowej.
Spojrzałam na nią z ciekawością.
—Czy miałaś już kiedyś okazję poznać doktora Friedlandera i jego towarzyszkę Lorraine?
— Nie sądzę.
—Doktor Friedlander studiuje antystarzenie. Właśnie wrócił z Indii.
— Bardzo mi miło. — Wymieniłam uścisk dłoni z doktorem. Miał ogoloną głowę, która połyskiwała raz różowo, raz niebiesko w świetle „light boxu Howletta". Jego wąs w typie Fu Manchu prezentował się nieźle. Lorraine była wysoka i miała w sobie coś z pantery. Uśmiechnęła się do mnie.

Następnie Artur przedstawił mnie aktorce, którą uwielbiałam od wielu lat. Miała na sobie bufiaste spodnie i boa z piór.
—A teraz chciałbym ci przedstawić autora Siedmiu strzał. Oto Hyemeyohsts Storm.

Uniosłam rękę w geście powitania. Moim pierwszym wrażeniem był spokój, rozległy jak ziemie Północy. Artur przyniósł wódkę i tonik. Wzięłam drinka machinalnie, ledwo zwróciwszy uwagę, gdy wcisnął mi szklankę do ręki. Zaczęliśmy rozmawiać ze Stormem o jego książce i Skaczącej Myszy, moim ulubionym rozdziale. Podczas rozmowy miałam wrażenie, że coś w jego osobowości przejmuje powoli władzę nade mną. Wielu ludzi

marzy, żeby znaleźć się kiedyś pod wpływem jakiejś osoby, która potrafiłaby wnieść piękno w ich życie. Właśnie teraz odczułam coś podobnego, a nie było to w żaden sposób związane z tym, co Storm mówił i robił. Chyba działała tak sama jego obecność, a może jeszcze przyjaźń, z jaką się do mnie odnosił. Do dziś tego nie wiem. Miałam wrażenie przykucia do niego, nagiego wejścia razem z nim w jakiś magiczny krąg — byłam nie tylko, obok, ale i wewnątrz niego. Rzeczy zewnętrzne, które do tej chwili dostarczały oparcia i pewności, zaczęły mi się jawić jako źródło ograniczenia i dyskomfortu. Poczułam się nieswojo.

W moje zauroczenie wkroczyła służąca, przerywając je wezwaniem na kolację. Podnieśliśmy się z miejsc i wyszliśmy przez ogródek na taras, na chłodne nocne powietrze. Skierowaliśmy się krętymi, aluminiowymi schodkami do „doliny Thanka" — tak nazywałam w myślach jadalnię Artura ozdobioną dziełami sztuki tybetańskiej. Zauważyłam, że Artur i Helen mieli niejakie kłopoty z utrzymaniem równowagi. Zapowiadał się trudny wieczór.

— I co o nim sądzisz? — szepnął do mnie Artur, wskazując na Storma.

—Bardzo interesujący — odpowiedziałam lakonicznie. Artur usadził nas wokół długiego, drewnianego stołu z kompozycją z kwiatów pośrodku. Połyskiwały srebra i kryształy. Sam zasiadł u szczytu stołu, a Storma umieścił na przeciwległym końcu, na tak zwanym „gorącym miejscu". Usiadłam po prawej ręce Storma. Francoise wraz z drugą francuską służącą zaczęły serwować sałatkę z przywiędłego szpinaku i rozlewać do kieliszków jedno z dwóch win przewidzianych na ten wieczór. Wszyscy rozmawiali o badaniach antystarzeniowych doktora Friedlandera.

Kończyliśmy sałatkę. Ton rozmowy byt lekki i beztroski.

—Tego wieczoru, mam nadzieję, będziecie czuć się na tyle swobodnie, by mówić i robić wszystko, na co tylko przyjdzie wam ochota — wtrącił w pewnym momencie Artur.

—W porządku, Arturze, ale pod warunkiem, że z humorem i bez ironii — odpowiedział Ivan ze swoim sympatycznym, rosyjskim akcentem.

—Żadnych ograniczeń, żadnych ograniczeń — zaoponowała bełkotliwie Helen i ujęła kieliszek, wznosząc toast za własne słowa. Francoise zaczęła podawać główne się danie — pieczone gołębie z niełuskanym ryżem.

—Nigdy nie należy przyjmować żadnych ograniczeń. Potem tylko opłakujemy ich śmierć — powiedziała aktorka, rozcinając pierś gołębia, żeby dobrać się do farszu. — Czy zgodzisz się ze mną, Ivan? .

—Tak. Zwłaszcza ty, póki żyjesz, będziesz zawsze chodzić w żałobie. I przegrana. — Ivan spojrzał na nią żartobliwie.

— Myślę, że jedynej odpowiedzi dla poszukujących sensu w tym świecie dostarcza freudowska psychoanaliza — rzucił Artur, dolewając sobie wina.

— Jedyną receptą jest robić to, co zamierzasz, a jeśli nie możesz tego robić, to znajdź kogoś, kto zrobi to za ciebie — powiedział bankier z Connecticut.

Artur zwrócił się do mnie.

— Lynn, sądzę, że każdy, kto staje po stronie Indianina, jest przegrany.

Francoise zbierała ze stołu naczynia, a druga służąca podawała cretne caramel.

—Uważasz, że jestem przegrana? —zapytałam, przyzwyczajona do jego wyskoków.
— W tym, co dotyczy Indian, na pewno tak. A co pan sądzi o tym, panie Storm?
—Nic szczególnego — odpowiedział spokojnie Storm. — Z panem i tak zawsze mogę rozmawiać jak równy z równym.
W pokoju zapadła cisza.
-Co pan ma na myśli? — zapyta! Artur.
—Zademonstruję to — powiedział Storm. Jego obecność narzucała się teraz wszystkim nieodparcie. — Powiedz „Ivan się nie liczy".
Ten człowiek wydawał się tak głęboki i tajemniczy jak kanion. Zdecydowanie należał do plemienia Dakota albo Montana. Można to było wyczuć.
— Ivan się nie liczy — powtórzy Artur.
— Powiedz „Lynn się nie liczy".
—Lynn się nie liczy.
— Powiedz „Helen się nie liczy". — Wymieniwszy wszystkich gości, Storm wskazał na siebie i powiedział:, — Jeśli to pana nuży, nie będę już z panem rozmawiał.
—Pan się nie liczy i nadal uważam, że jest pan przegrany — rzucił gwałtownie Artur i znowu napełnił kieliszek.
—Czy chce się pan za mną bawić, czy nie, ja i tak będę się bawił z panem — powiedział Storm. Jego głos zabrzmiał zdecydowanie złowieszczo.
Skierowałam rozmowę na inne tory, pytając doktora Friedlandera, co robił w Indiach.
—Prowadziłem badania, jakkolwiek moja metoda może się wydawać dziwna i nienaukowa. Zainteresowała mnie zdolność niektórych ludzi do obniżania temperatury ciała, zależnie od woli. Stwierdziliśmy, że jeśli ciało zachowuje niższą temperaturę, proces starzenia ulega spowolnieniu. Zajmowałem się tym od lat i poznałem joginów, którzy potrafili pozostawać w transie przez wiele dni, co musiało powodować, jak przypuszczałem, obniżoną temperaturę ciała. Pojechałem, więc do Indii, żeby to sprawdzić.
—A jak pan im mierzył temperaturę? — spytała aktorka.
-Choć zabrzmi to może zabawnie, używałem termometru rektalnego. Podróżowałem po Indiach i wpychałem joginom termometr do tyłków.
Wszyscy, wybuchnęli śmiechem, z wyjątkiem Artura, który wciąż szeptał coś ze złością do ucha Helen. W pewnym momencie kazał jej wyjść. Odeszła od stołu, zalewając się łzami.
Nie zwracając uwagi na sprzeczkę, zapytałam:
— Czy stwierdził pan, że utrzymywali niższą temperaturę?
— Tylko w niektórych przypadkach udało mi się odnotować istotną różnicę.
— Czy miał pan do czynienia z jakimiś poważniejszymi guru podczas tych podróży? — zapytał Ivan.
—Było ich kilku. Zwłaszcza mistrzowie, o których nikt nie słyszał, żyjący w górach. Był taki jeden, który rozebrał mnie do naga i kazał nosić kamienie. Miałem zbudować świątynię dla niego i jego uczniów. To było głęboko w dżungli. Minęły miesiące, nim

ukończyłem budowę. Wówczas dopiero pozwolił zmierzyć sobie temperaturę, po czym kazał mi zburzyć wszystko, co zbudowałem. Artur przerwał mu i zwrócił się do Storma.
—Panie Storm, wśród swoich jest pan niewątpliwie uważany za coś w rodzaju jogina, prawda?
— Tak, rzeczywiście.
—Zatem dlaczego doktor Friedlander nie wtyka panu termometru w tyłek? — Artur sprawiał wrażenie rozwścieczonego.
Wszystkich zatkało.
Storm wstał spokojnie i obszedł stół dookoła, patrząc Arturowi prosto w oczy. Przestrzeń między nimi wydawała się naładowana elektrycznością. Sięgnął w kierunku żołądka Artura. Wyglądało to tak, jakby dłoń Storma zanurzyła się w jego splocie słonecznym. Zaczął obracać i pociągać ręką, jakby wyrywał mu wnętrzności. Artur szamotał się nieporadnie przez chwilę.
—Zrobiłem to dla ciebie, Lynn — powiedział Storm, patrząc na mnie. — Zabrałem jego wolę. Teraz możemy rozmawiać spokojnie.
Wrócił na swoje miejsce. Pozostali goście wydawali się nieświadomi tego, co zaszło, i prowadzili zwykłą, rytualną rozmowę, typową dla takich przyjęć. Podobnie zachowywał się Artur, który nagle i w niewytłumaczalny sposób wytrzeźwiał. Wyglądali na zahipnotyzowanych, a kiedy zaczęłam rozmawiać ze Stormem, nikt nie zwracał na nas uwagi. Nie wspomniałam nawet słowem o tym, co wydarzyło się przed chwilą — bałam się. W końcu zapytałam drżącym głosem, czy nie słyszał kiedyś o ślubnym koszyku.
— Widziałem jeden ślubny koszyk w moim życiu —powiedział, ignorując zupełnie obecność wprowadzonych w trans gości.
—Naprawdę? —zapytałam podekscytowana, nieomal zapominając o całym incydencie.
—Przypadkowo wiem, że koszyk ten wciąż istnieje. Gdzie, nie mam pojęcia.
— Ależ musi pan wiedzieć, gdzie mam go szukać — nalegałam.
Przyglądał mi się długo, z namysłem, wreszcie powiedział ostrożnie:
—Poszukiwania koszyka rozpocząłbym od rezerwatu Indian Cree, na północ od Crowley, w Manitobie. — Zawahał się i długo zaciągał papierosem, cały czas intensywnie mnie obserwując, po czym podjął wątek: — Spróbowałbym znaleźć starą kobietę, zwaną Agnes Whistling Elk. Ona jest heyoka, tak nazywamy szamanki. Kobieta-która-pokazuje-jak. Nikt nie wie dokładnie, gdzie Agnes mieszka. Ciągle jest w ruchu i zdaje się, że bardzo jej to odpowiada.
—Jak mogę do niej trafić, skoro nie znam jej adresu? —- To bardzo trudne. Na szczęście jest jeszcze jedna kobieta, która będzie mogła ci pomóc. Nazywa się Ruby Plenty Chiefs. Jestem pewien, że Ruby będzie znała miejsce pobytu Agnes, ale nie mogę obiecać, że na pewno ci pomoże. Jest bardzo dyskretna, na swój sposób. Może zdarzyć się i tak, że odbędziesz całą tę podróż tylko po to, żeby usłyszeć od Ruby, że masz zwijać manatki i wracać do domu. Żadne perswazje nie skłonią jej do zmiany zdania, jeśli tak zdecyduje.
— Czy istnieje jakiś sposób, żeby przełamać lody?

—Tak, zawieź jej tytoń, karton papierosów i tradycyjny koc indiański. Tak każe obyczaj. Pamiętaj, że koszyk ślubny jest święty. Nie łudź się, że możesz go mieć tylko, dlatego, że tak chcesz. Możesz mieć koszyk tylko wtedy, gdy będziesz tego godna.
—Crowley w Manitobie? — zapytałam słabym głosem.
- Dlaczego chcesz właśnie ten koszyk? Jest przecież mnóstwo indiańskich koszyków, które nie są tak niebezpieczne. — Zdałam sobie nagle sprawę, że bawił się ze mną.
— Widziałam wczoraj jego zdjęcie na wystawie Stieglitza. Od tego czasu ciągle mam sny na jego temat. To obsesja. Muszę go znaleźć, albo przynajmniej jego fotografię. Tej, którą widziałam na wystawie, nie było następnego dnia w galerii. Nic nie słyszeli na jej temat. Musiało to być przywidzenie.
— Zbierasz dzieła sztuki kultur pierwotnych?
—Jestem pośredniczką i kolekcjonerką sztuki Indian amerykańskich. Zbieram również koszyki.
—Musisz się liczyć z tym, że będziesz miała mnóstwo problemów ze zdobyciem tego koszyka. To rzecz najświętsza i ważny symbol w świecie śniących.
- Śniących?
- Tak, śniących.
- Kim oni są?
—Są tymi, którzy miewają wizje dotyczące siebie i innych, ale to nie miejsce, żeby o tym mówić. Jeśli traktujesz rzecz poważnie, narysuję ci mapę drogi z lotniska w Winnipegu do rezerwatu Cree. Dam ci mój numer telefonu.

Zapisał numer na karteczce, pośpiesznie wyrysował schematyczną mapę na odwrocie i wcisnął mija do ręki. Potem uśmiechnął się do mnie ciepło, powiedział zebranym dobranoc i wyszedł. Dopiero wówczas zauważyłam, że wsunął mi również w dłoń strzępek szarego futra. Obecni nadal zachowywali się dziwnie. Wkrótce potem rozjechali się do domów.

Następnego ranka zbudził mnie telefon Artura.
—Lynn, czy naprawdę byłem taki okropny wczoraj wieczorem?
—Arturze, powinieneś przestać pić.
— Przepraszam, strasznie mi przykro.
— Jedzenie było fantastyczne.
— Nie pamiętam dokładnie, co wczoraj robiłem. Strasznie mnie boli żołądek i okolice splotu słonecznego. Boli jak diabli.
— Arturze, jeszcze raz dziękuję za miły wieczór. Zadzwonię do ciebie później, gdy wstanę z łóżka. Może się przewróciłeś?

1

Czymże jest glos kobiety, jeśli nie głosem katcina?
Agnes Whistiing Elk

Mój Air Canada 727 wylądował na lotnisku w Winnipegu. Nie zwlekając poszłam wynająć samochód. Po trzydziestu minutach pędziłam już w kierunku Crowley. Opuściłam szybę i odetchnęłam surowym, kanadyjskim powietrzem. Co, u licha, przygnało mnie tutaj, każąc szukać jakiegoś koszyka?

W czasie jazdy ani na chwilę nie mogłam przestać o nim myśleć. W pewnym momencie mignęły mi przed oczyma ostre kontrasty światła i cienia, a widok rozległej przestrzeni otworzył się znienacka przede mną. Zamrugałam, żeby się ocknąć. Droga była pusta i monotonna. Mocniej chwyciłem kierownicę.

Zaczęłam się zastanawiać, czy zabrałam odpowiednie ubranie. Miałam na sobie dżinsy marki Sasson, wysokie buty i kurtkę myśliwską w kolorze khaki, kupioną u Kerra. Moja walizka była wypchana swetrami, wełnianymi skarpetami i flanelowymi piżamami, nie licząc ogromnej kosmetyczki. Powoli zaczynałam odczuwać chłód, więc włączyłam ogrzewanie. Radio działało, ale odbiór był słaby. Wyłączyłam je.

Pod bezkresnym niebem rozciągał się jak okiem sięgnąć przestronny, wspaniały krajobraz Manitoby. Zielone trawy gięły się i kołysały w podmuchach wiatru na rozległych, pofałdowanych pagórkami przestrzeniach.

Nagle maska samochodu skręciła gwałtownie w lewo. Strzeliła lewa przednia opona. Zaklęłam, czepiając się rozpaczliwie kierownicy, podczas gdy samochód, tańcząc na wszystkie strony, przejechał w poprzek drogi i wpadł na łagodny stok pobocza szosy. Zahamowałam, nie myśląc już więcej o pięknie kanadyjskiego pejzażu. Siedziałam przez chwilę, łapiąc oddech, a potem jednym szarpnięciem otworzyłam drzwi.

— Paskudny pech!

Wysiadłam, ze złością kopnęłam koło i zaczęłam rozglądać się, wypatrując jakiegoś znaku życia czy chociażby budki telefonicznej. Nic z tego, pustka jak okiem sięgnąć. Zdałam sobie sprawę, że od chwili wyjazdu poza obręb Winnipegu nie mijałam ani nie wyprzedzałam żadnego auta. W tej sytuacji musiałam przygotować się do własnoręcznej zmiany koła. Zawlokłam cale niezbędne wyposażenie przed samochód, łamiąc sobie paznokieć przy okazji, a potem usiadłam w pyle szosy, dumając nad tym, jak posłużyć się lewarkiem. Dobrze, że w ogóle był lewarek. Potrzebowałam pół godziny, by odgadnąć, jak umieścić go pod ramą auta.

Kiedy pochylałam się na klęczkach, wsuwając go pod samochód, dostrzegłam na szosie dwie ludzkie sylwetki, zmierzające w moim kierunku. Zerwałam się na równe nogi, zamierzając pomachać i zawołać o pomoc, kiedy nagle powstrzymałam się. Byli to dwaj młodzi Indianie. Poczułam się nieswojo. Gdy podeszli bliżej, usłyszałam, jak rozmawiają w języku, który przypuszczalnie był językiem Cree. Jeden miał na sobie brązową, wełnianą opończę, zwaną mackinaw, drugi postrzępioną kurtkę wojskową. Zbliżyli się do samochodu i ten w mackinaw pochylił się, żeby obejrzeć koło. Potem wyprostował się i obaj wybuchnęli śmiechem. Patrzyli na mnie, wyszczerzając zęby i wymieniając uwagi w języku Cree. Byłam wściekła.

-— Czy jest tu gdzieś w pobliżu telefon?

Wykrzywili twarze w jeszcze szerszym grymasie.

—Czy mówicie po angielsku? — Wielu Indian z rezerwatów nie mówi.

Mężczyzna w mackinaw wzruszył ramionami. Żaden nie uczynił najmniejszego gestu, żeby mi pomóc.

— Serdeczne dzięki, padalce.

Opadłam znów na kolana, powracając do mocowania się z lewarkiem. Trzydzieści minut później byłam upaćkana brudem i smarem, spocona i wyczerpana, ale koło zostało wymienione. Miałam cichą nadzieję, że nie, odpadnie, kiedy ruszę.

Nie mogłam wprost uwierzyć, że przez cały ten czas Indianie stali sobie tak po prostu z boku i przyglądali się. Zataszczyłam lewarek i narzędzia do bagażnika i zatrzymałam się na chwilę przed nimi. Stali dziesięć stóp ode mnie i gapili się bezczelnie.

—Jesteście parą zwykłych palantów.

Właśnie zamierzałam wsiąść do auta i odjechać, kiedy ten w kurtce zaczął zacierać ręce, jakby je mył. Pomyślałam, że to dziwne zajęcie, ale nie przypisałam mu większego znaczenia. Nagle wstrząsnął ramionami, odrzucił głowę do tyłu i zaczął gestykulować, jakby używał jakiegoś języka migowego. Poczułam ucisk w gardle i narastające napięcie mięśni szczęk. Ciekawa byłam, czy istniał jakiś związek pomiędzy tym, co robił, a tym, co ja odczuwałam. Na chwilę oczy zaszły mi mgłą, a kiedy powróciła ostrość widzenia, mężczyzna stał bez ruchu, z opuszczonymi rękoma. Obaj patrzyli na mnie z uwagą.

—Podwieźć was?—zapytałam nieoczekiwanie, sama zdziwiona swoją reakcją.

Ten w podartej kurtce uśmiechnął się.

-Jasne, bardzo chętnie skorzystamy. Dziekujemy pani.-

— Zaskoczył mnie swoją płynną angielszczyzną. Wdrapali się na tylne siedzenie i pojechaliśmy. Koło było najwyraźniej w porządku.

Rozzłoszczona zdecydowałam, że nie będę zwracać na nich uwagi. Nieskończona wstęga asfaltu ciągnęła się przede mną. Umierałam z głodu. Jechaliśmy w milczeniu. Odległe drzewa sprawiały monumentalne wrażenie. Powoli zaczynałam czuć się zjednoczona z rozległą przestrzenią prerii.

Indianin w obszarpanej kurtce zaintonował rytmiczną powolną pieśń

— He ya he yah oooooah. Jego towarzysz zawtórował mu.

Spojrzałam w lusterko wsteczne. Śpiewali z zamkniętymi oczami i kiwali głowami do taktu. Przeniosłam wzrok z powrotem na drogę i zwolniłam, widząc przebiegającego królika,

—He ya yah oooooah, jestem samotnym kowbojem, he ya he yah oooooah.

Angielski zwrot w pieśni zaskoczył mnie. W lusterku obserwowałam, jak Indianin w mackinaw śpiewał. Nasze oczy spotkały się i zaczerwieniłam się, zawstydzona jego spojrzeniem.

Nagle pojawił się przed maską jakiś ptak o ogromnych skrzydłach. Leciał prosto na nas. Skręciłam w bok kierownicą, ale niepotrzebnie. Tuż przed szybą wzbił się w górę i zniknął mi z pola widzenia. Indianie zaczęli śpiewać głośniej i raptem umilkli.

— Tutaj wysiadamy.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiegoś domostwa czy chociażby ścieżki. Nic, tylko dzika preria. Zjechałam na bok j zatrzymałam wóz.

— Jesteście pewni, że właśnie tu chcecie wysiąść?

—Tak — odpowiedział ten w mackinaw i, nie patrząc na mnie, otworzył drzwi. Chłodny powiew wtargnął do wnętrza. Zapomniałam zupełnie o wietrze.

—Przyjemnej jazdy — rzucił Indianin w wojskowej kurtce. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem i poszedł za przyjacielem. Wkrótce obaj zniknęli za grzbietem najbliższego pagórka.

Po dłuższej jeździe zauważyłam gigantyczne cienie nadciągających chmur. Sunęły jak duchy nad prerią. Obserwowałam ich granatowe kłęby przewalające się nad falistą równiną, dzielące się i formujące na nowo, o ciemnych i wyrazistych, naładowanych elektrycznością krawędziach. Ich cienie sprawiały wrażenie, jakby chciały pobawić się ze mną w chowanego. Ujrzałam, jak kępa wysokich topoli znika nieoczekiwanie, aby wyłonić się po chwili zza wzgórza, którego nie zauważyłam wcześniej. Nadal nie widziałam nawet śladu ludzkiego istnienia. Przyspieszyłam, ale —jak mi się zdawało — upłynęły jeszcze długie godziny, zanim dotarłam do Crowley. Linie na mapie Storma urywały się, wyznaczając koniec podróży.

Stało tam pięć czy sześć budynków. Nad drzwiami jednego z nich widniał napis głoszący, że mieści się tu sklep i skup towarów. Jakaś Indianka z dwójką dzieci wyszła stamtąd, trzaskając za sobą drzwiami. Zaparkowałam samochód pomiędzy starym pick-upem z przyczepą do przewozu koni a drugim, nowszym, pełnym brązowych dzieciaków zajadających ciasteczka. Dzieci patrzyły na mnie i chichotały, napychając buzie pokruszonymi babeczkami w czekoladzie. Gdy wysiadłam z auta, przyjechał w tumanach kurzu jeszcze jeden pick-up z przyczepą. Ze środka wyskoczył Indianin w kowbojskim stroju. Był ogromny — musiał ważyć ze dwieście funtów, może nawet więcej.

— Hej, panienko, ty tutaj na rodeo? —- zapytał.
— Nie, nawet nie wiedziałam, że macie tu rodeo.
— No to teraz wiesz —- zaśmiał się. — Będziemy rzucać lassem, tam dalej, przy drodze, aż do wieczora.
— Dziękuję, ale szukam znajomej. — Im mniej rozmów nie na temat, tym lepiej.
—Kto to taki? - zapytał, pociągając łyk piwa z puszki.
— Szukam kobiety zwanej Ruby Plenty Chiefs. — Wiatr wiał, zacinając pyłem z drogi prosto w twarz. Zaczynałam pociągać nosem i bez przerwy przecierałam oczy.
— Nigdy o takiej nie słyszałem. Jesteś pewna, że przyjechałaś do dobrego rezerwatu?
— Spojrzał na mnie dziwnie. — No to cześć —- powiedział jeszcze, pstrykając palcami w rondo stetsona, i wszedł do sklepu.

Poszłam za nim, otrząsając przed drzwiami buty z piachu. Sklep wypełniony był po sufit jedzeniem w puszkach, zapasowymi kołami, olejami silnikowymi, ciastkami, fotosami i gazetami. Gąszcz papierków przypiętych do tablicy ogłoszeń podfruwał z głośnym szelestem w górę przy każdym otwarciu drzwi. Witryna chłodziarki do lodów, stojącej w głębi, zapchana była mlekiem i colą. Z wysokich stojaków zwieszały się ku ziemi girlandy paczkowanych frytek i chipsów. Z centrum tego chaosu śledziła mnie z uwagą para brązowych oczu.
—Pomóc pani w czymś? — zapytał głośno właściciel.
— Nie.

Zlustrowałam z uwagą cały sklep. Wreszcie z rezygnacją zdjęłam trzy paczki ciasteczek ze stojaka.
—Ta pani szuka kogoś o imieniu Rudy Plenty Chiefs —powiedział facet z lassem.

Właściciel nie dał po sobie poznać, że wie, o kogo chodzi. Kilku Indian w sklepie, którzy do tej pory śledzili ukradkiem każdy mój ruch, spojrzało na mnie czujnie. Kiedy szukałam w portmonetce pieniędzy, właściciel, który obsługiwał troje dzieci i typa z lassem, cały czas zerkał na mnie.
—Zwykle mieszkała w pobliżu drogi za Muzeum Indiańskim albo, o ile pamiętam, na Czarnym Wzgórzu. — Powrócił do wydawania reszty kowbojowi.
—Czy wie pan może, gdzie przebywa teraz? — spytałam.

Właściciel zwrócił się do człowieka w głębi sklepu.
—Hej, Emmet, wiesz, gdzie mieszka Ruby?
- Noo — zawołał tamten — mieszkała przy drodze, ile rok temu się stamtąd wyniosła.

Gość z lassem wzruszył ramionami.
- No to przyjdź na rodeo.
- Innym razem — odburknęłam.

Znowu wzruszył ramionami i wyszedł, z hukiem zatrzaskując drzwi. Kurz zawirował w powietrzu.
—Proszę -— nalegałam. — Hyemeyohsts Storm powiedział mi, że wystarczy zapytać kogokolwiek w Crowley, gdzie mieszka Ruby Plenty Chiefs, a wskaże mi drogę.

Mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu i wypluł przeżuty tytoń na podłogę.

—Pojedzie pani pięć i trzy czwarte mili drogą wzdłuż płaskowzgórza. Potem trzeba skręcić w lewo, piaszczystą drogą za mostem, i jechać jakieś cztery mile. Nie sposób nie zauważyć chaty. Jest po prawej. Czy nie ma pani zamiaru zapłacić za te ciastka?

Zapłaciłam i wyszłam pośpiesznie. Drzwi pod uderzeniem wiatru zamknęły się za mną same. Wskoczyłam do auta, a kiedy schwyciłam kierownicę, poczułam pył pod palcami. Sprawdziłam ilość paliwa, odnotowałam w pamięci stan licznika i zajadając herbatniki ruszyłam w stronę chaty Ruby.

Przejechałam dokładnie pięć i trzy czwarte mili i zauważyłam z lewej piaszczystą drogę, pnącą się w górę zbocza. Jej nawierzchnia była w strasznym stanie, toteż jechałam zaledwie piętnaście mil na godzinę, huśtając się i podskakując na wybojach. Wiatr ucichł i na przedniej szybie zebrało się tyle pyłu, że dwa razy musiałam wysiąść, żeby ją przetrzeć. Potem zobaczyłam chatę między skałami wśród drzew, jakieś pół mili przede mną. Żadnego śladu życia, z wyjątkiem rudego jastrzębia krążącego w górze.

Kiedy zbliżyłam się do prostokątnej, zwykłej chaty z bali, zwolniłam gwałtownie, niemal zatrzymując samochód. Jakieś ogromne zwierzę leżało na ganku. Okazało się, że były to dwie martwe sarny. Ledwie wysiadłam, w drzwiach ukazała się stara Indianka z wielkim nożem rzeźnickim w ręku. Patrzyła na mnie piorunującym wzrokiem. Obleciał mnie strach, a ciarki przebiegały mi po plecach.

Kobieta ubrana była w długą wełnianą suknię i wełniane mackinaw w kolorze czarnym i czerwonym. Siwe włosy miała związane w gruby warkocz, twarz ogorzałą i pobrużdżoną. Zakasała rękawy, nadal trzymając nóż wymierzony w moją stronę.

—Czy to ty jesteś Ruby Plenty Chiefs? — wyjąkałam.

—Tak — powiedziała, czyniąc ruch nożem w moim kierunku, wyraźnie zła z powodu najścia.

— Hyemeyohsts Storm przysłał mnie tutaj. Powiedział, że pomożesz mi odnaleźć Agnes Whistling Elk. — Oparłam się o samochód, zapewniając sobie w razie, czego szybki odwrót. Byłam bliska histerii.

—Tak — odpowiedziała. — Wiem o tym. Czułam się absurdalnie. Mogłam sobie wyobrazić, jak zaprezentowałam się w jej oczach — zwariowana blond brudaska, pokryta smarem, kurzem i obsypana okruszynami po ciastkach.

—- Czy mogę wejść i napić się herbaty? — spytałam, robiąc krok w stronę ganku.

Ruby skinęła głową, odwróciła się i zniknęła za drzwiami. Zrozumiałam, że powinnam udać się za nią, ale zatrzymałam się na chwilę, aby popatrzeć na sarny. W tej samej chwili Ruby ukazała się znowu i stanęła tuż przede mną. Tym razem trzymała dwa noże. Jej stare oczy zachowały blask oczu dziecka — niecierpliwego dziecka. Podała mi jeden nóż i sucho zakomenderowała, żebym pomogła w ćwiartowaniu zwierzyny.

—O twojej podróży porozmawiamy później — powiedziała. — Porozmawiamy też o ślubnym koszyku. — Złapała mnie za rękę z siłą mężczyzny i dodała: — Prędko bierzmy się do roboty.

Byłam zaszokowana. Wskazała na nóż i powiedziała szorstko:

—Rób to, co ja, i to szybko, zanim zesztywnieją. Obie sarny leżały na boku. Ruby uklękła, poprawiła ich ułożenie i zwróciła się do mnie, dźgając sarnę nożem w miejscu, gdzie powinnam rozpocząć. Ta kobieta stanowiła klucz do tajemnicy koszyka, więc potulnie przyklękłam i zabrałam się do pracy. Ruby cięła wzdłuż kopyt, więc i ja uniosłam nóż i przeciągnęłam ostrzem wokół krawędzi kopyta. Na widok krwi i na odgłos chrzęstu rozcinanej skóry łzy popłynęły mi po policzkach. Cięłam dalej, starając się naśladować we wszystkim Ruby, ale najpierw kroiłam zbyt płytko, a potem straciłam cierpliwość i wbiłam z wściekłością nóż w głąb kości -— jeden bezsensowny cios i oderwane kopyto leżało obok mnie. Chciało mi się krzyczeć.

Stara kobieta pracowała powoli, nacinając skórę po wewnętrznej stronie nóg aż do brzucha. Zdawała się czerpać maniakalną satysfakcję z tej jatki i upewniała się na dodatek, co chwila, czy nadążam za nią. Robiłam, co było w mojej mocy, dopóki cała skóra z obu nóg nie została zdjęta. Kiedy Ruby obróciła swoją sarnę na drugi bok, z trudem zdołałam obrócić moją. Byłam pochlapana krwią, nóż i ręce lepiły się od posoki. Ruby wypatroszyła swoją sarnę — tak prędko, że masa wnętrzności chlusnęła na ganek, zanim zdążyłam się przygotować na ten widok. Pchnęłam nóż i zagłębiłam go z zamkniętymi oczyma. Potem spojrzałam w dół, na wnętrzności. Leżał w nich płód, a z wymion matki płynęło mleko. Poczułam napływające, jedna za drugą, fale mdłości. Odskoczyłam i zamknęłam oczy po raz drugi, tym razem tracąc świadomość otoczenia i poczucie upływu czasu, a potem ogarnęła mnie zupełna ciemność.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale kiedy się ocknęłam, stałam między poćwiartowanymi szczątkami. Ruby przy mnie nie było.

Po chwili wyszła z chaty, rozłożyła na ganku starą gazetę i znowu przystąpiła do pracy, tym razem wycinając wątrobę, nerki i serce sarny. Wątrobę i nerki położyła na gazecie, a serce, ciągle jeszcze ciepłe, wzięła do rąk.

— Dobrze — powiedziała. Jej palce ociekały krwią. — Zrób to samo.

Wstrzymałam oddech ze zgrozy.

— Zrób to!

Jakoś sobie z tym poradziłam. Moja kurtka i dżinsy były przesiąknięte krwią. Kiedy wyjęłam serce, Ruby wstała, odwróciła się na wschód i uniosła serce sarny ku niebu. Zaczęła śpiewać w języku Cree. Pieśń była przejmująca. Spojrzałam na księżyc i wieczorne, mroczniejące niebo. Ruby powoli zwróciła się ku mnie, nie przerywając śpiewu. Jej oczy pałały.

—Hey eeeeh hey yeeh. — Nagle pieśń urwała się i nastała uroczysta cisza. — Ta pieśń nazywa się Pieśnią Błyskawicy. Śpiewa sieją po to, żeby ukoić duszę sarny — pouczyła mnie Ruby.

Odkroiła kawałek serca i zaczęła go jeść. Wskazała nożem, abym zrobiła to samo.

—Och, nie —jęknęłam.

Dziabnęłam ostrzem w serce i wsunęłam do ust mały kawałek ciepłego, twardego mięsa. Żułam w milczeniu, z ustami pełnymi krwi.

—Ho — powiedziała w końcu Ruby i skinęła głową z aprobatą.

Powróciłyśmy do pracy. Zdarłyśmy i zwinęłyśmy skóry. Ogromne oczy saren połyskiwały w blasku księżyca. Wszystko odbywało się teraz jakby poza moimi uczuciami.

Pod kierunkiem Ruby odcięłam sarnie głowę. Wykroiłam boczek i polędwicę i wrzuciłam do kartonowego pudła. Napełniłam cztery kartony krwistym mięsem. Kiszki dostały się psom, które nadciągnęły nie wiadomo skąd, zwabione zapachem mięsa. Rzuciły się na nie szczekając, po czym umknęły, wlokąc za sobą długie pęta jelit.

Poczułam ulgę, mając tę rzeźnię za sobą, czują równocześnie takie zmęczenie, że marzyłam jedynie o spaniu. Ruby wciągnęła jeden karton z mięsem do chaty, potem wróciła po następny. Zastanawiałam się, czy ma zamiar prosić mnie do środka. Ona jednak po zabraniu ostatniego pudła zniknęła w chacie i już nie wróciła na ganek. Nieśmiało zastukałam do drzwi pięścią upaćkaną we krwi.

Otworzyła.

- Co?

—miejsca do spania.

—Umyjesz się rano. — Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

—Zaczekaj chwilę — zawołałam. — Gdzie mam spać?

—Idź spać do auta, wasichu! — Dobiegł do mnie jej opryskliwy głos.

Boże, chyba nie mówiła tego poważnie. Zaczęłam rozglądać się za jakąś polewaczką.

Sterczałam pod drzwiami ładnych parę minut, zanim dotarło do mnie, że jednak będę musiała spać w samochodzie. Zaczęłam mościć sobie możliwie wygodne legowisko na tylnym siedzeniu. Usłyszałam głos jakiegoś dzikiego zwierzęcia. Prędko zamknęłam wszystkie drzwi. Nie wyspałam się tej nocy.

Rankiem obudziło mnie łomotanie w szybę. Ruby trzymała w ręku puszkę i dwa kawałki suszonej sarniny. Wzięłam to, co przyniosła, i podziękowałam skinieniem głowy, starając się, aby wypadło dumnie i wyniośle. Puszka wypełniona była brunatną cieczą, która przypominała zapachem kawę.

Po jedzeniu poszłam do chaty. Zauważyłam, że leżąca tam głowa sarny była nadgryziona. Zniknęły kopyta i inne resztki, a krew została zmyta, czy raczej zlizana z ganku. Ruby wyszła, niosąc toporek. Skierowała się w stronę składu drewna za chatą i zaczęła rąbać, nie zwracając na mnie uwagi. Przypomniałam sobie o kocu i tytoniu w bagażniku. Przyniosłam je i podeszłam do Ruby.

—Ruby, przyjechałam z bardzo daleka. Wygląda jednak na to, że nie jestem tu mile widziana.

Ruby rąbała dalej.

—Proszę, przyjmij ten koc i tytoń. Potrzebuję twojej pomocy. Powiedziałam już, że próbuję odnaleźć ślubny koszyk. Czy wiesz, gdzie mieszka Agnes Whistling Elk?

—Tak, wiem — powiedziała, łamiąc gałąź o kolano. Wzięła koc i papierosy, położyła je na sągu drewna, odwróciła się powoli i spojrzała na mnie. — Mieszka dziewięć mil stąd. Prosto szlakiem na wschód. — Wyjęła jednego papierosa i zapaliła. — Można tam dotrzeć tylko pieszo. Ale na twoim miejscu nie robiłabym tego, zanim nie zaprzyjaźnisz się z psami.

—Twoimi psami?
— Tak. Te zwierzaki z rezerwatu są bardzo groźne, niemal dzikie. Zagryzły już niejednego człowieka. Także kilkoro dzieci. Łączą się w stada i pokonują wiele mii. Zabijają nawet jelenie, a czasem pożerają się nawzajem. Niczego się nie boją. Powinnaś zawrzeć z nimi znajomość. Muszą cię poznać, zanim będziesz mogła zacząć się tutaj włóczyć. Psy są bardziej niebezpieczne, niż ci się wydaje.
- Co mam robić? Pogłaskać je po prostu, czy co?
Zawołam je, a ty musisz stać zupełnie spokojnie. Nie okazuj strachu, bo będzie po tobie. Nie sądzę, żebym potrafiła powstrzymać psy, jeśli się na ciebie rzucą.
—Czy naprawdę może mi się coś stać?
Ruby nie odpowiedziała. Zamiast tego gwizdnęła przeraźliwie i ze trzydzieści psów zbiegło się ze wszystkich stron. Wszelkiej maści, wielkości i kształtu, kotłowały się wokół nas. Widziały, że nie ma dla nich jedzenia. Jeden z nich — wielki, czarny potwór — warknał i zaszczekał. Na to hasło wszystkie psy zaczęły wyć, jadać, charczeć i toczyć pianę z pysków. Ruby z naręczem drewna weszła do chaty.
—Poczekaj — szepnęłam za nią bezgłośnie. Wiedziałam, że jeśli któryś z psów wyzwoli reakcję łańcuchową, zostanę rozdarta na strzępy. Musiałam ukryć mój strach w najdalszych zakamarkach umysłu.
Węsząc i sapiąc psy podeszły bliżej, coraz bardziej rozzuchwalone. Z trudem powstrzymywałam się od krzyku. Kilka zimnych nosów zaczęło poszturchiwać moje stopy. Interesowały się szczegółowo moim kroczem. Czarny olbrzym wspiął się na tylne łapy, a przednimi oparł o moje ramiona i lizał mnie po twarzy. Inny obgryzał mój but, a jeszcze inny przywarł groźnie tuż za moimi plecami. Stłumiłam w sobie odruch panicznej ucieczki.
Ruby wyszła na ganek i przyglądała się, ale nie robiła nic.
—Jazda stąd, do diabła! — ryknęła w końcu. Psy umknęły przestraszone.
—Teraz znają cię wystarczająco dobrze.
Łzy zakręciły mi się w oczach. Kolana drżały pode mną. Dopiero teraz, kiedy ciężka próba była już za mną, całe moje ciało zaczęło dygotać.
—Te psy nie będą cię niepokoić, możesz być spokojna __ powiedziała Ruby. W jej dziwnych oczach czaił się uśmiech. — Możesz chodzić po okolicy, ile zechcesz. Kiedy nie znałaś psów, to było wielkie ryzyko. Teraz masz szansę dotrzeć do Agnes. Przedtem jej nie miałaś.
Stałam cały czas z zaciśniętymi kurczowo dłońmi. Zdałam sobie nagle sprawę z zupełnego braku krążenia w rękach.
—Tak — odpowiedziałam.
— Ruszaj w swoją drogę, wasichu. Może znajdziesz to, czego szukasz. Bierz. — Podała mi trzy kawałki suszonego mięsa. Wzięłam je. Odeszła, zanosząc się śmiechem. — Koszyk ślubny. Wasichu nie wiedzą o niczym.
Stałam przez chwilę zupełnie ogłupiała, trzymając w ręku mięso, a gdy się ocknęłam, poszłam do auta spakować rzeczy przed wyruszeniem w drogę do Agnes. Rozpoczęłam wędrówkę wskazanym szlakiem. Dziewięć mil to nie było daleko. Miałam na wszelki

wypadek kurtkę z kapturem, przewiązaną wokół bioder, i dodatkowy sweter w torbie. Poranna rosa leżała jeszcze na trawie. Okrążyłam skały za chatą Ruby, cały czas trzymając się ścieżki. Przede mną rozpościerała się rozległa, spokojna dolina. Wszystko wokół zieleniło się, a drzewa zakwitały. Wzdłuż szlaku wił się kręty strumyk. Wykonałam kilka ćwiczeń, aby ulżyć obolałym mięśniom pleców i starałam się zapomnieć o psach. Potem zaczęłam biec powolnym truchtem. Przebiegłam tak do końca doliny, jakieś dwie albo trzy mile. Dalej szłam zwykłym krokiem. Nad moją głową przelatywały wrony. Zatrzymałam się na płaskiej, nagrzanej słońcem skale, w miejscu, gdzie strumyk rozlewał się, tworząc małą sadzawkę. Wyciągnęłam się na wznak, obserwując obłoki, zjadłam trochę mięsa i poczułam senność. Wiewiórki dokazywały na drzewie obok, a ich gadulstwo przerywało przeraźliwą ciszę tego miejsca.

Odetchnęłam głęboko, wdzięczna za prawdziwie czyste powietrze. Można było poczuć jego świeżość na języku.

Położyłam się na brzuchu i lekko zmąciłam palcem odbicie mojej twarzy w wodzie. Drobniutkie kręgi rozbiegły się po powierzchni we wszystkich kierunkach. Nie wiem, dlaczego, ale oddałam się obsesyjnie temu zajęciu. Drążyło mnie jakieś niewyraźne uczucie — mieszanina strachu i wyczekiwania — takie jak na początku, kiedy zobaczyłam fotografię. Czułam, że wkraczam na nieznane mi terytorium. Patrzyłam w dół na ciepłą, kuszącą toń.

— Dlaczegóż by nie?

Potrzebowałam kąpieli. Zrzuciłam ubranie, zsunęłam się do czystej wody i usiadłam na omszałym występie skalnym, zanurzona po szyję. Na wpół drzemiąc, śledziłam odbicie nieba i refleksy światła na wodzie.

Nie wiem, jak długo to trwało. Ocknęłam się wraz z zimnym porywem wiatru. Czarne chmury przesłoniły słońce. Zerwałam się na równe nogi i pośliznęłam na mchu. Próbując uchwycić krawędź głazu, poczułam się nagle otumaniona i zupełnie zdezorientowana. Miotałam się w wodzie, która stała się nagle czarna pod pociemniałym niebem. Znalazłam wreszcie oparcie dla stóp i próbowałam wygramolić się z wody, kiedy pośliznęłam się znowu. Tym razem upadłam do przodu i uderzyłam twarzą o skałę. Krew popłynęła mi z nosa. Wypełzłam w końcu na brzeg, tak otumaniona, że ledwo zdołałam zebrać swoje rzeczy. Powoli dochodziłam do siebie. Zabrałam się do zmywania krwi z białego swetra, na którym widniała już podłużna czerwona plama. Z dala dobiegł grzmot i zrobiło się jeszcze ciemniej. Ruszyłam znowu biegiem, lecz starając się oszczędzać siły — te, które mi jeszcze pozostały. Szlak wiódł przez niewielkie wzniesienie, potem piął się w górę, na wysokie płasko-wzgórze. Trasa była ciężka.

Co chwila rozlegały się grzmoty. W chmurach majaczyły gigantyczne, mroczne twarze. Byłam świadoma każdego mojego oddechu, jakby ktoś inny oddychał za mnie. Miałam wrażenie, że jestem obserwowana. W końcu zrozumiałam. To sroki, które już wcześniej fruwały w pobliżu, siadły rzędem na drzewie, a ich matowe, czarne oczka śledziły mój ciężki bieg. Zachowywały się dziwacznie i agresywnie. Z coraz większym wysiłkiem posuwałam się naprzód, w stronę szerokiego kanionu. Nadciągający deszcz przesłonił krajobraz szarą kurtyną. Zimny wiatr dął w stronę widocznych na północy skał.

Zapięłam kurtkę pod szyją i biegłam dalej. Nagle szlak począł się zwężać, aż zniknął zupełnie. Zdeprymowana usiadłam na ziemi i objęłam głowę rękami.

Serce waliło mi jak młotem, czułam suchość w ustach. Samotna wrona latała nade mną kracząc. Podniosłam się, aby odzyskać orientację. Spojrzałam w dół, wzdłuż kanionu. Po obu stronach piętrzyły się wysokie skały o płaskich wierzchołkach. Wylot kanionu majaczył niewyraźnie w oddali. Dołem, pośrodku płynął strumyk. Pomyślałam sobie, że przecież szlak powinien podążać dalej z biegiem strumienia. Byłam zła — Ruby wiedziała przecież doskonale, że szlak prowadzi donikąd. Z drugiej strony powiedziała mi jednak, że mam iść prosto na wschód, a kanion ciągnął się właśnie w tym kierunku.

Ruszyłam, więc na przełaj, przez trawy.
Biegłam teraz wzdłuż kanionu. Deszcz był tuż-tuż, a wzgórza wokoło puste, ponure i szare. Po chwili bezwiednie odnalazłam ścieżkę. Poczułam ubitą ziemię pod nogami. Bogu dzięki. Zaczęło kropić, a ja biegłam, bliska zupełnego wyczerpania. Straciłam poczucie czasu. Zdawało mi się, że stoję w miejscu, wiedziałam jednak, że przebyłam już, co najmniej osiem mil.

Gdy zbliżałam się do kilku większych skał i rosnącej przy nich kępy topoli, deszcz rozpadał się na dobre. Przystanęłam, nieomal martwa ze zmęczenia. I w tym momencie dostrzegłam niewyraźny zarys chaty, przytulonej do ściętej, skalnej ściany. Czy należała do Agnes? Byłam tak wycieńczona i przemoczona, że było mi wszystko jedno. Nie zauważyłam żadnych oznak ani ludzkiej, ani zwierzęcej obecności. Wzięłam w jedną rękę gruby kij, a w drugą spory kamień na wypadek, gdyby pojawiły się psy z gatunku tych, które widziałam u Ruby. Wstąpiłam na chwiejny ganek i zapukałam do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zrozpaczona zastukałam mocniej i tym razem drzwi się same otworzyły. W środku nie było nikogo. W rogu chaty stało łóżko przykryte indiańskim kocem. Wzór na kocu wyglądał na oryginalny motyw zwany „Two Grey Hills", a ja przyłapałam się na rozważaniu, czy nie dałoby się go kupić, oczywiście, jeśli była to chata Agnes. Na parapecie stała lampa naftowa. Obok piecyka opalanego drewnem, na topornym stoliku, spoczywała niebieska, emaliowana miednica. Na gwoździach powbijanych w ściany z belek wisiały pęki ziół. Tu i ówdzie przybito kawałki kartonu dla lepszej izolacji — nawet blaszana reklama coca-coli znalazła tu praktyczne zastosowanie. W nogach łóżka stała surowa drewniana komódka, nad nią powieszono meksykańską makatkę z hiszpańskim tancerzem, a obok niej kilka grzechotek z sarnich kopyt i skrzydło sowy. Zauważyłam dwa jabłka leżące na szarym, drewnianym stole pośrodku izby. Przy stole stały trzy krzesła.

Usiadłam i zachłannie zjadłam jedno jabłko. Deszcz dudnił w blachę nad głową. Pierwszy raz w życiu byłam sama na takim odludziu. Zamknęłam drzwi, bo w izbie zrobiło się zimno. Zmierzch wydłużał cienie wewnątrz chaty, wypędzając ze mnie resztki odwagi. Poczęłam chodzić w kółko i mówić do siebie, żeby słyszeć, chociaż własny glos. Zapaliłam lampę i spróbowałam bezskutecznie rozpalić ogień w piecyku. Moje ciało poddało się zupełnie. Zjadłam trochę suszonej sarniny, a potem z desperacją sięgnęłam po stary śpiwór, który dostrzegłam w kącie. Rozłożyłam go na łóżku. Był poplamiony olejem i miał niebiesko-różową flanelową wyściółkę z myszką Mickey. Ściągnęłam mokre

ubranie i zaczęłam wpełzać do śpiwora, kiedy nagle uświadomiłam sobie, że bardzo chce mi się siusiu.

Pojękując włożyłam kurtkę i buty i z lękiem uchyliłam drzwi. Kiedy błyskawica oświetliła ganek, zobaczyłam, że był pusty. Zwlokłam się po stopniach na dół i przycupnęłam w mokrej trawie, przytrzymując się ganku dla bezpieczeństwa. Z pośpiechem wróciłam do środka, tym razem przemoczona do suchej nitki. Zamknęłam drzwi i rozebrałam się ponownie. Dygocząc z zimna wskoczyłam do łóżka i zgasiłam lampę. Deszcz ustał i zrobiło się nagle cicho. Leżałam zupełnie odrętwiała.

Nie wiem, jak długo spałam, ale przebudzenie było gwałtowne. Ktoś szarpał mnie za ramię, ciągnął za włosy i krzyczał:

— Wstawaj! Już czas, wstawaj prędko!

Otworzyłam oczy i z wrażenia zaparło mi dech w piersiach. W migotliwym świetle ujrzałam twarz, która wyglądała jakby była z wosku. Nie byłam pewna, czy to ludzka twarz. Wrzasnęłam, ale czyjaś dłoń zakryła mi usta.

— Już czas!

Obróciłam głowę na bok, próbując odzyskać przytomność umysłu.

—Co się dzieje? — zapytałam. — Czy to ty jesteś Agnes Whistling Elk?

—Tak, jesteś w mojej chacie. Wstawaj i chodź ze

Zebrałam się w sobie i chciałam narzucić dżinsy, kurtkę i buty, Agnes jednak pociągnęła mnie z tak zaskakującą siłą w stronę drzwi, że omal nie upadłam.

- Co robisz, u licha?

Agnes szarpnęła jeszcze mocniej.

— Musimy się spieszyć.

Byłam tak zesztywniała, że ledwo powłóczyłam nogami, ale wypadłyśmy z chaty biegiem. Stara kobieta poruszała się jak młoda dziewczyna. Ciągnęła mnie pomiędzy skały za chatą. Nie było tam żadnej ścieżki. Przeskakiwałyśmy przez zwalone pnie i omijałyśmy sterczące skały, które rzucały upiorne cienie. Pośliznęłam się i upadłam, skręcając nogę w kostce, ale Agnes chwyciła mnie za rękę i biegła dalej. Utrzymywałyśmy to szalone tempo przez piętnaście minut.

Dotarłyśmy w końcu do pustej przestrzeni między skalami. Niecałe dwadzieścia jardów dalej stało świetliste tipi. Jego powierzchnia jarzyła się światłem pochodzącym z wnętrza, a ze szczytu wiła się w górę smużka dymu. To było zupełnie surrealistyczne. Agnes dociągnęła mnie aż do wejścia.

— Nago! — rozkazała. –

- Co?

— Musisz stanąć przed babkami nago.

W nieprawdopodobnym tempie zdarła ze mnie wszystko, co miałam na sobie. Próbowałam protestować, ale wymierzyła mi mocny policzek. Szumiało mi w uszach i trzęsłam się ze strachu. Kiedy Agnes pchnęła mnie do i odka, byłam bliska pomieszania zmysłów.

Wokół ogniska w centrum namiotu siedziało sześć starych Indianek owiniętych w koce. Ciężki, gryzący dym unosił się w powietrzu. W czerwonym blasku żarzącego się ognia

zauważyłam, że ich twarze były jeszcze starsze niż twarz Agnes. Za nimi, na żerdziach namiotu wisiały wstążki, pióra, bukłaki i czaszki bizonów. Przed czterema z kobiet piętrzyły się niewielkie kopczyki ziemi, w których tkwiły modlitewne laseczki.
—Siadaj — powiedziała Agnes, popychając mnie na ziemię.
Przeszła obok mnie i usiadła po mojej prawej stronie. Drżałam i lękliwie obejmowałam rękami kolana, żeby zakryć piersi.
Wszystkie oczy wpatrywały się we mnie, a cienie rzucane przez blask ogniska tańczyły na ścianach tipi. Przez głowę przemknęła mi myśl o średniowiecznych sabatach czarownic. Miałam wrażenie, że ożyły nagle portrety starych Indianek z fotografii Curtisa, w których tak się lubowałam. Teraz wyraźnie ze mnie drwiły — gapiły się na mnie złośliwie.
—Dlaczego przyprowadziłaś tutaj tę kanibalkę, Agnes? — zapytała jedna z kobiet łamaną angielszczyzną. Ton głosu był zjadliwy, a ja aż podskoczyłam na dźwięk słowa kanibal.
Kobieta siedząca najbliżej trzymała w ręku długi kij, czy raczej laskę z piórami. Zaczęła najpierw poszturchiwać nią moje ramię, a potem bok. Inna pochyliła się i uszczypnęła mnie.
—To dziecko chce pójść drogą ślubnego koszyka — odpowiedziała Agnes.
Nie ośmieliłam się" nawet drgnąć. Zastygłam bez ruchu pod wrażeniem tych niesamowitych oględzin.
—Ho — powiedziała kobieta z kijem. — Dlaczego szłaś tutaj tak długo?
Kiedy zwróciłam wzrok w jej stronę, chłód przeszedł mi po kościach.
—Przybyłam tu kupić ślubny koszyk, jeśli to ten sam, który widziałam na zdjęciu, oczywiście, jeżeli nie będzie zbyt wiele kosztował — bełkotałam.
—Cicho, idiotko — powiedziała Agnes.
—Ale ja chciałam tylko... ten koszyk...
—Cicho! — syknęła Agnes. — Mów tylko wtedy, kiedy się do ciebie zwracają.
—Nie jest jeszcze gotowa — orzekła kobieta z laską. Pochyliła się i zaczęła coś szeptać do Agnes.
Pozostałe staruchy przytaknęły, kiwając głowami. Czułam się ofiarą jakiejś straszliwej konspiracji.
—Nigdy nie zdołasz jej nauczyć — powiedziała któraś. Wtedy usłyszałam dźwięk, który mogę określić jedynie jako gdakanie. Coś jakby głos ptaka, lub szaleńca. Znienacka wszystkie staruchy poczęły mi wymyślać — jedna przez drugą — i tego było już dla mnie za wiele. Byłam przekonana, że postradałam zmysły.
—Proszę, chcę tylko zobaczyć ślubny koszyk. — Sama nie rozpoznawałam własnego głosu.
Kobieta z kijem spojrzała na mnie zimno.
—Będziemy się modlić za ciebie. Będziemy śnić za ciebie — powiedziała.
Nie rozumiała, o co chodzi.
Poczułam zawrót głowy. Ziemia umknęła mi spod stóp, ja osunęłam się do tyłu. Twarze kobiet wydawały się coraz młodsze. Ich oczy były teraz jak lustra. Zobaczyłam

dziewczynę z mojego snu. Na miejscu kobiety obok mnie siedziała sarna, były tam też inne zwierzęta — wilk, ryś i jeszcze jakieś, których nie rozpoznałam. Wszystko zaczęło wirować, zamazywać się, a potem straciłam przytomność.

Zbudziłam się późnym rankiem, czując zapach dymu piecyka. Czy to również było częścią mojego snu? Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie się znajduję. Agnes parzyła herbatę.

—Jedz — powiedziała. — Śniadanie gotowe. Wstałam, wciągnęłam na siebie ubranie i podeszłam o stołu. Agnes przyniosła dwa blaszane talerze i pobawiła jeden przede mną. Sama siadła naprzeciwko. Nadal miałam dreszcze i byłam bardzo głodna. Szare światło sączyło się przez liście drzew za oknem. Padało.

Spojrzałam na stół — suszona sarnina, czarne jagody, chleb i napar z szałwi. Skupiłam się na jedzeniu. Nagle wszystko wydawało się cudowne.

—Co się działo tej nocy? Czy zemdlałam? Jak wróciłam tutaj? — zasypywałam Agnes pytaniami w poczuciu, że jestem już bezpieczna.

—Jedz — powiedziała, wskazując ręką w stronę talerza. Odeszła od stołu i siadła na łóżku, na którym spałam. Zauważyłam, że bierze do ręki moją podartą kurtkę.

Pozwoliłam, by gorące opary szałwi ogrzewały mi twarz. Małe kartonowe pudełko z suszonym mięsem, stojące na stole, nosiło ślady zaschniętej krwi. Nie przejmowałam się tym, mięso było wyborne. Zajadałam żarłocznie.

Agnes cerowała dziurę w mojej kurtce. Zebrałam się na odwagę i zapytałam:

— Czy sprzedacie mi ślubny koszyk?

— Lynn, być może o tym nie wiesz, ale znalazłaś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. — Agnes cerowała dalej, ale na chwilę podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie. Właśnie wtedy po raz pierwszy wymówiła moje imię.

—Jakie znaczenie ma ten koszyk i dlaczego mam taką obsesję na jego punkcie? Agnes była łagodna i uprzejma.

—Nic nie rozumiesz. — Nawlekła igłę i zrobiła supełek na końcu nitki, po czym odłożyła kurtkę. — Jeżeli nie będziesz słuchać głosu kobiety, która jest w tobie, zginiesz. Może któregoś dnia będziesz miała ten koszyk, a może nie. Wybór należy do ciebie. Sama będziesz musiała podjąć decyzję. Nikt nie może tego za ciebie zrobić, nawet babki.

Jej słowa nie miały dla mnie wielkiego sensu, ale ton głosu był rozbrajający. Agnes tak się różniła od jędzy, którą poznałam wczoraj, że zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy miałam do czynienia z tą samą osobą.

Policzek ciągle mnie palii. W gruncie rzeczy powinnam ją nienawidzić za to poniżenie, ale jakoś nie czułam wielkiej urazy. Jedzenie podniosło mnie na duchu, a bębnienie deszczu w blaszany dach działało kojąco.

—Co masz na myśli, mówiąc, że do mnie należy decyzja? O czym ty mówisz? Jestem kolekcjonerką sztuki.

—Nie wiem, kim jesteś — odpowiedziała. — Nie ma też żadnego wytłumaczenia, dlaczego się urodziłaś i dlaczego jesteś żywą częścią ziemi. Myślisz, że cię nie znam ani niczego o tobie nie wiem. Mogę ci jednak opowiedzieć o czymś, co kiedyś przeżyłaś. Nigdy nie widziałam wielkiego jeziora, oceanu. Wiem tyle, że kiedyś przykryła cię woda.

Łono ziemi wybrało cię i udzieliło ci swojej opieki. Był to dla ciebie wielki znak, dar matki ziemi. Dlatego śniący dotarli do ciebie. Nie wiadomo, dlaczego zostałaś wybrana. Sama musisz zdobyć głębszą wiedzę.

Pamiętałam dobrze wydarzenie, o którym mówiła. Było to w Venice, w Kalifornii. Zeszłam wtedy na plażę, wspięłam się na nadbrzeżne skały i wpatrywałam się w turkusową zieleń morza. Nagle, bez jakiejkolwiek wyraźnej przyczyny, woda chlusnęła jakieś trzydzieści stóp w górę i zalała mnie — tylko mnie i nikogo więcej spośród tych, którzy byli w pobliżu. Wisiałam potem nad
wodą, trzymając się skał, dopóki nie podpłynęli ra-townicy.

Agnes nalała jeszcze szałwi. Siedziałyśmy kilka minut
milczeniu, podczas gdy ja biłam się z myślami. - Koszyk to prastara droga kobiety — powiedziała -Agnes łagodnie.

Z jakiegoś powodu zaczęłam płakać, a potem wyspałam:

— Te podłe staruchy... zwłaszcza Ruby. Kazała mi poćwiartować sarnę. I sposób, w jaki przywitała mnie nożem... Myślałam, że mnie pchnie albo posieka na kawałki. To było okropne. Nigdy jeszcze nie przeżyłam czegoś takiego. To nie w porządku. Nienawidzę tej starej jędzy.

—Nie ma powodu, żeby nienawidzić Ruby — przerwała Agnes. — Nie chciała cię zranić. Ruby jest ślepa.

—Ślepa? — wykrztusiłam, ciągle płacząc. — Ona nie może być ślepa. Nie wierzę w to. Och, przepraszam...

—Nigdy nie przepraszaj —powiedziała surowo Agnes. — Opowiem ci o Ruby, jeśli chcesz, ale musisz słuchać uważnie. Jej historia może być dla ciebie pouczająca.

—Nigdy bym nie pomyślała, że Ruby jest ślepa. Nigdy. Opowiadaj, proszę.

— To było bardzo dawno. Kiedy Ruby była młodą dziewczyną, o jej rękę starał się Stuart, zwany Biegnącym-Wstecz. Był dobrym człowiekiem. Już nie żyje. Ruby mieszkała wtedy z dziadkiem. Pewnego dnia, kiedy jej dziadek poszedł zakładać sidła, Ruby została w domu. Posłyszała nagle hałas. Było to w czasach, gdy wszyscy jeździli jeszcze konno albo wozami zaprzężonymi w konie. Hałas narastał, więc wyjrzała przez okno i zobaczyła żelazny wóz, który poruszał się sam i wypuszczał kłęby dymu. Zatrzymał się, a czterej mierniczy stanęli obok wozu i zaczęli o czymś dyskutować.

Jeden z nich podszedł do chaty i zastukał do drzwi. Ruby była wystraszona. Nie widziała zbyt wielu białych. Byli śmiesznie ubrani i nosili rewolwery. Człowiek przed drzwiami coś wykrzykiwał. W końcu uderzył w nie tak mocno, że pękły skórzane zawiasy i drzwi przewróciły się do środka. Zobaczył Ruby stojącą przy oknie. Musiał być zaskoczony widokiem pięknej, młodej dziewczyny. Może myślał, że w chacie mieszka jakiś głuchy starzec. Podszedł do niej, chwycił ją za ramię i powiedział kilka słów, które zabrzmiały strasznie. Ruby nie rozumiała ich, ale słowa te sprawiły, że poczuła się zawstydzona.

Trzej pozostali zbliżyli się, żeby zobaczyć, z kim rozmawia ten pierwszy i weszli do chaty. Ruby zdała sobie sprawę, że znalazła się w kłopotliwej sytuacji. Domyśliła się, że ci wasichu postanowili ją zgwałcić, więc próbowała rozbić okno i uciec. Któryś uderzył ją i

pchnął w kąt izby. Jeden z nich był bardzo silnym mężczyzną. Zdjął swój pas, założył jej na szyję i pociągnął na łóżko. Zdarli z niej ubranie. Ruby błagała, żeby ją zostawili, ale oni nie słuchali. Zaczęła krzyczeć i bronić się. Zdołała jakoś uwolnić się z pętli i chwycić żagiew z paleniska. Zaczęła się piekielna bójka. Myślę, że ci czterej byli naprawdę zaskoczeni. Rozjuszeni pobili ją, ale to ich nie zadowoliło. Zgwałcili ją, jeden po drugim.

Zaczęli się potem zastanawiać, czy powinni ją zabić. Wielu mówiło później, że lepiej by się stało, gdyby ją zabili, zamiast zrobić to, co zrobili jej na koniec. Jeden z mężczyzn chciał jej dać pieniądze, żeby milczała. Wiedzieli, że nie spotka ich wielka kara za ten gwałt, bo Ruby była zwykłą Indianką, ale musieliby się wstydzić przed swoimi rodzinami. Nie starczyło im odwagi, żeby ją zabić, więc wzięli cyrkiel, którego używali do rysowania map. Cyrkiel miał ostrą szpile z jednej strony. Tak więc, zanim wyszli, wykluli jej oczy.

Kiedy dziadek Ruby wrócił i zobaczył, co się stało, zaczął zbierać zioła, żeby ją wyleczyć z ran. Karmił ją dobrze. Prędko powróciła do sił, ale siedziała cały czas w chacie i nie chciała się uczyć ani dbać o siebie. Poprosiła raz dziadka, żeby ją zabił, a wtedy dziadek uderzył ją i powiedział, że nie będzie tolerował jej użalania się nad sobą. Powiedział jeszcze, że ma teraz tylko jednego wroga — własną ślepotę. Ruby jednak nic nie obchodziło i chciała umrzeć. Jej uroda i życie zostały niszczone. Na szczęście jej dziadek był szamanem i miał przed sobą jeszcze wiele lat życia. Wiedział dużo i posiadał wielką moc.

Dostrzegł, że jej chęć życia została uśpiona i po-stanowił rozbudzić jej wolę. Zaczął działać bardzo spokojnie i systematycznie. Między innymi wprowadzał ją często w błąd. Stawiał na jej drodze przeszkody, o które się potykała, podsuwał rozpalone przedmioty albo kładł a talerzu rzeczy, które nie nadawały się do jedzenia, drażnił ją i złościł tak długo, dopóki nie zobaczył, że wraca jej wola życia. Ruby była urażona. Uznała, że dziadek już jej nie kocha.

W tym czasie dziadek siadywał, co wieczór przy księżycu i śpiewał pieśni, prosząc duchy o radę, co należy czynić, aby Ruby mogła być znów pełnym człowiekiem. Pewnej nocy ujrzał samicę szopa z młodymi. Był to znak, żeby posłać Ruby na północ — znak, na który czekał. Ruby wyruszyła w drogę.

Na północy żyli Indianie Sautoux. Nie wiedzieli jeszcze nic o białych ludziach. Ich moc nie została im jeszcze odebrana. Byli to wielcy szamani, a ich tańce miały wciąż jeszcze magiczną siłę. Jak powiedziałam, było to dawno temu.

Był wśród nich szaman, którego nawet sami Sautoux się bali. Nazywał się Cztery Sarny. Żył wysoko w górach, w chacie przyczepionej do skały, skąd mógł widzieć w dole swoją wioskę. Mówiono, że Cztery Sarny miał moc przywracania życia umarłym i czerpał swoją siłę z kobiet, które nie mogły go widzieć. Nawet ja nie rozumiem tej magii. Sautoux kazali Ruby wspiąć się na tę górę, ale żaden nie chciał jej towarzyszyć. Za bardzo się bali. Ruby poszła. Przewracała się wiele razy i strasznie pokaleczyła. Szaman obserwował w milczeniu jej wspinaczkę. Nie wołał do niej, ale ona czuła jakieś przyciąganie, które doprowadziło ją aż do niego. Kiedy dotarła na miejsce, Cztery Sarny śmiał się. Ruby zapytała go, co ma ze sobą począć. Odpowiedział, że zna tylko jeden sposób, żeby jej pomóc. Co prawda, pozostanie ślepa, ale on da jej pełnię odczuwania.

Musi ją jednak zabić po to, żeby z jej śmierci stworzyć lek. Wówczas będzie mógł użyć „mocy tych kobiet, które nie mogły go widzieć" i przywrócić jej życie. Potem Ruby będzie musiała pójść do kobiet Sautoux i uczyć się magii sarny. Będzie mogła pić tylko wywar z sarnich kopyt i jeść tylko sarnie mięso. W przeciwnym razie umrze.

Cztery Sarny zbudował rusztowanie, na którym położył Ruby. Wziął ustnik fajki i wdmuchnął jakąś truciznę do jej ucha. Ruby umarła, a jej duch powędrował do obozowiska niedawno zmarłych. Wtedy wielki szaman sporządził lek, coś zmienił w jej ciele, po czym wezwał „moce tych kobiet, które nie mogły go widzieć", aby sprowadziły ducha Ruby z powrotem do ciała. Zajęło mu to wiele dni. Ruby opowiadała, że włożył coś bardzo zimnego do jej ust, a ona zbudziła się — bardziej chora niż kiedykolwiek przedtem. Miała dziwne drgawki. Cztery Sarny uczył ją przez cztery dni, jak ma używać tej nowej energii, żeby wyczuwać wszystko, co jest wokół niej. Uczył ją też, jak ma panować nad tą siłą.

Ruby jest nadal ślepa, ale widzi więcej niż inni. Cztery Sarny wprowadził ją do środka kręgu mocy. Nauczył ją również, jak uspokajać drgawki. Kazał jej pójść do kobiet Sautoux, a potem wrócić do dziadka i uczyć się magii z jego pieśni. Ruby jest szamanką. Wie więcej o magii sarny niż ktokolwiek inny. Najpierw Cztery Sarny, a potem kobiety Sautoux nauczyły ją wszystkiego. Mam nadzieję, że przekaże komuś to, co wie, bo może się to przydać wielu ludziom.

Nie opowiadam ci o Ruby dla rozrywki. Opowiadam ci o niej, żeby cię pouczyć — ciągnęła dalej Agnes. —Jestem szamanką. Żyję często w innym świecie, ale zawsze stamtąd wracam. Byłaś tam ze mną ostatniej nocy. Zaczyna się twoje wtajemniczenie w wiedzę, która jest stara jak czas. Śniący dotknęli cię. Może być tak, że czasem spojrzysz na siebie przez ramię albo tak, że na nic nie zwrócisz uwagi. Możesz wybrać ślepotę albo pójść za swoim przeznaczeniem.

Agnes była cierpliwa. Zaświtało mi w głowie, że wciąga mnie ukradkiem jakaś siła, która pozostaje poza moją zdolnością rozumienia. Powoli zaczęłam układać w całość wydarzenia ostatniego miesiąca. Odchyliłam się w krześle, ociężała, sparaliżowana. Przyszło mi na myśl, w tym, że zostałam wybrana, krył się może mój własny wybór. Z każdą zmianą okoliczności, po każdym nowym oku czułam się coraz bardziej przywiązana do moich marzeń o koszyku. Nie wiedziałam, co tak mnie ku niemu popychało — mój instynkt kolekcjonerski czy senne wizje, — ale w końcu, jakie to miało znaczenie?

Agnes najwyraźniej poczuła, że mam już zamęt w głowie, bo uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Bez słowa zaczęła sprzątać ze stołu. Wpatrywałam się w wytarte drewno i okruszyny chleba na nim. Moje życie było podobne do tych okruchów. Zrozumiałam to nagle, ale nie czułam nic, tylko obojętność.

—Chodź, wracasz do Kalifornii — powiedziała Agnes dotykając mojego ramienia.

—Jak to wracam? — zapytałam. — Nie mam koszyka. Nie mogę jeszcze jechać.

Nałożyła ciepłą wełnianą bluzę i zdecydowanym ruchem wcisnęła mi kurtkę do ręki.

—Idziemy do Ruby — zarządziła. — Odsyłam cię do domu.

Agnes podeszła do komódki, wyciągnęła z niej coś i położyła przede mną na stole. Był to kolczyk zrobiony z koniuszka rogu jelenia z wprawionym turkusem.
— Ruby prosiła, żebym dała ci ten kolczyk w razie niebezpieczeństwa. Weź go, to twoja osłona.
—Osłona? Przed czym miałaby mnie osłaniać? Jak kolczyk mógłby mnie chronić?
—Nałóż go — rozkazała. — I nigdy nie pozwól go dotknąć żadnemu mężczyźnie z wyjątkiem mężczyzny heyoka, i to tylko w jego kobiecym czasie.
Nałożyłam kolczyk. Agnes była już za drzwiami. Złapałam torbę i pobiegłam za nią.
—Kobieta rodzi się pełna — mówiła Agnes po drodze. -— Mężczyzna musi być dopełniony przez kobietę. Niektórzy mężczyźni osiągają to za pomocą ziół albo jeszcze innymi sposobami. Są tajemnice, których nie mogę ci wyjawić.
Szłyśmy szlakiem na zachód, a Agnes mówiła dalej:
— Istnieją różne rodzaje sił. Niektóre moce mogą cię zabić albo sprawić, że będziesz pragnąć śmierci. Jeśli postanowisz zdobyć koszyk na przekór tym mocom, będziesz potrzebowała odwagi i siły woli. Kolczyk pomoże ci przekraczać granicę między twoim światem a moim. Przynagliła mnie gestem do szybszego marszu. Z trudem dotrzymywałam jej kroku.
—Rzeczy, które pomagają ci w twoim świecie — twoje karty kredytowe, samochód, stroje, które tam nosisz — nie mają tu żadnego znaczenia. Nie pomogą ci w niczym.
Powietrze było krystalicznie czyste i przyjemnie było wdychać zapach wilgotnej ziemi. Przeszłyśmy w milczeniu około jednej mili. Wspomnienie świetlistego tipi nie dawało mi spokoju, podobnie jak miano kanibalki, którym mnie obdarzono.
—Agnes, co ona miała na myśli, nazywając mnie kanibalką? — zapytałam w końcu.
Agnes uśmiechnęła się. Nie zwalniając kroku, wyjęła kawałek suszonego mięsa z kieszeni bluzy na piersiach. Podsunęła mi go pod usta, zachęcając do jedzenia. Odgryzłam jeden kęs, bo nie czułam jeszcze głodu, a poza tym żucie wymagało pewnego wysiłku.
Dotarłyśmy do miejsca, gdzie szlak się urywał, i zaczęłyśmy zstępować w dół, do kanionu. Zobaczyłyśmy kwiaty, które zakwitły po deszczu. Mieniły się kolorami, a ich płatki drżały leciutko na wietrze.
—Zeszłej nocy odwiedziłaś babki — powiedziała. —Udzielą ci pomocy, bo zostałaś wybrana przez śniących. Babki pomagają mi cię uczyć. Zobaczyłaś świat, który jest dla ciebie dziwny i obcy. Wielu rzeczy nie rozumiesz.
Agnes umilkła. Przycupnęła przy kępce kwiatów i uniosła niebieską główkę jednego z nich. Pochyliłam się nad nią, żeby lepiej widzieć.
—Kiedy potrafisz przemawiać do roślin — powiedziała — to wiesz, że roślina ma duszę. Kiedy zjadasz tę roślinę, ona przekazuje ci swoją siłę. Otrzymujesz moc z ducha rośliny. — Zerwała jeden kwiat i zjadła go. — "patrzę na ciebie i widzę, że nie rozumiesz, o czym mówię.
Nerwowo odgryzłam kawałek suszonej sarniny.
—Mięso, które teraz jesz, to twoja siostra. Zjadamy naszych braci i siostry. Jesteś kanibalką. Twoja siostra zginęła, żeby utrzymać ciebie przy życiu.

Kiwnęłam głową na znak, że zrozumiałam, i poszłyśmy dalej. W kanionie roiło się od ptaków, motyli i gryzoni — trwała wiosenna krzątanina zwierząt.
—Tak — podjęłam. — Myślę, że zaczynam rozumieć, dlaczego myślisz o ludziach jako o kanibalach. Nie rozumiem jednak, dlaczego musiałam zostać aż tak poniżona. Mówię o tym, jak zostałam rozebrana do naga przed tymi staruchami... babkami — poprawiłam się.
—Żeby zacząć stawiać pierwsze kroki na czerwonej ścieżce kobiecości, musisz być naga pod każdym względem — powiedziała Agnes.
Wyszłyśmy za skalny załom u wylotu kanionu. W oddali zobaczyłam strumyk i sadzawkę. Patrzyłam na skały nad sadzawką i jeszcze raz uderzyło mnie piękno tego miejsca. Nagle Agnes zapytała zmienionym tonem:
—Czy jesteś kobietą?
—Tak.
—Czy jesteś kobietą, kiedy jesteś naga?
—Tak — odpowiedziałam.
— Czy masz pochwę?
— Tak.
Nie miałam pojęcia, do czego zmierza, zadając mi te pytania. -— Czy masz teraz menstruację?
— Tak.
— Nie wiedziałyśmy o tym. U nas nazywamy to księżycem. To czas największej siły kobiety. Ostatniej nocy musiałyśmy się upewnić.
Zarumieniłam się. Resztę drogi do płaskiej skały przy wodzie przebyłyśmy w milczeniu. Byłam szczęśliwa, że mogę trochę odpocząć. Zamknęłam oczy i ziewnęłam.
Nagle usłyszałam głośny trzask, coś jakby odgłos wystrzału.
— Obudź się! — krzyczała Agnes.
Zerwałam się na równe nogi i rozejrzałam wokół.
— Skąd możesz wiedzieć, że nie będę chciała cię zabić? —zapytała, odrzucając dwa spore kamienie, które trzymała w dłoniach.
Wyglądała groźnie, jakby była wyższa niż przedtem.
—Siadaj — powiedziała, wskazując na ziemie. — Teraz porozmawiamy o ślubnym koszyku. Musisz dowiedzieć się paru rzeczy, żebyś była przygotowana na to, co się może zdarzyć.
Kiedyś przyszedł tutaj pewien mężczyzna, całkiem zwyczajny człowiek. Nazywał się Pearson, ojciec Pearson. Mówił, że wie wszystko o dwóch rodzajach widzenia. Mógł spojrzeć w górę i widzieć oraz słyszeć dobre duchy. Gdzieś tam, w dole, w głębi matki ziemi były duchy złe. Pokazał nam znak z dwóch skrzyżowanych linii i powiedział, że nie jesteśmy w równowadze. Wszyscy uważali, że to bardzo śmieszne.
Pewien starzec, zwany Dwa Kojoty, użalił się nad nim i postanowił go uczyć. Pokazał mu, co się nosi w woreczku z lekami, ale za każdym razem, kiedy zaczynał uczyć go o kobietach, ksiądz strasznie się gniewał. Dwa Kojoty powiedział mu, że jeśli naprawdę chce się dowiedzieć, jak korzystać z mocy, powinien przyjść i nauczyć się tego ode mnie.

Nie był zachwycony, ale ponieważ był inteligentny, posłuchał. Szaman nie może zaistnieć bez kobiety, szamanki. Szaman otrzymuje od niej siłę, tak było zawsze. Jest jej narzędziem. Trudno w to uwierzyć, ale to prawda.

Przyszedł do mnie, a ponieważ Dwa Kojoty był moim przyjacielem, przyjęłam go do siebie jako ucznia. Był sprytny i uczył się szybko. Widziałam, że w miarę postępów w nauce zakochał się we mnie, co się mężczyznom często przydarza. Nie kochałam tego białego, nawet go nie lubiłam. Jednak wiedziałam, że jego potęga rośnie.
Pewnego dnia wyznał mi miłość i chciał mnie posiąść. Pragnął mojej władzy i siły, ale ja nie chciałam mu jej dać. Powiedziałam, że będzie musiał znaleźć sobie inną kobietę, która zgodzi się go uczyć. Zazdrość była u nas nieznana w tamtych czasach. W jego oczach zobaczyłam tylko nienawiść. Zdecydowałam, że pozwolę mu żyć z jej smakiem w ustach. Nienawiść smakuje jak spalone ziarno. Kiedy idzie w parze z wiedzą, stanowi ogromną siłę, której prawie nic się nie oprze.

Od tamtej chwili do końca nauki kazałam mu nosić maskę. Można stworzyć maskę, która potrafi powstrzymać uczucia. Każdy heyoka to potrafi. To nic trudnego nakłuć twarz kościaną igłą w odpowiednim miejscu, a potem taki człowiek chodzi szczęśliwy i pełen miłości, chociaż to też tylko maska. Maska, którą nosił tamten, miała jednak wyłącznie powstrzymać nienawiść.

Nauczył się mnóstwo. Mało, kto by tyle potrafił. Zna świat natury jak nikt i może zrobić wszystko, na co ma ochotę. Może tego nie zrozumiesz, ale ten człowiek został stworzony z mocy. Pokazałam mu tyle, by mógł zostać szamanem. Ale to mu nie wystarczało. Wolał zostać wielkim czarownikiem. Powoli posiadł resztę wiedzy i jest teraz chyba najpotężniejszym magiem na ziemi. Zrzucił szatę księdza, przyjął imię i nauczył się, jak być niewidzialnym. Jego imię brzmi Człowiek-Który-Prze-chwytuje-Drogę albo Przebrana Droga. Niektórzy mówią, że zwie się Ognisty Pies albo Ognisty Żołnierz. My, którzy go znamy, nazywamy go Rudym Psem.

Przyjęło się, że koszyk ślubny był zawsze pod moją opieką. Powstał dzięki wspólnym wysiłkom tych kobiet, które go wypłatały, i tych, które śniły. Był bardzo piękny i święty dla wszystkich kobiet. Rudy Pies znalazł koszyk któregoś dnia, kiedy wyszłam z domu. Nie sądziłam, że odważy się go ukraść, ale on to zrobił. Musiał zdobyć coś, co mogło mu dostarczyć kobiecej siły. Koszyk miał więcej mocy niż jakakolwiek kobieta.

Sama rozumiesz, że nie mogę ci dać koszyka. Musisz go wykraść Rudemu Psu, a ja nie potrafię wyobrazić sobie czegoś bardziej niebezpiecznego. Mam cię nauczyć, jak to zrobić. Rudy Pies nie może mnie dosięgnąć. Ciebie jednak może zabić z łatwością, a zawsze ma się na baczności. Nie będzie to łatwe, ale jeśli okażesz się dzielna, może zdołasz tego dokonać. Nie mogę ukraść go sama, bo takie jest prawo śniących. Mam nadzieję, że podejmiesz się tego.
—Ukraść?! Nie mogłabym ukraść niczego — powiedziałam oburzona.
Agnes popatrzyła na mnie złym wzrokiem.
—Nigdy w życiu niczego nie ukradłam — skłamałam.
—Interesują mnie twoje zdolności, a nie twoje zasady. Jeśli chcesz tego koszyka, musisz nauczyć się kraść.

3

Nikt nie pozostaje czarodziejem przez cały czas z tym żyć?
Pablo Picasso

Holmby Park był pusty o tej porze, nie licząc kilku osób uprawiających jogging i paru starszych panów, spacerujących z psami na smyczach. Zrobiłam głęboki skłon, dotykając palców u nóg, wykonałam parę głębszych oddechów i pobiegłam powoli alejką prowadzącą w stronę trawników do gry w kręgle. Trawa była soczysta i świeża, a woda z opryskiwacza mieniła się w powietrzu jak kryształ. Spojrzałam w górę na drzewa i zamożne rezydencje otaczające park. Ostatni raz biegałam w Kanadzie. Nie było tam alei ze szpalerami drzew, tylko bezkres kanadyjskich stepów.

Agnes kazała mi bardzo poważnie zastanowić się, zanim wrócę do Kanady. Pozostanę tam przez wiele tygodni, może miesięcy, a może w ogóle nie wrócę. Może nawet zginę. Gdybym zdecydowała się zostać jej uczennicą, dowiedziałabym się, jak ukraść koszyk. Jednak tu, w Los Angeles, wymyślałam wszelkie możliwe przeszkody — głównym powodem był jednak strach, lenistwo i moje wieczne wątpliwości. Wmawiałam sobie, że nie ma pośpiechu, że mam jeszcze czas. Biegłam teraz przez południową część parku. Powrót do joggingowej rutyny dobrze mi robił.

Wróciłam do domu zlana potem i wyczerpana. Wzięłam prysznic, otuliłam się szlafrokiem i rozczesałam włosy. Moje myśli były pełne koszyków i starych kobiet.

Przeszłam do sypialni, nałożyłam białą sukienkę i buty na wysokich obcasach. Chciałam coś zrobić, żeby, choć na chwilę uciec od tych rozważań. Roztargniona, pojechałam do bistro „Garden" na spotkanie z moją przyjaciółką Caroline.

—Oho, wygląda na to, że jesteś w świetnym nastroju — powitała mnie Caroline. Bezpośredniość była jedną z głównych cech naszej przyjaźni. Spotkania z Caroline zawsze podtrzymywały mnie na duchu.
- Jestem podenerwowana — powiedziałam,
—To znaczy?
—Może za parę dni polecę do Kanady, żeby zamieszkać u tej szamanki, o której ci opowiadałam. Zobaczymy. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Zdaje się, że oszalałam, to wszystko.
—Robiłaś już różne dziwne rzeczy, ale jechać do Kanady, żeby mieszkać z tymi łowcami głów, czy kim oni lam są, to chyba lekka przesada.
Popatrzyłam tępo na Caroline i pociągnęłam spory łyk martini. Drink palił mi usta, ale działał jak trzeba — ostro i kojąco. Natychmiast poczułam się pijana.
Bistro było zatłoczone eleganckimi ludźmi. Rzędy stolików dzieliły przepierzenia z ozdobnego szkła i mosiądzu. Na każdym stoliku stał bukiet kwiatów. Wyłożone lustrami ściany odbijały w nieskończoność szeregi pięknych, uśmiechniętych twarzy. Wszystko było takie jak zwykle, a jednak absurdalne. Zmuszałam się, by siedzieć prosto i spokojnie na czerwonej, wyściełanej kanapce.
Przyniesiono naszego parzonego łososia. Polałam go sosem bearnaise ze srebrnej sosjerki. Wspomniałam kartonowe pudełko pochlapane krwią.
— Co się z tobą dzieje? — zapytała Caroline.
— Caroline, czy nie pojechałabyś ze mną do Kanady? — rzuciłam żartobliwym tonem. — To nie Rio, moglibyśmy jednak zamieszkać razem w tej małej, oryginalnej chacie. Obsługa nie jest zbyt dobra, ale jest przynajmniej spokój.
Caroline zamówiła następne drinki.
— A są tam, chociaż jacyś w miarę przyzwoicie wyglądający mężczyźni? — zapytała.
— O tak, całe fury, do wyboru — odpowiedziałam, przypomniawszy sobie dwóch Indian, którzy przyglądali się, jak zmieniałam koło.
—Dziękuję. Myślę, że wyskoczę na Hawaje. Kanada to brzmi trochę zbyt szorstko, jak na mój gust.
— Znowu miałam te straszne sny. — Zmieniłam temat.
—Nie dziwię się, ty idiotko. A czego się spodziewałaś, włócząc się z tymi dzikusami?
— Oni nie są dzikusami. To po prostu inni ludzie, i żyją w inny sposób.
—Rzeczywiście inni. Budzić cię w środku nocy i straszyć niemal na śmierć. Doprawdy! A do tego jeszcze chcą, żebyś coś ukradła.
—Nie ma innego sposobu, żeby zdobyć ten koszyk — powiedziałam, licząc na słowa zachęty z jej strony. — Poza tym, nie chodzi o prawdziwą kradzież. To taki sposób uczenia. — Machinalnie dotknęłam rogowo--turkusowego kolczyka.
—Niech się tam sobie nazywa, jak chce. A swoją drogą, nie masz już dość koszyków? Co z tymi starożytnymi opaskami biodrowymi, coś nowego?
Wyszłyśmy z restauracji i poszłyśmy do County Museum obejrzeć nową wystawę afrykańską. Dotarłyśmy tam na godzinę przed zamknięciem. Zaczęłyśmy od Ahmanson

Gallery. W ciszy jej pomieszczeń, otoczona maskami z Wybrzeża Kości Słoniowej, poczułam się lepiej.
—Popatrz na tę — powiedziała Caroline. Spojrzałam na spokojną maskę młodej kobiety, jedną z tych, których używało tajemne zgromadzenie plemienia Ibo w Nigerii, zwane Mmwo. Rysy miała wyraziste, fryzurę niemal w stylu egipskim. Oczy stwarzały wrażenie ślepych na zwykłe, ludzkie widzenie. Inna płaskorzeźba z plemienia Ibo wyobrażała wojownika jadącego na grzbiecie zębatego, pokrytego łuską stworzenia. Wojownik trzymał kielich i grzechotkę. Monstrum, którego dosiadał, stanowić miało projekcję jego zdolności zabijania. Grzechotkę dzierżył w prawej ręce. Przypomniałam sobie, że wiele plemion w południowo-zachodniej Nigerii wyznawało kult prawej ręki, czyli tej, którą utożsamiano ze sprawnością wojownika. Przyszła mi na myśl grzech' tka, którą widziałam u Agnes na ścianie.

Przyłapałam się na rozważaniu, jak może wyglądać Rudy Pies. Te monstrualne, pierwotne przedstawienia wyzwoliły prawdopodobnie łańcuch koszmarnych skojarzeń. Miałam tylko nadzieję, że nigdy nie będzie mi dane oglądać go osobiście.

Przy wyjściu zauważyłam motyw, który bardzo mi się spodobał. Na uchwycie wachlarza widniał bożek w dwóch postaciach splecionych w jedno ciało. Przesunęłam delikatnie palcami po starym drewnie.
—Nie identyfikujesz się z tym? — zapytałam Caroline.
—Nie, ale widzę, że ty bardzo. Roześmiałyśmy się.
—Jedziemy do domu — powiedziałyśmy obie na raz, unisono.

W mieszkaniu skuliłam się przed kominkiem z moim pieskiem Kona i Panterą śnieżną Petera Matthiessena. Było przytulnie i ciepło, a ja czułam się wycieńczona.

Siedziałam, patrząc w trzaskający na kominku ogień. Położyłam rękę na telefonie, myśląc, że dobrze byłoby móc zadzwonić do Agnes. Jednak żeby z nią porozmawiać, trzeba było odbyć podróż do Manitoby. Zerknęłam na moją kolekcję lalek katcina, spoczywających w cieniu na gzymsie kominka. W świecie rządzi dualizm — wszystko, co materialne, ma swój duchowy odpowiednik w świecie reprezentowanym przez katcina. Tańczące odblaski ognia budziły je teraz z uśpienia. Ich duchy zdawały się ożywać. Pierzaste ozdoby i jasno pomalowane korpusy lalek mówiły o innym, tajemniczym bycie. Przypomniałam sobie, że Picasso pozostawał pod silnym wrażeniem magicznej rzeźby afrykańskiej, i wzięłam do ręki książkę, żeby jeszcze raz rzucić okiem na ten fragment.

Zrozumiałem, co ta rzeźba znaczyła dla Murzynów. Dlaczego rzeźbili w taki, a nie inny sposób. A przecież nie byli kubistami — kubiści jeszcze nie istnieli. Oczywiście, zawsze tak było, że jedni wymyślali wzory, a drudzy je naśladowali — czyż nie to właśnie znaczy tradycja? A jednak wszystkie fetysze były obliczone na to samo- Były bronią — miały chronić ludzi przed owładnięciem przez duchy, pomagać w uzyskaniu wolności. Były narzędziami. Panny z Awinionu musiały wtedy powstać, nic ze względu na formę, ale dlatego, że były moim pierwszym egzorcyzmem na płótnie! Oto, dlaczego namalowałem później więcej obrazów podobnych do tych wcześniejszych, jak Portret

Olgi i inne portrety — nikt nie pozostaje czarodziejem przez cały czas! Jakże mógłby z tym żyć?

Później leżałam w łóżku, patrząc w światło księżyca przenikające przez zasłony i słuchałam znajomego pohukiwania sowy. Chłodne powietrze powiało do środka i poczułam się niepewnie. Miałam dziwne wrażenie, jakbym się nagle ocknęła ze snu. Hałas grzechotki narastał w uszach i przeradzał się w ciągły, dokuczliwy i wibrujący dźwięk. Ujrzałam, że koszyk ślubny znów mnie atakuje. Tym razem był pełen kruków bijących skrzydłami, kraczących i patrzących na mnie połyskliwymi oczyma. Coś popychało koszyk z góry prosto na mnie. Zatrzymał się tuż przed moją twarzą, na wyciągnięcie ręki, a z jego ciemnej formy wyłoniła się twarz mężczyzny, ogromnego katcina. Miał szkliste oczy, otwarte usta, a ciało pomalowane w dzikie wzory. Krzyknęłam i zbudziłam się. W tej samej chwili zadzwonił telefon.
—Halo — odezwałam się zachrypniętym głosem.
Ho, Lynn, mówi Hyemeyohsts Storm.
Och, poczekaj chwile. Tak się cieszę, że to ty Miałam następny straszliwy koszmar.
—Opowiedz mi o nim — powiedział łagodnie. Usiadłam, zapaliłam światło i opowiedziałam sen ze szczegółami.
—Jedziesz do Kanady? — zapytał.
Poczułam ucisk w żołądku. Kona wskoczył na łóżko i nerwowo przywarł do mojego boku. Drżał na całym ciele.
-Jeszcze nie wiem. A co z moim snem?
—Jestem w Nowym Meksyku, w interesach — powiedział Storm, ignorując moje pytanie. — Myślałem jednak o tobie i teraz wiem, dlaczego. Powinnaś przyjąć do wiadomości, że śniący cię wybrali. Przypominasz sobie ten kłębek wilczej sierści, który ci dałem, kiedy rysowałem mapę? Nawet nie śpij bez niego, bo złe siły — inne niż siły śniących — będą próbowały cię dosięgnąć. Futro wilka cię ochroni. Jako łowczyni jesteś także zwierzyną. Zrozum, że wszystko zależy od twojej woli. Czym są spowodowane twoje nocne lęki, jak nie upadkiem woli? Muszę kończyć. Pozostawiam cię wewnątrz zwierciadła stworzenia, lecz dotykającą kręgu świata. —-Odłożył słuchawkę.
Patrzyłam na telefon, stropiona obcesowością tej rozmowy. Co on takiego powiedział? Wola? Upadek mojej woli? Woli, czego? Sięgnęłam po notatnik i zapisałam jego słowa. Kiedy skończyłam notować, wiedziałam już, co miał na myśli. Tliła się we mnie mała iskierka próbująca zapłonąć, lecz ciągle brakowało jej siły. Wiedziałam, że moja wola była w jakiś sposób podtrzymywana i w pewnej chwili popchnie mnie ku mojemu przeznaczeniu. Czułam, że zbliżam się do ciemnej przepaści i że nadejdzie czas, gdy będę musiała skoczyć w jej mroczną czeluść. Rozpłakałam się. Płakałam, aż znowu zmorzył mnie sen.
Obudziłam się rano z podpuchniętymi oczami. Natychmiast włożyłam kłębek wilczej sierści do woreczka z lekami, jednego z tych, które miałam w kolekcji. Położyłam woreczek na nocnym stoliku.

O czwartej po południu przyjechał Ivan z George'em i Pamelą Helmstead — tymi z przyjęcia u Artura — żeby obejrzeć to, co Ivan lubił nazywać „wigwamem z Beverly Hills". Spędziłam sporo czasu na pokazywaniu i objaśnianiu mojej kolekcji. W przerwach między jednym obiektem a drugim opowiedziałam im w skrócie o moich przeżyciach w Kanadzie. Ani na chwilę nie przestawałam mówić. Helmsteadowie słuchali uprzejmie, ale uśmiech Ivana był wymuszony.

Wyszliśmy do patio na herbatę i ciasteczka. Barwne pnącza zwieszały się nad nami, odcinając czerwienią od błękitu nieba.

— I po cóż uczyć się kraść koszyki, Lynn? — zapytał Ivan. Odgryzł kawałeczek ciastka.
— Nie lepiej kraść przepisy kulinarne, tak jak inne kobiety? — Natychmiast pośpiesznie dorzucił: — Te ciasteczka są znakomite.
— Mam nadzieję, że się nimi udławisz — odparowałam. George i Pamela wybuchnęli śmiechem.
—Nigdy nie udałoby ci się ukraść tego koszyka z mojego banku — napuszył się George.
— Swoją drogą, nie zadajesz się tam ze zbyt uczciwymi ludźmi. Na pewno stracisz ten koszyk, bo ktoś inny z kolei zwędzi go tobie.
- Niewykluczone, że pociąga mnie samo wyzwanie. — Posłyszałam własny głos. — Agnes mówiła, że mogę zginąć, podejmując tę próbę.
— Naprawdę mogłabyś zostać zamordowana? — zapytała Pameła z niedowierzaniem.
— Tak powiedziała Agnes.
— W takim razie zapomnij o tym. To tylko koszyk. — Pamela wypiła łyk herbaty.
— Może pozostaję w mocy jakiegoś zaklęcia, ale fascynuje mnie to do głębi. Poza tym, to nie jest „tylko koszyk".
— Nie mogłabyś pojechać do Kanady i po prostu dowiedzieć się, czego dokładnie ta kobieta chce od
ciebie? — odezwał się Ivan. — Pojadę tam z tobą i sprawdzę na miejscu, czy ta szamanka nie jest przypadkiem zwykłą szarlatanką. Co ty na to?

Nie wiem, co począć. Agnes powiedziała wyraźni, że nikt nie może mi towarzyszyć.
— To oszustka — zawyrokował Ivan.

Pogadaliśmy jeszcze trochę, dokończyliśmy herbatę odjeżdżającymi, a potem zabrałam się do czytania jakiejś książki z happy endem.

Wieczorem wsiadłam do samochodu i pojechałam do La Famiglia na kolację z Arnoldem Schulmanem. W chłodnym powietrzu unosił się intensywny zapach jaśminu.

La Famiglia jest zwykle wypełniona ludźmi na tyle, by mogła być uważana za interesujące miejsce spotkań. Można tam siedzieć długie godziny przy kolacji i spokojnie rozmawiać. Brzmi to tak, jakbym miała zwyczaj przesiadywać tam bez ustanku, niemniej jest to jeden z najlepszych sposobów, żeby pobyć trochę wśród ludzi w Los Angeles. W Rzymie albo w Paryżu wystarczy wyjść na ulicę, żeby znaleźć się w nurcie życia, W Los Angeles nie.

— Nie widzieliśmy się kawał czasu — powiedziałam do Arnolda, kiedy już usiedliśmy. — Wyjeżdżałeś?
Arnold uśmiechnął się.

—Prawdę mówiąc, dopiero co wróciłem z peuwiańskiej dżungli. Może cię to zdziwi, ale pojechałem tam wyłącznie w celu poszukiwania pewnego halucynogenu, zwanego ayahuasca. Indianie nazywają go pnączem śmierci, a William Burroughs „ostatecznym rozstrzygnięciem". Wynająłem indiańskiego przewodnika i pojechałem w górę Amazonki, żeby odszukać pewnego znachora. Uprzedzano mnie, że szukanie go to beznadziejna sprawa, nie wspominając już o nauce u niego. Przerąbywaliśmy się przez dżunglę, niemal wykończeni przez wilgoć i moskity. W końcu dotarliśmy do wioski, w której mieszkał. Wszyscy mieszkańcy wyszli na polowanie. Wszyscy, prócz niego. Siedział na zrobionym z żerdzi tarasie, w czapce baseballowej i hawajskiej koszuli. Uśmiechał się.
— Musiał cię niezwykle zainteresować.
Żebyś wiedziała. Był do tego strasznie stary i chudy. Kiedy ludzie zażywają ayahuasca, opuszczają swoje ciała. W tym czasie znachor bada ich, a jeśli coś jest nie w porządku, leczy. Miałem zamiar wziąć udział w takiej ceremonii.
— I co zrobiłeś?
— Pogadałem z nim przez mojego przewodnika i zgodził się dać mi spróbować pnącza śmierci. Kazał usiąść naprzeciw siebie i zrobił się śmiertelnie poważny. Była już noc.
— Bałeś się?
— Oczywiście. Ale nie tak, jak wówczas, gdy wróciłem do domu i przeczytałem, że ayahuasca jest około pięćdziesięciu razy mocniejsza od LSD.
— Też o tym słyszałam, ale różnica, jak się zdaje, polega na jej leczniczych właściwościach. Czy to prawda?
— Albo cię zabije, albo uleczy, jak powiadają. Roześmialiśmy się.
— Arnoldzie, to przerażające. Co było dalej?
— Najpierw dałem mu butelkę Jacka Danielsa i jeszcze parę drobiazgów, a potem usadowiliśmy się naprzeciw takiej małej, prowizorycznej kapliczki. Ledwo widziałem w tych ciemnościach. Paliła się tylko jedna świeczka. Zauważyłem figurkę Matki Boskiej, jakieś rzeźbione w drewnie fetysze, pióra i woreczki przewiązane tasiemkami. Obok stała wydrążona tykwa podparta patykiem, i stary zaczął coś nad nią śpiewać. Wreszcie zanurzył w niej połówkę polerowanej skorupy orzecha kokosowego, zaczerpnął i podał mi. Śmierdziało i smakowało jak wymioty. Zmusiłem się do przełknięcia, oddałem mu czarkę i on też wypił. Powiedział, że to będzie trwało najwyżej pięć, sześć godzin, ale kiedy wzeszło słońce, a ja wciąż przeżywałem odlot, poczułem, że jestem w niezłych opałach. — Arnold zaśmiał się, ale ja byłam poważna.
Czego doświadczyłeś? — zapytałam.
— To, czego doświadczyłem, było jedyne w swoim rodzaju i trudno to opisać. Przelatywałem z niebywałą prędkością nad życiem innych ludzi — ludzi, których znałem. Widziałem ich i słyszałem, jak rozmawiali i wykonywali różne codzienne czynności. Czułem, że postrzegam ich w jakimś istotniejszym wymiarze, jakby nasza zwykła rzeczywistość była czymś sztucznym.
Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.
— Arnoldzie, chyba nie zrobiłeś tego tylko, dlatego, żeby to później opisać?

Arnold złożył serwetkę i posłał mi łobuzerski uśmiech.
— Nie.
Dlaczego ryzykowałeś? Masz przecież wszystko. Twój dochód grubo przekracza milion dolarów rocznie. I do tego wszystkiego jesteś chyba szczęśliwy.
Arnold zastanawiał się.
— Może jest z tym tak, jak powiedział Nietsche: „To, co nie zdoła mnie zniszczyć, wzmacnia mnie".
Znowu zamilkł na chwilę, a potem spojrzał na mnie wyczekująco.
— Okay, pomówmy dla odmiany o twoich doświadczeniach. Patrzysz na mnie tak natarczywie...
Wsunęłam do ust kawałek cielęciny i zastanowiłam się. To, co wydarzyło się w Kanadzie, było dużo mniej namacalne od zażycia narkotyku i halucynacji w ściśle określonym czasie.
— Teraz, kiedy mogę już opowiadać, nie wiem, od czego zacząć. Miałam przez dłuższy czas powracające sny, dotyczące spotkania z pewną szamanką Agnes. Czuję się trochę zagubiona.
Mówiłam dalej i zrelacjonowałam Arnoldowi obszerne fragmenty całej historii i to, jak koszyk stał się moją obsesją. Musiało to brzmieć jak relacja z nocnego koszmaru.
— Jedyną rzeczą, jaką mam, jest ten kolczyk. Zostwiłam go w domu, ale pokażę ci przy okazji. Arnoldzie, mam nadzieję, że nie uznasz tego za absurd?
— Ależ Lynn, wszystko jest tylko poszukiwaniem.
Sądzę, że masz rację.
Jednak paru rzeczy nie rozumiem. Czym jest ten kolczyk? Co on oznacza?
— Mogę powtórzyć tylko to, co powiedziała Agnes. — Spojrzałam w lustro za plecami Arnolda i zobaczyłam jedynie odbicie mojej własnej frustracji. — Agnes powiedziała, że koszyk został wypleciony przez „śniące" i przedstawia niewyobrażalną otchłań, czyli łono kobiety. Istnieje prawo, że wszystko musi się narodzić z kobiety, nawet rzeczy wymyślone przez mężczyzn. Gwiazdy narodziły się z otchłani, która jest również kobieca. Opatrzność stworzyła element męski dla równowagi, mówiąc: „Umieszczę mężczyznę wewnątrz niej". W każdym mężczyźnie jest też zawarta kobieca myśl. Agnes powiedziała, że mężczyźni zagarnęli otchłań dla siebie i orzekli, że zawsze należała do nich. Skutkiem tego matka ziemia jest dzisiaj w stanie poważnego zaburzenia równowagi.
Arnold przyglądał mi się, aż wreszcie zapytał:
— Czy koszyk jest prawdziwy, czy może to tylko metafora?
— Mówiłam ci już, że widziałam jego zdjęcie. Jego istnienie jest faktem. To nie metafora.
— Czy mógłbym pojechać z tobą do Kanady? Bardzo bym chciał poznać twoją szamankę.
— Ja też bardzo bym tego chciała. Bałabym się mniej, gdybyś tam był.
— Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogę jechać?
— Powiedziano mi, że te nauki są święte i nikt nie może mi towarzyszyć.
Arnold pociągnął łyk kawy i odstawił filiżankę.

— Wolę mieć do czynienia z Agnes albo z pnączem śmierci niż z większością dyrektorów studia, których znam.

Parsknęliśmy śmiechem. Potem zapadło długie milczenie. Wreszcie odetchnęłam głęboko i powiedziałam:

— Arnoldzie, przeraziły mnie te sny. Muszę z tym: jakoś skończyć, tylko nie wiem jak. Czuję się kompletnie rozbita. Jeśli pojadę do Agnes, obawiam się, że mój dotychczasowy sposób życia straci sens. Ciągle jestem bardzo przywiązana do tego wszystkiego, co mam tutaj. Wkrótce będzie wielka aukcja w Nowym Jorku i los tylu1 ludzi zależy ode mnie. Nie mogę tak po prostu tego rzucić i ruszyć w pogoni za moją obsesją.- Złapałam szklankę i wychyliłam do dna mojego drinka.

Arnold sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Lynn, nie możesz zrezygnować z takiej szansy. Twoje sny to ważny przekaz. Przestań robić z siebie idiotkę i pomyśl, co ty wygadujesz. Aukcje? Ludzie zależni od ciebie? Twój własny strach... to z nim musisz się zmierzyć, prawda?

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

To może mnie zabić, Arnoldzie.

— No to, co? Musisz stawić czoło temu wyzwaniu. Przejdź na tamtą stronę. Musisz jechać do Kanady. Wiesz o tym dobrze.

Nie potrafiłam zaakceptować tak po prostu faktu, że i Arnold miał rację.

— Nie, nie wiem. Arnold dotknął mojej dłoni.

—Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak niesłychana to okazja. Podsunięto ci ten niebywały dar pod sam nos. Nie odrzucaj go. Popatrz na tych ludzi dookoła— kwiat Hollywood.

Obrzuciłam tłum spojrzeniem. W schlebiającej atmosferze La Famiglia jedzący wydawali się pogodni, wręcz radośni.

-- Czego oni, u diabła, dokonali w swoim życiu? —zapytał Arnold z uśmiechem, ściskając moją rękę. — A co ty naprawdę zrobiłaś w swoim? A teraz jawi się szansa zawieszenia wyroku. Jeśli miałaś dość szczęścia i trafiłaś na jedną z tych luk w tkance przeznaczenia, to poddaj się, do licha, i pozwól nieść się tak daleko, jak tylko się da.

—Arnoldzie, myślałam, że chcesz abym żyła.

—Nie abyś żyła, tylko żyła naprawdę. Musisz przekonać się sama, co ta obsesja rzeczywiście znaczy — powiedział. — I założę się, że ten koszyk ślubny zdoła cię uratować, przekonasz się.

— Mam nadzieję.

Leć jutrzejszym samolotem — powiedział Arnold później, kiedy już wyszliśmy na ulicę. — Nie będę mógł się doczekać wieści o tym, co się zdarzy. Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz. Jeśli wrócisz.

— Dziękuję, Arnoldzie — roześmiałam się, całując go na pożegnanie i życząc dobrej nocy.

Byłam zdecydowana zatelefonować do linii lotniczych, gdy tylko znajdę się w domu. W czasie, gdy mój samochód posuwał się w górę Beverly Drive, próbowałam przemyśleć jeszcze raz wszystko, czego doświadczyłam u Ruby i Agnes. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie okazałam się jedną z niezliczonej rzeszy wariatek, wplątanych w jakieś

podejrzane, hokus-pokus. W domu usiadłam wygodnie i rozważyłam wszystko ponownie. Miałam w uchu mój rogowo-turkusowy kolczyk. Czy byłam aż tak roztargniona, by nałożyć go bezwiednie po wejściu do mieszkania? Wzięłam go do ręki i poczęłam oglądać uważnie. W końcu była to jedyna realna część tego snu.

Wzięłam prysznic i poszłam do łóżka, świadomie kładąc przedtem kolczyk przy umywalce. Zostawiłam zapalone światło i oddałam się sennym marzeniom o koszyku. Szłam w jego stronę, ale gdy zbliżyłam się do niego, na miejscu koszyka stała Agnes.
-- Musisz teraz przyjechać. Już czas.
~ Tak — odpowiedziałam bez chwili wahania.
Postać Agnes rozpłynęła się, a ja zasnęłam spokojnie.

Rano kolczyk był w moim uchu — kłuł mnie w, policzek, gdy się budziłam. Tym razem byłam już pewna, że wokół mnie działy się niezwykłe rzeczy. Rozpamiętywałam mój sen, oglądając kolczyk leżący w dłoni. Agnes wyraźnie przecież mówiła, że jest to przedmiot pozwalający na przenoszenie się z mojego do jej świata.

Podeszłam do telefonu i zarezerwowałam miejsce w samolocie. Postanowiłam lecieć do Kanady. Do Agnes. Natychmiast.

Jest takie prawo, że wszystko musi narodzić się z kobiety, nawet rzeczy wymyślone przez mężczyzn . Agnes Whistling Elk

Crowley stanowiło teraz swojski, znajomy widok. Zaparkowałam przed sklepem, wyłączyłam silnik, wysiadłam i trzasnęłam drzwiami. Troje dzieciaków Cree, pucołowatych i czarnowłosych, gapiło się na mnie przez moment, po czym pomknęło biegiem ku rzece.
- Szybko, szybko! — wykrzykiwały.

Po drugiej stronie ulicy, na ławce przed lokalnym urzędem pocztowym, siedziało kilku staruszków. Komunikowali sobie coś na migi. Z gestów domyśliłam się, że jestem obiektem jakiegoś niewybrednego dowcipu. Udałam, że tego nie widzę, i przepchnęłam się przez skrzypiące drzwi. Papierki zafurkotały na tablicy ogłoszeń, a ja stanęłam ponownie przed półkami z tanim jedzeniem i żelastwem. Właściciel stał z założonymi rękami za ladą przy kasie. Ubrany był w westernową koszulę haftowaną w różyczki. Na mój widok zatańczył nerwowo i splunął tytoniem.
— Gdzie są puszki z tuńczykiem? — zapytałam.

Tam. — Wskazał półkę w głębi sklepu. Przeszłam wzdłuż galerii żywnościowych produktów —margaryna orzechowa, chleb, galaretki i tak dalej.

— Trafiła pani do Ruby ostatnim razem? — zapytał, kiedy wpatrywałam się właśnie w puszkę soku jabłkowego.
— Tak, trafiłam.
Miał obojętny wyraz twarzy i znowu splunął tytoniem. —- Mam nadzieję, że pani wie, co robi.
— Wiem.
— Tak przypuszczam. —Pochylił się do przodu opierając łokcie na ladzie. — Nie chcę pani straszyć, a powinna pani być ostrożna. Niektóre dziewczyny, co tam łażą -— mam na myśli nie tylko białe, Indianki też — dostają potem kuku. Wydaje się, że są normalne i wiedzą, co robią, a potem wyglądają na martwe w środku. Niejeden raz się tak zdarzyło. To spore ryzyko, włóczyć się z tą Ruby. 1
— Nie włóczę się z Ruby. Kobieta, do której przyjechałam, ma na imię Agnes.
Twarz mężczyzny straciła wszelki kolor. Niemal udławił się tytoniem.
Agnes Whistling Elk?
-Tak.
Sprawiał wrażenie przerażonego.
-Pani ją zna?
-Tak.
Wyprostował się i spojrzał na mnie.
— Proszę to wziąć — powiedział, wyciągając do mnie karton papierosów. — O Ruby tylko żartowałem.
Zdumiała mnie zmiana, jaka zaszła w jego zachowaniu. Zwykła wzmianka o Agnes sprawiła, że ten Indianin w średnim wieku wpadł niemal w panikę. Obiegł wokół ladę, ciągle trzymając karton papierosów.
- Proszę. Proszę wziąć te papierosy — zawołał głośno, wpychając mi karton do ręki.
— Ja... ja nie palę — wyjąkałam.
— Nie szkodzi, niech je pani weźmie, okay? —- nalegał i próbował się uśmiechać.
—Dziękuję — powiedziałam znużona. Papierosy były dla mnie bezużyteczne.
Wtedy przypomniałam sobie, co Hyemeyohsts Storm powiedział o tytoniu — jest święty dla pierwotnych mieszkańców Ameryki. Włożyłam papierosy do torby z innymi zakupami, a właściciel powrócił za ladę.
Wrzuciłam torbę do bagażnika, siadłam za kierownicą i wyjechałam na szosę. Prowadziłam powoli, żeby popatrzeć na drewniane domy, stare samochody i rozpadające się budynki gospodarcze.
W pewnej odległości przed sobą zobaczyłam dwóch mężczyzn idących skrajem szosy. Byli to ci sami Indianie, którzy kiedyś asystowali mi przy zmianie koła. Zwolniłam przy nich i opuściłam szybę.
- Podrzucić? — zapytałam. — Pamiętacie mnie?
- Jasne, że pamiętamy — odpowiedział wyższy ze śmiechem. Wsiedli i rozwalili się wygodnie na tylnym siedzeniu. Wyglądało na to, że uznali mnie już za swojego szofera.
Jak macie na imię? — zapytałam.
— To jest Ben, a ja jestem Drum — przedstawił ich te wyższy.

— Ben i Drum, co? Mam wrażenie, że ciągle na was trafiam.
Milczeli.
— Byłam wściekła na was, że nie chcieliście mi pomóc.
Znowu cisza. Nie byli rozmowni.
— Jak dotarliście wtedy na miejsce?
Dobrze.
Ponownie zapanowało niezręczne milczenie, a ja zaczynałam powoli skupiać się na pejzażu. Odetchnęłam kilka razy głęboko i odprężyłam się.
Drum pochylił się i wyszeptał:
Lynn, zatrzymaj samochód.
Co? — powiedziałam, wciskając hamulec. — Hę?
Spójrz na mnie — powiedział. — Patrz. — Przyłożył rozwartą dłoń do ust, jakby chciał zdmuchnąć z niej pył w moją twarz. — Patrzę w twarz bogini.
—Co ty opowiadasz, do licha?
—Nigdy nie widziałem tak niebiańskiej piękności —
powiedział. Jego oczy żarzyły się jakoś dziwnie, a on sprawiał takie wrażenie, jakby dmuchał słowami w moją twarz. To nie było podrywanie, wyraz jego oczu był zupełnie bezosobowy. Mówił w rytmie, który wydawał j mi się dobrze znany.
- To nie jest język Cree, Lynn. Mówię językiem sprzed wieków. Skieruj wzrok do centrum moich słów.
Kiedyś, gdy miałam osiem lat, obserwowałam w sklepie ze zwierzętami mężczyznę, który podsuwał wężowi mysz na pożarcie. Zanim wąż zaatakował, małe zwierzątko zamarło bez ruchu, poddając się śmierci. Niesamowite słowa Druma stanowiły wyjaśnienie tamtej zagadki —ja też zaczynałam się poddawać.
Użyłam całej siły woli, żeby wyrwać się z tego dziwnego stanu. Zaczęłam krzyczeć:
Proszę, nie! Przestań!
Przestać, co? — spytał Drum. Wyraz jego oczu się zmienił.
— Zielone światło, lady — rzucił Ben.
Cała dygotałam. Jechałam dalej, a Drum rozparł się na siedzeniu i nie zwracał na mnie uwagi.
— Dokąd pani jedzie? — zapytał Ben.
Ciągle jeszcze próbowałam odzyskać jasność myśli.
— Do Agnes Whistling Elk. Muszę zostawić samochód koło chaty Ruby, a dalej iść piechotą.
Obaj zarechotali.
Nie ma takiej potrzeby — powiedział Ben. — Jest boczna droga do samej chaty Agnes.
—Gdzie? Agnes nie powiedziała mi o niej. Drum oparł łokcie na przednim fotelu.
— Oczywiście, że nie powiedziała. Nie poda ci nawet prawidłowej godziny, kiedy ją spytasz. To czarownica, każdy o tym wie.
— Droga jest tam. - Wyciągnął rękę Drum.— Skrę-ci pani w lewo. Doprowadzi panią blisko chaty. Zostanie do przejścia sto jardów.

— Agnes nigdy o tym nie wspominała — powiedziałam.
— Stara jędza — dorzucił Drum, nadal z łokciami n oparciu fotela. — Osoba taka jak pani nie pasuje tutaj. Skąd pani pochodzi?
- Mieszkam w Beverly Hills, w Kalifornii. Drum uśmiechnął się.
— Czy to tam, gdzie mieszkają te wszystkie gwiazdy Filmowe?
— Niektóre z nich.
— Czy pani też jest gwiazdą?
Nie.
Drum usiadł wreszcie normalnie.
- Nam się wydaje, że powinna pani wracać do domu. —Dlaczego tak sądzicie?
— Ostatnia biała twarz, która się tu pojawiła, została później znaleziona w mrowisku.
Bardzo zabawne -— odpowiedziałam.
Stop. Chcemy tu wysiąść, na tym rozwidleniu. Zjechałam na bok i zatrzymałam się.
Ben i Drum
poczęli gramolić się z auta. Drum zatrzymał się na
chwilę, z jedną nogą na zewnątrz.
Mieszkamy na końcu tej ścieżki — powiedział. —
Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy, proszę przyjść i zawołać nas. Już my się zajmiemy tą starą Agnes.
Ben roześmiał się. I —Tak, dobrze się nią zajmiemy.
— Dziękuję. Jeżeli okaże się czarownicą, na pewno się pojawię.
— Pracujemy dla jednego białego faceta — dodał Drum. — To wielki spryciarz. Powinna go pani poznać. Lubi ładne kobiety. — Zatrzasnął drzwi. — One też go lubią —- zawołał.
— Zobaczymy się jeszcze! —- krzyknął Ben. — Nie daj się nabierać.
Odeszli dróżką prowadzącą w stronę dalekich, porosłych trawą wzgórz. Siedziałam jeszcze parę chwil, nie wyłączając silnika. Czułam ucisk w żołądku, od którego robiło mi się niedobrze. Próbowałam zrozumieć, co się stało. Ten Indianin o dzikim spojrzeniu, który zaczął nagłe wypowiadać szalone słowa, sprawił, że poczułam się bliska śmierci — stanowczo zbyt bliska. Cały incydent zmroził mi krew w żyłach.
Odetchnęłam głęboko i powoli ruszyłam wskazań boczną drogą. Słońce grzało mocno przez przednią szybę. Droga wiła się między pagórkami. Po jakimś czasie skończyła się wysoką, skalną ścianą. Nigdzie nie było widać chaty, ale spostrzegłam wąską ścieżkę opasującą wzgórze, więc maszerowałam tamtędy. Zaczynałam mieć wątpliwości, czy to w ogóle droga do Agnes.
Z ulgą zobaczyłam w dole, tuż przed sobą, blaszany dach jej chaty. Ruszyłam z góry biegiem, niemal susami obiegłam narożnik domu i wpadłam prosto na Agnes. Patrzyła na mnie z pochmurną twarzą, wyraźnie zagniewana. Stanęłam w miejscu jak wryta.
— Ci dwaj mężczyźni, których podwiozłaś, to uczniowie Rudego Psa. Powinnaś była powiedzieć mi ostatnim razem, że ich spotkałaś.
— Skąd, u licha, miałam się domyślić, że było w nich coś szczególnego?
— Ben i Drum sprawdzili twoją siłę i przekonali się, że nie masz żadnej, w każdym razie jeszcze nie. Jesteś głupsza, niż myślałam. Zrobiłaś swój pierwszy błąd.

— Skąd wiedziałaś, że ich podwiozłam? Odwróciła się bez słowa i weszła do chaty. Poszłam za nią, próbując się wytłumaczyć. Wyszarpnęła krzesło spod stołu i wskazała mi je.
—Siadaj. Usiadłam.
Stół zarzucony był ziołami, które Agnes pakowała właśnie w woreczki.
—Równie dobrze mogłabyś sama pójść do Rudego Psa i powiadomić go o swoim przyjeździe. Dobrze, że miałaś kolczyk, inaczej by cię zabili.
Oniemiałam.

— Zabili?
- Czarownicy nie zabijają nikogo. Sprawiają, że ludzie zabijają się sami.
— Jak?
Gdyby czarownik wziął rewolwer i zastrzelił cię, straciłby swoją moc. On powoduje, że albo zabijesz się sama, albo ktoś inny to zrobi.
Opowiedziałam o przerażającym epizodzie z Drumem.
— Czy możesz mi wytłumaczyć, co się wtedy stało?
— Drum wszedł w twoją pamięć. Cofnął się do jednego z twoich poprzednich kręgów życia albo, jeśli wolisz, wcieleń.
O czym ty mówisz, Agnes?
— Drum próbował zepchnąć cię poza granicę czasu twojego życia. Nigdy byś stamtąd nie wróciła, jesteś na to za słaba. Kolczyk przemówił do twojej dawnej pamięci i nie pozwolił przekroczyć tej granicy. Tym razem miałaś szczęście.
- Twierdzisz, że Drum mógł mnie zabić samymi słowami?
— Tak, i prawie mu się to udało. Obudź się i miej oczy szeroko otwarte. Śniący są najwyraźniej przekonani, że masz w sobie jakąś moc, chociaż ja zastanawiam się coraz bardziej, na czym miałaby ona polegać.
Mój entuzjazm dla całej przygody począł gwałtownie słabnąć.
Agnes wstała i powiesiła woreczki na gwoździach tkwiących w ścianie. Zaczerpnęła blaszanym kubkiem wody z wiadra, wypiła, po czym zwróciła się do mnie.
— Opowiedz mi dokładnie, co zaszło między tobą a uczniami Rudego Psa, od początku.
Zrelacjonowałam jej wszystko, co tylko mogłam sobie przypomnieć, poczynając od naszego pierwszego spotkania, na szosie. Przypomniałam też sobie więcej szczegółów ostatniej rozmowy. Twarz Agnes była pozbawiona wyrazu.
—Dlaczego mi nie powiedziałaś o tej bocznej drodze do chaty?
— Dlaczego? A nie wiedziałaś? Musimy trochę popracować nad tobą — powiedziała, kręcąc głową.
Gdy poszłyśmy wypakować moje rzeczy z samochodu zauważyłam, że jedne drzwi były otwarte.
— Nie mam zwyczaju zostawiać w aucie otwartych drzwi — powiedziałam. — To dziwne. Obeszłyśmy samochód dookoła. Otworzyłam klapę bagażnika.
A to, co? — zapytała Agnes, podpierając się pod boki. Chłodnym wzrokiem lustrowała moje dwie walizki, neseserek, dmuchany materac, śpiwór i trzy torby z jedzeniem.

Złapała dwie z nich i ruszyła szybko ścieżką pod górę. Niosła torby przed sobą, przytrzymując podbródkiem wystający karton papierosów. Powlokłam się za nią z walizkami. Postawiłam je w chacie i poszłam po resztę rzeczy. Kiedy wróciłam, Agnes stała, patrząc na leżące na stole dwa ogromne pudła lodów. Pojemniki j upaćkane były brązową mazią.

Agnes przyjrzała mi się z uważnym zainteresowanie

— Skąd miałam wiedzieć, że tak szybko się roztopią?

— Ty wasichu — powiedziała.

Wzięła łyżkę i zjadła trochę płynnej masy. Resztę wyrzuciła za drzwi.

— Doskonałe — podsumowała. — Psy się ucieszą.

Nie masz zamrażarki czy jakiejś lodówki?

— Ostatniej zimy miałam całkiem sporą.

Zaczęła nadmuchiwać mój materac. Guma wypełniła się prędko powietrzem. Gdy skończyła, ułożyła go na podłodze w tym samym kierunku, co swoje łóżko. Potem rozwinęła mój śpiwór i rozłożyła go na materacu. Torby, w których przywiozłam jedzenie, były już opróżnione, a produkty, głównie konserwy, stały uporządkowane na półce. Zamierzałam jej pomóc, ale uznałam, że bym tylko przeszkadzała. Kiedy uporała się ze wszystkim zdjęła z gwoździa swój płaszcz i narzuciła na ramiona.

- Chcę, żebyś zawiozła mnie teraz do Ruby po moją grzechotkę. Przywieziemy ją tutaj i zajmiemy się tobą. Ta grzechotka ma dużą moc, a ja widzę w tobie pewien problem.

Jednakże samochód nie chciał ruszyć. Silnik obracał się po włączeniu stacyjki, ale za nic nie chciał zapalić.

-Zdaje się, że pójdziesz pieszo — stwierdziła Agnes rzeczowo. — Możesz iść po nią jutro. Mam nadzieję, że nie będzie za późno. Potrzebujesz siły tej grzechotki jak najprędzej. W zasadzie powinnaś pójść tam dziś, ale wędrować po nocy nie jest bezpiecznie. A swoją drogą, to nie czujesz się dobrze w ciemnościach, co?

— Ja? Iść nocą? W żadnym wypadku. — Perspektywa była zatrważająca.

No to wysiadaj — powiedziała. Wróciłyśmy do chaty. Agnes nie zdjęła płaszcza.

— Będziesz musiała zostać tu sama dziś w nocy. Idę na spotkanie w moim kręgu. Do Ruby ruszysz wcześnie rano, kiedy wrócę.

- Sama? Tutaj?

- Tak, idź spać. Pamiętaj, żeby zaryglować drzwi. Rudy Pies lubi czasem grasować po nocy.

- Zadrżałam.

— Wolałabym już mieć tę grzechotkę — dodała z powagą, zatroskana. — Bądź czujna.

Stanęłam w oknie i patrzyłam w ślad za nią, póki nie zniknęła za wzgórzem. Gdyby coś się zdarzyło, mogłam liczyć tylko na własne nogi. Zapaliłam lampę naftową zadowolona, że pamiętałam o zabraniu książek i notatnika. Zmyłam makijaż w garnku z wodą, rozebrałam się i wskoczyłam do śpiwora. Lampa stała tuż przy mojej głowie. Otworzyłam dziennik i zaczęłam spisywać wrażenia dnia. Po chwili dotarł do mnie zapach dymu. Z pieca dobiegał przytłumiony syk. Odłożyłam notatnik i wzdrygnęłam się. Wyobraźnia zaczynała mnie znowu ponosić. Doszłam do wniosku, że gdyby Rudy Pies

zechciał rzeczywiście wedrzeć się do chaty, śpiwór mógłby się dla mnie okazać pułapką. Wstałam, ubrałam się i usiadłam przy stole na chybotliwym krześle. W ciemnym oknie widziałam odbicie przeciwległej ściany z sowim skrzydłem i grzechotką. Na ciemnym niebie migotał odblask dalekiej zorzy polarnej. Chwilami pojawiał się mocniejszy błysk. Nasunęło mi się skojarzenie z łuną pożaru nad odległym, oblężonym miastem. Ciemne, przerażające kontury drzew kołysały się w jakimś upiornym, złowieszczym tańcu. Na wysokiej, powykręcanej gałęzi pohukiwała sowa. Dostrzegłam jej niewyraźny, pierzasty kształt.

Wiatr na zewnątrz wzmagał się, a jękliwy odgłos wichury wibrował chwilami wewnątrz chaty. Od czasu do czasu coś uderzało o blaszany dach, najprawdopodobniej szyszki. Każde z tych uderzeń podrywało mnie na równe nogi. W chwilach przygasania zorzy mroczne cienie w izbie podkradały się coraz bliżej mnie.

Zawsze lubiłam efekty migotania światła, ale nie teraz.

Zapaliłam drugą lampę i zaczęłam przechadzać się po chacie, aby podtrzymać się trochę na duchu. Potem ponownie zmyłam twarz zimną wodą.

- Co to, do diabła? — powiedziałam głośno.

Posłyszałam dźwięk przypominający warczenie, potem odgłos, jakby jakieś duże zwierzę stąpało po leśnym poszyciu. Ściągnęłam ubranie i umknęłam do śpiwora. Nie usatysfakcjonowana, wstałam znowu i przyniosłam obie lampy, które ustawiłam po bokach materaca. Nafta już się w nich kończyła, ale byłam zbyt przestraszona, by siedzieć i czekać, co dalej nastąpi. Gdzieś z daleka dobiegło mnie wycie wilka lub kojota. Miałam wrażenie, że ta niesamowita pieśń przybliża się coraz bardziej. Wiatr szarpał blaszanym dachem — myślałam, że go zerwie. Cała chata trzęsła się i skrzypiała pod naporem wiatru. Nagle wydało mi się, że widzę twarz mężczyzny przypatrującego mi się przez szybę. Posłyszałam trzask — coś w rodzaju odgłosu, jaki wydają kości ptaka pękające pod zębami psa.

Lampy poczęły dymić i wkrótce zgasły, jedna po drugiej, w minutowym odstępie.

—Agnes! — krzyknęłam. Lekki poblask zorzy przebiegał po ścianach, a spod łóżka Agnes błysnęło dwoje oczu. Naciągnęłam śpiwór na głowę i... zasnęłam.

—Wiedziałam, że potrzebna będzie ta grzechotka.   Wstawaj, idiotko. Ci piekielnicy zabrali wszystko, co należało do ciebie. Twoje ubrania. Jedzenie. Wszystko.

Światło wdzierało się przez okna. Był wczesny poranek. Skoczyłam na równe nogi i stanęłam nago pośrodku izby.

- Kto? — bełkotałam. — Co zabrał?

Zniknęły obie walizki. Moja torba od Gucciego leżała na podłodze z wyrwaną podszewką. Wszędzie były porozrzucane pieniądze i karty kredytowe. Ulotniła się nawet moja kosmetyczka.

- Och, nie -—jęknęłam.

- Na szczęście mieli tyle oleju w głowie, że nie wzięli nic z moich rzeczy.

Usiadłam przy stole, podparłam głowę rękami i w tej chwili zdałam sobie sprawę, że wycięto mi również spory pęk włosów nad czołem.   Podbiegłam do lusterka przy miednicy. Agnes klepnęła się dłońmi po udach i wybuchnęła śmiechem.

—Agnes, spójrz na moje włosy. To ruina. Agnes nie przestawała chichotać.
— Kto je ściął? Co się stało w nocy? — Czułam się jak gołe dziecko wobec tłumu dorosłych. Łzy płynęły mi po policzkach.
Agnes podała mi starą bluzę trykotową i parę ogromnych, wyświechtanych dżinsów oraz kawał grubego sznura do przewiązania w pasie. Tenisówki wsunęłam wieczorem pod poduszkę i teraz z radością odkryłam, że wciąż tam są.
- Dlaczego? — zapytałam, kiedy już przepasałam się sznurem.
— Chcieli napaść na ciebie. W taki sposób Rudy Pies chciał cię poniżyć. — Podniosła kosmyk moich włosów i podeszła do mnie.
— Gdyby Rudy Pies zrobił to mnie, mógłby to uznać za swój wielki sukces. Tobie zrobił to pewnie dla żartu. — Rzuciła moje włosy z powrotem na podłogę.
— Rudy Pies? — zapytałam. Spojrzałam na Agnes szeroko otwartymi oczyma.
— Tak, ten przeklęty szczeniak. Któregoś dnia podłożę mu truciznę.
- Uważasz, że Rudy Pies przyszedł tu w środku nocy i ukradł to wszystko? — Rzuciłam okiem na solidny, żelazny rygiel w drzwiach.
- I tak dobrze, że nie poderżnął ci gardła. Ktoś inny zrobiłby to.
— To okropne — użaliłam się nad swoim położeniem. —- Nic, tylko się zabić.
— To, dlaczego tego nie zrobisz? — spytała poważnie.
- Nie obeszłoby cię to, prawda? — Wydęłam wargi.
— Obeszłoby mnie, bo zawiodłabyś śniących. W innym przypadku... — Wzruszyła ramionami. — Możesz się zabić albo spojrzeć faktom w oczy. Fakty są takie, że jesteś głupia. Siadaj teraz i wypij herbatę.
Byłam wściekła.
— Okay, Agnes. Wszyscy wkoło bez przerwy mówią o śniących. Może zechciałabyś wyjaśnić mi, kim są ci śniący. Myślę, że mam prawo uzyskać odpowiedzi na niektóre pytania.
—Owszem teraz. Tylko słuchaj uważnie, bo to są tajemnice. —- Rozsiadła się wygodnie w krześle. Zaszła też subtelna zmiana w jej zachowaniu.
— Śniący to ktoś, kto potrafi wejść w święty krąg
i potrafi też stamtąd wrócić, kiedy chce.
—Co masz na myśli, mówiąc „święty krąg?".
— Świętymi kręgami, a jest ich siedem, rządzą siły katcina. Pierwszy krąg to zwykłe, codzienne życie — świat, w którym żyjesz, i to, jakim go widzisz. Drugi krąg to sen. Trzeci krąg to miejsce, dokąd udają się śniący. - -Agnes zamilkła na chwilę. — Muszę to tłumaczyć z indiańskiego. Nazywa się to przechodzenie przez bramę pomiędzy światami. Ale uważaj, staje się tylko na granicy pomiędzy nimi. Gdyby się przeszło na tamtą stronę, nastąpiłaby śmierć, byłoby się duchem.
— Mówiąc krótko, śniący dotarli do mnie w drugim kręgu i poprowadzili między światy?
— Tak, ale ty masz tylko tyle mocy, żeby zapamiętać wyłącznie twoje zwykłe sny.
—Dlaczego więc do mnie przychodzą?
-Ponieważ, świadomie lub nieświadomie, postawiłaś na moc.

— Inaczej mówiąc, uważaj, czego poszukujesz. —-Pomyślałam przy tym o wszystkich tych latach, które spędziłam, bezowocnie studiując mistycyzm.
— Dziewczyno — powiedziała Agnes, dolewając herbaty i zmieniając ton na nieco łaskawszy. — Rudy Pies zna cię teraz dobrze. Przypuszczalnie zechce poniżyć cię znowu. Chce, żebyś wróciła tam, skąd przybyłaś. Idź lepiej po tę grzechotkę do Ruby, zanim zrobi ci coś gorszego.
Dopiłyśmy herbatę.
— Pamiętasz drogę do chaty Ruby? —- spytała Agnes.
—Tak —odpowiedziałam. — Jak mogłabym zapomnieć?
— Czy teraz, kiedy wiesz, co może cię spotkać, nie masz ochoty wracać?
— Nie — rzuciłam gniewnie.
—Zatem dobrze pilnuj swojego tyłka. Rudy Pies ma ochotę wymierzyć ci kopniaka i urządzić sobie niezłą zabawę twoim kosztem. To, co zrobił, to nic w porównaniu z tym, co mógłby ci zrobić.
Z trudem przełknęłam ślinę, po czyni zapylałam:
— Czy pójdziesz ze mną? Agnes założyła ręce.
— Nie. Ruszaj.
Wyszłam z chaty i szybkim krokiem pomaszerowałam do Ruby, zdziwiona, że tak wiele zdążyłam już zapomnieć z wyglądu otoczenia. Zdawałam sobie sprawę z absurdalności mojego stroju. Sama kpiłam z siebie, kiedy wiatr szarpał moimi obwisłymi dżinsami, a ich wiekowi płótno plątało mi się wokół kostek. Koniec opasującej mnie liny zwisał nisko i obijał się przy każdym kroku o nogi. Przebiegło mi przez myśl, że gdyby widziała mnie teraz Cyrena — moja najstarsza przyjaciółka — pękłaby zapewne ze śmiechu. Mimo wszystko starałam się niej rozpraszać. Musiałam zachować jasność myśli i próbować czegoś się nauczyć. Biegłam ścieżką wzdłuż kwiecistego brzegu strumienia. Słyszałam plusk wody, a z boku pomiędzy gęstymi koronami topoli, padały na mnie jasne błyski słońca. Byłam na wskroś przesiąknięta wonią dymu z piecyka. Towarzyszyła mi cały czas, niczyim zapach perfum.
Szłam i biegłam na zmianę, przez dobre trzy godziny. Wreszcie, gdy ujrzałam z daleka chatę Ruby, zatrzymałam się. Czułam ucisk w żołądku.
Kiedy ruszyłam ponownie, po kilku minutach dobiegł do mnie z wiatrem odległy dźwięk fletu. Zbliżyłam się do chaty, a wtedy głos zabrzmiał wyraźniej.
Na ganku siedziała drobna dziewczyna i dmuchała monotonnie w swój instrument. Miała czarne, długie włosy sięgające pasa. Zauważyłam, że była bardzo ładna. Pomachałam ręką w jej stronę, ale nie zareagowała. Krzyknęłam, a ona grała dalej.
— Twój flet ma bardzo ładne brzmienie —- odezwałam się, kiedy stanęłam przy ganku.
Dziewczyna nie przerwała gry.
— Powiedziałam, że twój flet ładnie brzmi. Nadal wygrywała te same nuty,
— Hej! — zagadnęłam jeszcze raz.
Uklękłam przed nią i zajrzałam jej w oczy. Kontynuowała grę, powtarzając w kółko te same irytujące dźwięki. Przesunęłam dłońmi przed jej śliczną, okrągłą buzią. Czarne oczy miały obojętny wyraz i nie podążały za ruchem moich rąk. Całe ciało dziewczyny

było naprężone i sztywne niczym wyciosane z drewna. Przypomniałam sobie, co mówił właściciel sklepu o dziewczynach, które odwiedzają Ruby. W tym momencie Ruby wybiegła na ganek.
— Przestań ją zaczepiać, możesz jej tylko zaszkodzić! Odstąpiłam krok wstecz.
—Nie mów do July. Ona i tak cię nie zrozumie.
Skuliłam się i zamilkłam. Dziewczyna patrzyła prosto przed siebie. Wyświstywała wciąż od nowa te same nuty.
-Czego chcesz, wasichu?
- Agnes przesyła mnie po swoją grzechotkę.
—Jaką grzechotkę?
Powiedziała, że potrzebuje jej, aby mi pomóc.
—Nie mam jej przeklętej grzechotki. Dlaczego Agnes nie przyszła po nią sama?
—Nie wiem.
Ruby spojrzała na mnie z niesmakiem.
—Musiała mieć na myśli grzechotkę deszczu. Domyślam się, że chce ją pożyczyć. Nie wiem, czy powinnam ci ją dać. Jest bardzo niebezpieczna.
—Agnes powiedziała, że potrzebuje swojej grzechotki — wyjąkałam.
- No tak... Jesteś pewna, że chcesz zaryzykować?
—Co zaryzykować?
—Śmierć. Co jeszcze można ryzykować? Jeżeli grzechotka deszczu dotknie ziemi w pewien szczególny sposób, jesteś trupem. Jeżeli po zachodzie słońca nie znajdzie się w rękach kogoś, kto wie, jak się z nią obchodzić, przywoła duchy, żeby cię zabiły. Kiedy powierzę ci moją grzechotkę, a ty zrobisz jakiś błąd, to żadna siła nie uratuje cię od śmierci. Chcesz tego ryzyka?
— Agnes powiedziała, że mam ją przynieść.
Ruby była najwyraźniej niezadowolona. Obserwując jej twarz zauważyłam, że nigdy nie patrzyła prosto na rozmówcę. Przypomniałam sobie, że jest ślepa. Byłam w towarzystwie dwóch osób, które mnie nie widziały.
July skupiona była bez reszty na swoim flecie, a ocza Ruby spoglądały w bliżej nieokreśloną dal.
— Dam ci grzechotkę — powiedziała w końcu. Weszła do chaty i wróciła dopiero po dłuższej chwili.
— To ona — burknęła i rzuciła grzechotkę w moim kierunku. Grzechotka miała około dziewięciu cali długości i spłowiałą, brunatną barwę. Na uchwycie widniały] jakieś rzeźbione wzory. Główka była wielkości piłki: tenisowej, a przy każdym poruszeniu w jej wnętrzu: przesypywały się z chrzęstem drobne ziarenka. Sprawiała dość posępne wrażenie.
Kiedy oglądałam grzechotkę, ręka Ruby spoczęła znienacka na mojej głowie i poczęła ją uważnie obmacywać.
—- Wygląda na to, że jesteś łysa w tym miejscu — zarechotała. — Kto, u diabła, ci to zrobił?
— Rudy Pies.

W tym momencie wybuchnęła histerycznym śmiechem, klasnęła w dłonie i okręciła się w miejscu.
— A to brutal —wykrztusiła, ocierając załzawione od śmiechu oczy. — Słuchaj, robię ci wielką przysługę, pożyczając Agnes moją grzechotkę. Chcę, żebyś też coś dla mnie zrobiła. Zabierz July ze sobą i powiedz Agnes, żeby zajęła się nią przez parę dni.
July niewzruszenie dmuchała w swój flet.
— Oczywiście, z przyjemnością — odparłam. — Czy ona kiedykolwiek przestaje grać?
— Nigdy. I nawet nie próbuj odebrać jej tego fletu. To by ją zabiło. Doprowadza mnie do szału. Dlatego chcę, żeby Agnes jej trochę popilnowała.
—- Potrafisz sprawić, aby poszła ze mną? Ruby jednym szarpnięciem podniosła July na nogi i przemówiła do niej w języku Cree.
— Pójdzie z tobą — powiedziała.
Przyniosła mi jeszcze szklankę soku i pajdę chleba z masłem orzechowym. Przypomniała też, jak mam postępować. Nieważne, co się wydarzy — grzechotka przed zmrokiem musi trafić do rąk Agnes. Pożegnałam się i ruszyłam w drogę powrotną, a July powlokła się za mną, zawzięcie powtarzając swój refren.

Przyciskałam grzechotkę obiema rękami do piersi. Byłam zmęczona, ale bałam się odpoczywać. Niebo miało barwę srebrzystobłękitną, i robiło się coraz cieplej. Szłam powoli, ostrożnie, bacząc na każdy krok. July podążała za mną w tym samym tempie — ani wolniej, ani prędzej — z nieodłącznym fletem przy ustach.

Było wczesne popołudnie i miałam przed sobą mnóstwo czasu. Powoli zaczynałam nabierać podejrzenia, że Ruby i Agnes umówiły się, że zrobią sobie ze mnie coś w rodzaju wioskowego durnia. Jaką moc może mieć grzechotka? Gdyby rzeczywiście mogła mnie zabić, dotykając w jakiś niefortunny sposób ziemi, to, dlaczego Ruby rzuciła mi ją tak beztrosko na ganku?

Muzyka zaczynała działać mi na nerwy. Ze zmęczenia bolały mnie mięśnie. Nie mogłam być aż tak naiwna. Wiedziałam więcej o magicznych przedmiotach niż którakolwiek ze znanych mi wcześniej osób. Posiadałam, kupowałam i sprzedawałam ich mnóstwo. Owszem, magia zawierała się w pięknie tych przedmiotów i na tym — tylko na tym — polegała ich moc.

Po godzinie dostawałam już kręćka. July grała bez przerwy, a ja musiałam zatrzymać się teraz na kilka minut, żeby na nią poczekać. Zerwał się wiatr i tumany liści i piasku zawirowały wokół nas. July szła jak w transie, potykając się, co chwila, ale nigdy nie patrząc pod nogi. Po prostu dreptała w ślad za mną. Ani razu nie zdarzyło jej się opuścić nawet nutki z tej dziwacznej melodii. Nie było też żadnego sposobu, aby ją uciszyć.

Flet irytował mnie, więc zaczęłam potrząsać grzechotką. Przerzucałam ją początkowo z ręki do ręki, a potem, kiedy wkroczyliśmy na skalisty grunt, poczęłam wyrzucać ją w górę i łapać. Ryzyko, że ją upuszczę, było niewielkie, kusiło mnie jednak, by cisnąć nią z rozmysłem o ziemię.
Po chwili zatrzymałam się, wystraszona. Przypom- niałam sobie o łysinie nad czołem i zaczęłam powątpiewać, czy jednak Ruby nie mówiła prawdy.

Nad moim lewym ramieniem przefrunął kruk, który wylądował na pobliskim drzewie, zwinął skrzydła i siadł się na gałęzi. W tej chwili July stanęła jak wryta.
— Chodźże, July — zawołałam. Nie zareagowała na moje słowa. Kruk nastroszył pióra.
— Och, July, chodź, proszę!

Robiło się późno. Ruby powiedziała, że jeśli oddam Agnes grzechotki przed zachodem słońca, nabiją mnie duchy. July mogła stać pod tym drzewem w nieskończoność, a ja nie mogłam zostawić jej samej. Przyszło mi do głowy, że może ten kruk ją jakoś przyciągał i jeśli udałoby mi się go przepłoszyć, July ruszyłaby dalej.

Dostrzegłam nie opodal kilka kamieni. Zebrałam je uważając, by nie dotknąć grzechotką ziemi. Cofnęłam się, krzyknęłam głośno i pierwszy kamień poszybował w kierunku kruka. Rzuciłam jeszcze raz, i jeszcze, ale kruk nie odlatywał. Kiedy jeden z kamieni przeleciał bardzo blisko niego, wzbił się tylko na chwilę w powietrze i, gniewnie kracząc, usiadł z powrotem na gałęzi. Poddałam się.
- Musimy iść do Agnes. — Szarpnęłam July za ramię. Jej ciało było teraz zupełnie zesztywniałe. — July! — krzyknęłam. — Nie rozumiesz? Musimy już iść!

Grała uparcie, nieruchoma i patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem.
— Rusz się, do diabła! — krzyknęłam jeszcze raz i pociągnęłam ją z całej siły za rękę. Pośliznęłam się przy tym i upadłam na wznak, a grzechotka wymknęła mi się z rąk i potoczyła na ziemię. Przemknęło mi przez głowę, że wybiła moja ostatnia godzina.

Nagle pociemniało. Powiał zimny wiatr, a z góry dobiegł odgłos grzmotu. Poczułam ciężkie krople deszczu na ciele. Niebo przecięła błyskawica. Spojrzałam w górę na ciemne chmury, które przesłoniły słońce. Stało się to tak nagle, że zaczęłam podejrzewać samą siebie o halucynacje. July nadymała policzki, dmuchając w swój flet. Kruk przemaszerował wzdłuż gałęzi, rozłożył skrzydła i odfrunął. W tejże chwili zaszło coś takiego, jakby July została nagle zwolniona z uwięzi. Pozwoliła się teraz ruszyć i skierować w stronę chaty Agnes. Byłam zupełnie otępiała i czułam się jak pijana. Dygotałam na całym ciele, a serce łomotało mi w piersi jak oszalałe. Podniosłam grzechotkę. Wiatr wiał jeszcze mocno, ale deszcz ustał i tylko woda ociekała z drzew. Złe chmury wciąż wisiały nad nami.

Wkrótce ukazało się bezchmurne niebo. Chmury skupiły się tylko nad tym miejscem, w którym upuściłam grzechotkę i odcinały szaroburą wyspą na tle bezkresnego błękitu.

Dźwięk fletu podążał za mną niestrudzenie. Kiedy wreszcie dotarłam do chaty Agnes, pierwsze czerwone odblaski zachodzącego słońca barwiły już horyzont.

Agnes wyszła nam na spotkanie.
— Daj mi prędko tę grzechotkę — rozkazała. — Mało brakowało, a byłabyś martwa.

Serce podeszło mi do gardła. Wręczyłam jej grzechotkę, a ona wbiegła z nią do chaty. July wkroczyła na ganek i usiadła, opierając się plecami o słup. Ciągle grała.
Kiedy weszłam do środka, Agnes powiedziała:
— Przynieś mi trochę wody ze strumienia. — I podała mi wiadro.

Po chwili wróciłam z wiadrem napełnionym po brzegi.
—Jedz. — Agnes wskazała na stół.
Siadłam na krześle i zaczęłam jeść. Ona zajęła miejsce naprzeciw mnie.

—Opowiedz dokładnie, co się wydarzyło. Niczego nie pomijaj.
Kiedy skończyłam, Agnes wstała. Jednym szybkim ruchem schwyciła mnie za gardło i przyciągnęła do siebie. Zaskoczyła mnie swoją siłą. Wykręciła mi głowę w stronę stojącego na komódce wiadra, w którym pływała grzechotka.
— Patrz na nią — wycedziła, powoli zwalniając uchwyt. — Nie odwracaj oczu. Powiedz jej, że żywisz dla niej szacunek i powiedz to szczerze.
— Mara mówić do grzechotki?
— Tak, obraziłaś ją.
Byłam wyprowadzona z równowagi nagłą brutalnością Agnes i niemal krzyknęłam:
— Przepraszam, żywię do ciebie szacunek!
— Nie, przepraszam. Po prostu żywisz szacunek.
—Żywię, szacunek —powiedziałam—Jutro możesz wyruszyć do Ruby po właściwą grzechotkę. Przyniosłaś grzechotkę deszczu. Mnie chodziło o grzechotkę-matkę. Jest zrobiona ze skorupy żółwia.
— Chcesz powiedzieć, że mam jeszcze raz przebyć tę drogę?
— Jutro. Teraz będzie lepiej, jak pójdziesz spać. Zasnęłam ukołysana monotonnymi dźwiękami fletu.

To martwe dzieci, które się jeszcze nie narodziły. Są w tobie i cały czas płaczą. Płaczu tak od tysięcy lat tam, gdzie obracają się wieczne kołu ciemności.

Ruby Plenty Chiefs

Powoli budziłam się, ale było mi tak ciepło przytulnie, że z rozkoszą pozostawałam jeszcze w błogim świecie snu. Dopiero świtało.
— Stuk, stuk, stuk...
Do mojej świadomości dotarł dźwięk przypominający odgłos, jaki wydaje obluzowany szyld szarpany wiatrem. Pomyślałam, że hałas za chwilę ustanie.
— Stuk, stuk, stuk...
Otworzyłam wreszcie oczy i usiadłam pojękując. Bolały mnie wszystkie mięśnie. Przez nogi przebiegały skurcze i w całym ciele odczuwałam skutki wczorajszego marszu. Rozejrzałam się wokół, spodziewając się zobaczyć Agnes, ale nikogo w izbie nie było.
— Stuk, stuk... Znowu.
Spojrzałam przez wypaczone, drewniane okno na zewnątrz. Na parapecie siedział kruk. Miał połyskliwe, czarne pióra, patrzył do środka błyszczącymi oczkami i stukał wielkim dziobem w szybę. Obracał przy tym głowę na boki i wyraźnie wpatrywał się we mnie.
— Stuk, stuk, stuk.
Czyżby kruk dopraszał się, żebym wpuściła go do środka? Wiedziałam, że ptaki boją się ludzi, a już szczególnie uwięzienia we wnętrzu domu.
— Stuk, stuk, stuk.
Wyglądało na to, że zaczyna się niecierpliwić.
W tej chwili drzwi chaty otworzyły się i weszła Agnes łaszcząc dwie kłody drewna. Dorzuciła je —jedną j drugiej — do ognia w piecyku.
— Stuk, stuk, stuk.
Odwróciła się, pochyliła w stronę okna i cmoknęła kilka razy. Potem uchyliła okno i roześmiała się, kiedy ptak paradował tam i z powrotem po parapecie, pusząc się i wydymając pierś niczym możny pan. Zrobił coś w rodzaju dworskiego ukłonu w moim kierunku; zakrakał z wyrzutem i sfrunął na środek izby. Szalenie mnie rozbawiła ta błazenada.
— To Kruk — powiedziała Agnes. — Lynn, przed- stawiam ci Kruka.
— Bardzo mi miło —odpowiedziałam uprzejmie. -- Wydaje mi się, że nie bardzo przypadłam mu do gustu.
— Rzeczywiście. Chciał wejść do środka na śniada- nie — wyjaśniła Agnes, obracając się do kruka i podając mu kawałek suszonego mięsa. Kruk zrobił się nieco łaskawszy, kiedy przełknął poczęstunek. Wypełzłam ze śpiwora, ubrałam się w moje łachmany i dosiadłam się do stołu, do Agnes i kruka. Jedząc i popijając kawę podsuwałyśmy mu kawałeczki chleba i bekonu, co najwyraźniej wprawiało go w zachwyt. Był gościem jak najbardziej na miejscu.
—Ten stary bandyta przylatuje do mnie na śniadanie od wielu lat — odezwała się Agnes.
— Ma większy apetyt j niż ja.
Zapomniałyśmy na krótką chwilę o July, ale świszczące, żałobne tony fletu wdarły się w ciszę poranka i przypomniały nam dobitnie o jej istnieniu.
Ojej. Znowu to samo - jęknęłam.

Agnes potaknęła i wybuchnęłyśmy śmiechem. July działała nam obu jednakowo na nerwy.

Kruk podfrunął do okna. Dreptał przez chwilę i krakał.

— Jestem syta — powiedziała do niego Agnes. Kruk zakrakał jeszcze raz i odleciał.

-Jak możesz być najedzona kawałkiem suchego chleba i odrobiną bekonu? Ja z pewnością nie jestem jeszcze syta.

—To takie indiańskie wyrażenie. Nie ma nic wspólnego zjedzeniem. Oznacza zadowolenie. My nie dziękujemy sobie za wszystko. Dziękować można tylko jednemu — szlachetnemu Wielkiemu Duchowi. Ten zwrot znaczy, że jestem zadowolona z tego, co wspólnie przeżyliśmy. Jest mi dobrze. Dziękować można za dary, ale człowiek ma tylko jeden dar — może wybrać własną śmierć. Tylko w twoim świecie mówi się dziękuję. Wolno ci mówić to zwyczajowo, ale pamiętaj — nigdy nie miej tego naprawdę na myśli. To odbiera ci siłę. Istnieje tylko jeden wyjątek. Kiedy rzeczywiście widzisz w kimś obecność Wielkiego Ducha, wtedy możesz zwrócić się do niego samego ze słowami czci i wdzięczności. W innych przypadkach — nie.

—Nie obchodzi mnie, czego cię uczono — przerwała mi Agnes w pół słowa. — Źle cię uczono.

Sięgnęłam po ostatnią kromkę smażonego chleba.

—Potrafisz jeździć konno? — spytała nieoczekiwanie Agnes.

—Tak, czasem uprawiam jeździectwo. Dlaczego pytasz?

Agnes krzątała się po chacie.

—Musisz natychmiast pojechać do Ruby po grzechotkę. Dzisiaj odprowadzę cię kawałek. Pojedziemy razem.

Przeraziło mnie to nieco. Prędko sprzątnęłam ze stołu.

— Nie sądziłam, że tu są jakieś konie — powiedziałam, wychodząc z Agnes na świeże, rześkie powietrze. — Gdzie? Nie widziałam ani jednego.

—Wielu rzeczy jeszcze nie widziałaś, Lynn.

Agnes położyła kawałek suszonej sarniny obok July i szepnęła jej coś do ucha. July nadal grała. Wciąż miała szklisty, błędny wzrok, a jej ciało było nieodmiennie chłodne i napięte. Wydawała się taka drobna i samotna, a dźwięki, które wydobywały się z fletu, przywodziły na myśl kwilenie ptaka wzywającego pomocy albo rzucającego jakieś ostrzeżenie. Miałam wrażenie, jakby w jej grze pojawiła się teraz nowa nuta smutku.

— Zje później -— powiedziała Agnes.

Skinęła na mnie i ruszyłyśmy ścieżką w stronę chaty Ruby. Po pewnym czasie skręciłyśmy jednak na południe i droga stała się bardziej męcząca. Szłyśmy wzdłuż strumienia. Przejrzysta woda mieniła się odcieniami zieleni i błękitu. Wokół wyrastały gęste kępy wonnej trawy i koniczyny.

—Mamy bujną trawę tej wiosny — powiedziała Agnes. — To dobrze dla koni.

Przytaknęłam skinieniem głowy.

Wszędzie biegały króliki, klucząc i dokazując. Na nasz widok zawracały spłoszone i umykały z piskiem między kamienie. Przeszłyśmy przez porośniętą drzewami cienistą

dolinkę, a po chwili wynurzyłyśmy się spomiędzy drzew i znalazłyśmy na wielkiej, soczystej łące.

—To południowe pastwisko — wyjaśniła Agnes. Podała mi jedną z dwóch uzd, które niosła na prawym ramieniu. Była piękna. Wyplatana z końskiego włosia, białego i czarnego, miała wędzidło wyrzeźbione z rogu jelenia.

Nad strumieniem pasły się trzy wspaniałe konie dwa kasztanowe wałachy i jedna łaciata klacz. Kiedy zbliżyłyśmy się, wszystkie trzy uniosły w górę łby, spojrzały na nas, a potem powróciły do skubania trawy. Pozwoliły nam podejść bardzo blisko. Agnes poklepała jednego kasztanka po szyi. Rozdął chrapy i uderzył kopytem parę razy o ziemię.

—Weźmiesz klacz. Jest łagodna i ma pewny chód. Możesz jeździć na niej, kiedy zechcesz. Potrzebuje ruchu.

Nałożyłyśmy koniom uzdy i podprowadziłyśmy je do niezbyt wysokiego — sięgającego kolan — głazu. Agnes podrapała swojego konia po łbie, schwyciła go z prawej strony za grzywę i sprężyście wskoczyła na jego grzbiet. Zdumiała mnie jej sprawność.

—Nieźle, Agnes. Jeżeli ty potrafiłaś, ja też potrafię.— Powiedziawszy to, złapałam klacz za grzywę z lewej strony i odbiłam się w górę, ale zawadziłam nogą o koński brzuch i uderzyłam plecami o ziemię. Ziemia okazała się twarda.

Agnes spoglądała na mnie z wysokości grzbietu swojego konia i pękała ze śmiechu.

Pozbierałam się. Klacz patrzyła na mnie sennym wzrokiem, najwyraźniej dziwiąc się, co też takiego wyprawiam. Skoczyłam drugi raz i znowu runęłam na ziemię. Po kolejnej próbie poddałam się.

—Zrób to w prostszy sposób — powiedziała Agnes. Podprowadziłam konia do głazu i wspięłam się po nim na koński grzbiet.

Agnes przyjrzała mi się i jeszcze raz się roześmiała.

—Bardzo śmieszne — powiedziałam. A potem zapytałam: - Dlaczego wsiadasz na konia z prawej strony?

- Bo jeszcze nie tak dawno temu Indianie zawieszali po lewej leki i tarcze.

Pojechałyśmy — nie spiesząc się — w stronę szlaku. Stopy Agnes, obute w mokasyny, zwieszały się po obu stronach końskiego brzucha. Wyglądała imponująco na koniu. Wydawało się, że ma niespożytą energię. Jej warkocze powiewały z tyłu na wietrze. Konie były posłuszne i świetnie ujeżdżone. Nie miały podków, a jednak ich kopyta były w doskonałym stanie. Obserwowałam grę potężnych mięśni pod skórą, którą pokrywała jeszcze zimowa sierść. Ktoś musiał często ich dosiadać.

Przemieszczałam ciężar ciała z boku na bok, dostosowując się do kroku konia. Rozkoszowałam się ciszą tego poranka. Jechałyśmy początkowo w pełnym słońcu, potem w głębokim cieniu, samym dnem kanionu. Wydostałyśmy się z niego skalistym żlebem i na górze znów skierowałyśmy się na południe. Konie zaczęły parskać i nastawiły uszu na widok niewielkiego stada pasących się nieco dalej krów.

Wokół świergotały ptaki, a wysoko na niebie dostrzegłam klucz dzikich gęsi ciągnących na północ. Do moich uszu docierał lekki poświst wiatru. Zbliżałyśmy stada.

Podjechałyśmy na sam skraj pastwiska, zeskoczyłyśmy w miękką koniczynę i pozwoliłyśmy koniom paść się swobodnie.

Usiadłyśmy i wyjęłyśmy nasz prowiant — wędzoną rybę i chleb. Krajobraz pofałdowany wzgórzami piękny, dziki i odludny. Po niebie płynęły małe, przejrzyste obłoczki, a lekko wilgotne powietrze aż odurzało świeżością. Odgryzłam kęs chleba i zaczęłam powoli żuć.

Agnes zwróciła się w moją stronę. Jej twarz odcinała się czerwonobrunatną plamą na tle zielonego pejzaż'

— Lynn, powiedz mi, w co wierzysz? Zaskoczyła mnie tym nagłym pytaniem.

—, W co wierzę?

— Tak. Powiedz. — Uśmiechnęła się do mnie.

— No, więc... Wierzę w sens bycia uczciwym. Agnes zaśmiała się cichutko. Położyła przede mną na trawie niewielki odłamek skały.

— Mów. W co jeszcze?

— Wierzę, że jestem dobra w moim zawodzie. Agnes chichocząc położyła drugi kamień obok pierwszego.

Kontynuowałam, opisując moje polityczne i etyczną przekonania.

Kiedy skończyłam, przede mną piętrzyła się całkiem spora sterta skalnych okruchów.

— Co to znaczy? — zapytałam, wskazując na sto kamieni.

—Każdy z tych kamieni przedstawia coś, w co wierzysz. Istnieje stos świata i stosy ludzkich,ja". Twój stosik przypomina gniazdo, które sobie wymościłaś -bardzo wygodne gniazdo. Zrozum, że siedzisz na tej kupce kamieni, jakby to były jaja, a ty kwoką, która je wysiaduje. Nigdy nie będziesz wolna, jeżeli nie porzucisz; gniazda twojego zaślepienia.

Dotknęła kamieni czubkami mokasynów.

— Jest jedno jajo, które warto wysiadywać — jajo, które pozostaje w zgodzie z Wielkim Duchem. To święty Kamień w środku tego stosu. Wysiaduj tylko ten kamień. Wykluje się kiedyś z niego królewski ptak, który szponami zerwie zasłony z twoich oczu. Wysiaduj też w sobie przekonanie, że stos twojego, ja"-jest także stosem świata. Jesteś królową ptaków, która wznosi się coraz wyżej i nie istnieją dla niej żadne granice. Tylko królowa ptaków potrafi zbudować prawdziwe gniazdo. Podniosła jeden kamień.

—To ta część ciebie, która wierzy we własną uczci-ość. Uczciwy może być tylko ten, kto rozbił skorupkę jajka prawdy i fałszu. Ty hołubisz to jajko, jakby zawierało twoje najdroższe dziecko. Wysiadujesz sztuczne jajka, Lynn. Czy potrafiłabyś odrzucić je, jedno po drugim?

— Nie — odpowiedziałam. — Moje przekonania i zasady reprezentują mnie samą i to, czym jestem. Są dla mnie czymś w rodzaju prawdy. Jak mogłabym je wyrzucić?

— Lepiej zrób to, żebyś była wolna. Pójdź świętą ścieżką, wysiedź prawdziwe jajko.

— Spróbuję — powiedziałam.

—Powiedz sobie tak: „Moje przekonania niekoniecznie muszą być prawdziwe, nawet, jeżeli-myślę, że są".

Powtórzyłam to zdanie i nagle poczułam się zagubiona. Wpatrywałam się w ułożony stos kamieni i czułam jego ciężar we własnym wnętrzu.

—Okay — powiedziała Agnes i zerwała się na równe nogi. — Bardzo zainteresowały mnie twoje przekonania i polityczne. Sama też jestem organizatorem. Spróbujmy coś razem zorganizować. Jest parę spraw, które koniecznie trzeba przedyskutować. Chciałabym, żeby świat stał się lepszy.

Poszłam za nią na przełaj przez łąkę. Agnes zbliżyła się do stada i stanęła na głazie ograniczającym pastwisko. Odchrząknęła. Nie miałam pojęcia, co zamierza. Rozłożyła szeroko ręce, a jej głos przypominał teraz głos spikera radiowego albo konferansjera wielkiego show.

—Krowy świata, łączcie się! Nie macie nic do stracenia prócz kajdanowi

Krowy żuły miarowo trawę i nawet nie spojrzały r Agnes, która kontynuowała:

— Słuchajcie mnie, albo czeka was zguba. Nie wiecie, że was zjedzą? Knuje się przeciw wam ponury spisek. |

Usiadłam po turecku na trawie i słuchałam z uwagą w przeciwieństwie do krów. W miarę jak Agnes przemawiała, przeżuwały trawę coraz dosadniej. W przemówieniu pojawiły się wyraźne echa kampanii wyborczych. Niemal słyszałam owacje publiczności.

— Bracia i siostry, nikt nie chce docenić tego, co wam zawdzięczamy!

W tym momencie musiałam ustąpić z drogi pasącej się krowie.

—Dajecie z siebie tyle, niczego nie żądając w zamian. Chcę wam zadać kluczowe pytanie.

W tym miejscu Agnes zrobiła dramatyczną pauzę, zmieniła nieznacznie pozycję na swoim podium i wysunęła do przodu podbródek. Stanowiła teraz doskonałą karykaturę ambitnego polityka. Pokładałam się ze śmiechu.

—Czy wiecie, że dwunożni zamierzają was pożreć? Krowy świata, słuchajcie uważnie!

— Tu Agnes uczyniła gest pełen tragicznego patosu. — Jesteście głuche i ślepe na uknutą przeciw wam intrygę. Gdzie się podziali wasi wielcy wołowi przywódcy?

Potrząsnęła w górze zaciśniętą pięścią. Na jej twarzy malowało się niezwykłe skupienie.

—Jeśli mnie nie posłuchacie, nie będzie dla żadnej nadziei. Uwaga, słuchajcie, co wam powiem!! Powtarzam! Nie wiecie, że was zjedzą?

Jedna z krów ryknęła, jakby z lekka zainspirowana.—

Krowy świata! Moglibyśmy zbudować wielkie imperium, wolne od prześladowań. Pracujmy razem! Maszerujmy ramię w ramię!

Agnes tkwiła na granitowym głazie pośrodku dzikiego pastwiska. Wokół widniały sterty krowich placków, między którymi snuły się zupełnie obojętne bydlęta. Uniosła ręce w górę, odpowiadając na wyimaginowane owacje tłumów. Łzy płynęły mi ze śmiechu po policzkach.

—Jest tylko jeden taki przywódca — wrzeszczała Agnes do niewidocznych, ale najwyraźniej wiwatujących teraz na stojąco słuchaczy. — Dwunożni wmówili wam, że są bardziej inteligentni, ale co znaczy taki cherlawy dwunóg w porównaniu z waszą siłą? Jest dla mnie zupełnie jasne, że potrzebujecie nowego wodza! I ja go wam dziś przyprowadziłam! — Powiedziawszy to ukłoniła się nisko i ustąpiła mi miejsca na kamiennym podium, sama siadła obok z łobuzerską miną.

— Po pierwsze, powinnyście zdać sobie sprawę z tego, że grozi wam niebezpieczeństwo — zaczęłam pompatycznie. Potem opadłam błagalnie na kolana. — Nie zdajecie sobie sprawy z powagi sytuacji. Jestem waszym zbawcą. — Zamilkłam na chwilę dla lepszego efektu, po czym podjęłam: — Przy dobrej organizacji mamy pewne szansę na dokonanie zamachu stanu. Jeżeli uwierzycie w swoją siłę, może zdołacie zawładnąć całą ziemią!

Klęczałam, wyciągając ręce przed sobą. Przez chwilę naprawdę pragnęłam, żeby mnie zrozumiały. Poczułam, jak wielka przepaść dzieli prawdę od ignorancji. Jedna krowa podeszła do mnie zaciekawiona, obwąchała moje nogi, a potem wymierzyła mi mordą solidnego szturchańca w plecy. Straciłam równowagę i potoczyłam się do przodu, lądując twarzą prosto w zeschłym placku krowiego łajna. Atak był tak raptowny i niespodziewany, że zerwałam się, czym prędzej, nie będąc pewna, czy krowa nie zamierza go przypadkiem powtórzyć. Ale ona, widząc, że nie wykazuję zainteresowania jej koniczyną, powróciła spokojnie do jedzenia.

Najwyraźniej przestałam panować nad sytuacją. Upadłam na ziemię obok Agnes i obie zaczęłyśmy turlać się ze śmiechu. Odkrycie nowej, figlarnej strony jej natur) zaskoczyło mnie, ale i zachwyciło zarazem. Upajałam się intensywnym zapachem ziemi i bujnej roślinności. Usiadłam na trawie, zagłębiłam obie dłonie w ziemi i zaczęłam rozgniatać ją, zaciskając garści. Błoto oblepiło mi palce, a w pewnej chwili poczułam nieodpartą ochotę, by wilgotną gliną umazać sobie twarz i radośnie wytarzać się w soczystym pastwisku. Agnes złapała mnie za rękę i pomogła mi wstać. Pokręciła głową i poczęła śmiać się tak, że aż łzy popłynęły jej z oczu. Szłyśmy obok siebie przez łąkę, chichocząc i zataczając się jak para pijaków. Trącałyśmy się ramionami i udawałyśmy, że traci równowagę. Czułam się rzeczywiście jak odurzona alkoholem.

Dosiadłyśmy ponownie koni. Musiałam w tym celu jeszcze raz skorzystać ze sporego głazu, Agnes znienacka spięła i zawróciła swojego wałacha.

— Pomóż mi zapędzić bydło na drugą stronę pastwiska — krzyknęła i pogalopowała w stronę stada. Popędziłam za nią w szalonej pogoni za tłustymi krowami, której wkrótce zatoczyły koło i pobiegły we właściwym kierunku.

—Kamienie! — krzyknęłam do Agnes.

Krowy zmierzały pędem ku stercie kamieni — strukturze moich przekonań. Po chwili zobaczyłam, jak skalne okruchy rozpryskują się na wszystkie strony pod uderzeniami kopyt pędzącego stada. Spięłam klacz i za moment sama wpadłam między resztki zrujnowanego stosu. Kamienie leżały porozrzucane, a ja zwolniłam, czekając na Agnes. Skinęła głową z aprobatą. Dostrzegłam błysk zadowolenia w jej oczach.

- Nie czujesz się teraz trochę dziwnie, Lynn?

—Tak, bardzo dziwnie.

W milczeniu dojechałyśmy do skraju łąki. Krowy, po krótkim zamieszaniu, powróciły z rozmarzeniem do przeżuwania trawy.

—Wracam do July — odezwała się Agnes. wyciągnęła rękę, wskazując dla przypomnienia kierunek, a sama zawróciła konia i oddaliła się ścieżką w swoją stronę. — Pamiętaj, chodzi o grzechotkę-matkę — rzuciła jeszcze przez ramię.

Ponieważ spędziłyśmy większość dnia razem, zostało mi bardzo niewiele czasu, żeby dojechać do Ruby, zabrać grzechotkę i wrócić do domu przed zmrokiem.

Mam nadzieję, że będzie księżycowa noc, pomyślałam. Ruszyłam szlakiem na zachód i po chwili straciłam pastwisko z oczu. Postanowiłam nazwać moją klacz „Szminka".

— Prędzej, Szminko.

Miała bardzo miękki krok, za co byłam jej niezwykle wdzięczna. Wiedziałam, że i tak nazajutrz będę się czuć zupełnie połamana. Zaczynałam oswajać się z tą trasą. To, co było przedtem dzikie i przerażające, stawało się powoli czytelne i uporządkowane. Nawet sroki, które napawały mnie z początku takim lękiem, wydawały się teraz zabawne. Szminka potrafiła utrzymać miarowe, szybkie tempo w luźnym, spacerowym rytmie niezmordowanego biegacza. Poddałam się jej kołysaniu i wkrótce stanowiłyśmy całkiem zgraną parę.

Po krótkim — jak mi się zdawało — czasie dotarłam do chaty Ruby. Przerzuciłam nogę nad ogromnym grzbietem Szminki i dziarsko zeskoczyłam na ziemię. Kiedy podniosłam wzrok, Ruby stała już w drzwiach.

— A teraz czego znowu? zapytała.

— Tym razem przyjechałam po grzechotkę-matkę — odpowiedziałam uprzejmie. — Wczoraj dałaś mi przez pomyłkę inną grzechotkę.

Ruby spojrzała na mnie.

—Nie pomyliłam grzechotek. Grzechotkę-matkę ma Agnes — powiedziała urażona. — Po co mi grzechotka-matka? — Stała podparta pod boki, a jej czerwona spódnica łopotała na wietrze.

—Ruby, nie żartuj sobie ze mnie. Przejechałam tę długą drogę tylko po to, żeby zabrać grzechotkę. Agnes jej potrzebuje. Masz ją przecież, prawda? — Zakończyłam to zdanie w poczuciu zupełnego zagubienia.

—Nie płacz. Nie mam grzechotki Agnes. Powiedz jej, że moim zdaniem już się starzeje.

Wyjąkałam coś w rodzaju zgody na to tłumaczenie a ona obróciła się na pięcie i zniknęła w chacie, trzaskając za sobą drzwiami. Byłam wściekła. Agnes wysiała mnie z beznadziejną misją.

A do tego Ruby — ta zwariowana Ruby. Usiadłam na ganku, marząc o filiżance herbaty i chwili wypoczynku Ruby mogłaby być nieco bardziej gościnna.

Zanosiło się na burzę. Tylko pojedyncze promienie słońca — niczym złociste strzały — przenikały jeszcze i ówdzie między ciemnymi chmurami o świetlistych obrzeżach.

—Do widzenia, Ruby — zawołałam przez zamkniete drzwi.

Szminka ruszyła kłusem. Na jej szyi nie było śladu potu, jedynie grzbiet miała wilgotny. Była w doskonałe kondycji. Deszcz mógł spaść w każdej chwili. Nad doliną unosiła się lekka mgła.

Jechałam pod wiatr, a powiewająca grzywa Szminki muskała moje policzki. Śpieszyłam się. Chciałam dotrzeć do domu jak najprędzej. Wypatrywałam na niebie oznak nadciągającej nawałnicy, ale chmury zaczęły rzednąć i znowu nieoczekiwanie wyjrzało słońce.

Przez chwilę obserwowałam rudego jastrzębia, który,szybował w górze, pozwalając nieść się wiatrowi. Zrobiłam krótki postój przy strumieniu. Szminka piła tak łapczywie, że musiałam w końcu odciągnąć jej łeb od wody i zmusić ją do dalszej jazdy. Ciągle rozmyślałam o grzechotce.

O zmierzchu dojechałam do południowego pastwiska.! Zsiadłam z grzbietu Szminki i pożałowałam, że nie mam dla niej marchewki w nagrodę. Podrapałam ją za uchem, objęłam jej szyję, a ona położyła się i wytarzała w trawie| mnie więcej tak jak ja i Agnes tego ranka.

—Do zobaczenia, Szminko. — Pomachałam do niej na pożegnanie i poszłam w kierunku chaty. Czułam się zawiedziona i postanowiłam zażądać solidnego, wyjaśnienia, dlaczego zostałam posłana do Ruby po grzechotkę, której nie miała. Usłyszałam dźwięk fletu, a po chwili dostrzegłam zarys chaty i sylwetki trzech osób na ganku. Szczęka opadła mi ze zdumienia. Rozpoznałam Ruby, siedzącą spokojnie w towarzystwie Agnes i July. Jakim cudem udało jej się dotrzeć tutaj przede mną? Podeszłam bliżej i wyjąkałam:

—Ruby, zaskoczyłaś mnie.

—Wybrałam krótszą drogę — roześmiała się, słysząc zdziwienie w moim głosie.

Spojrzałam w górę na korony drzew i spróbowałam zebrać myśli. Przycupnęłam na stopniach ganku.

—Nie mogłaś dotrzeć tu przede mną — powiedziałam. — Jechałam prosto na wschód.

—Jak widzisz, jestem tutaj. Może zabłądziłaś po drodze?

Agnes roześmiała się. Spojrzałam na nią.

—Ruby powiedziała, że ty to masz tę grzechotkę. Agnes pstryknęła palcami, jakby coś sobie nagle przypomniała.

—No tak, prawda. Zupełnie zapomniałam.

- Specjalnie posłałaś mnie na próżno. Takie beznadziejne polowanie na dzikie gęsi, co?

—Polowanie na gęsi — zawołała Ruby, unosząc łokcie i machając nimi jak skrzydłami. Wyciągała przy tym szyję do przodu i wyglądała rzeczywiście jak zły gąsior. Biegała w kółko po ganku, gęgając i wymachując łokciami. Agnes spojrzała na nią z niesmakiem.

—Przestań, Ruby — powiedziała.

—To oddaj mi moją grzechotkę. Grzechotka-matka jest moja.

—Ruby — Agnes tupnęła ze złością — wiesz doskonale, że grzechotka jest moja. Dałaś mi ją cztery lata temu.

—Nie dałam. Pożyczyłam ci tylko. To duża różnica. — Dałaś mi — powtórzyła Agnes z naciskiem.

—Agnes, chyba straciłaś rozum. Nigdy nie dałabym ci tej grzechotki. Oddaj mi ją zaraz.

—Nie oddam. Jest moja.

Słuchałam, nie wierząc własnym uszom. Nawet July grała jakby trochę ciszej.

—Nie. Grzechotka jest moja. Dostałam ją od Kobie- ty-Chmury.

—Jest moja — wrzasnęła Agnes. — Prawda, Lynn?

—Tak. To znaczy, tak mi powiedziałaś. Nie wciągajcie mnie w to.

—Widzisz, to jest dowód — powiedziała Agnes, | wskazując na mnie.

—Bierzesz jej stronę?! -— krzyknęła do mnie Ruby. —No tak, wszyscy przeciwko mnie.

—Nie biorę niczyjej strony, Ruby — broniłam się. —Dlaczego nie możecie usiąść spokojnie i przedyskutować tego jak dorośli?
—To znaczy jak? Może tak?

Ruby usiadła sztywno i uniosła głowę ze sztucznie skromnym wyrazem twarzy.Agnes usiadła naprzeciw niej j i złożyła ręce na podołku z buzią w ciup, jak angielska lady. Obie starały się wyglądać bardzo pruderyjnie.
—No, więc podyskutujmy teraz o mojej grzechotce —pierwsza odezwała się Ruby.
— Nie, droga Ruby. Mylisz się w tym punkcie. Kłopot w tym, że się okropnie mylisz.
—A teraz, moje drogie panie — powiedziałam poważnie — zastanówmy się, gdzie wspomniana grzechotka była najpierw?

Agnes i Ruby nie zdołały dłużej udawać. Objęły się ramionami i chichotały jak dzieci. Chwytały się za boki i skakały z radości, a ja rozumiałam, że po raz kolejny zostałam nabrana.

Zniechęcona zostawiłam je same i weszłam do chaty, żeby zrobić sobie coś do jedzenia. Po kolacji wróciłam na ganek i usiadłam przy nich. Nadal się wygłupiały. Ruby zapaliła papierosa, obróciła go parę razy między palcami, wypuściła kłąb dymu, po czym rzuciła na ziemię i zdeptała. Potem zapaliła następnego. Paliła tak jednego za drugim. Później, pod wieczór, ich twarze spoważniały.
—Już zmierzcha — powiedziała Agnes i podała mi stare mackinaw. Sama wzięła orlą grzechotkę, a Ruby zabrała grzechotkę-matkę ze skorupy żółwia. Niebo mieniło się różową, złotą i pomarańczową barwą.

Obeszłyśmy chatę z prawej strony, przeszłyśmy ciasną szczeliną pomiędzy skałami, o której istnieniu nie miałam dotąd pojęcia, i ruszyłyśmy wąską, zdradliwą ścieżką nad skalnym urwiskiem. Baczyłam na każdy krok i przyciskałam się do skalnej ściany. Przedostałyśmy się płytkim żlebem do wąwozu zarzuconego głazami, które wyglądały jak gigantyczne agaty połyskujące karmazynowo i pomarańczowo w świetle zachodzącego słońca. Nad granitowym występem zauważyłam ślady narzędzi, wyryty motyw jakiegoś zwierzęcia i niewyraźnej twarzy ludzkiej. Wydostałyśmy się wreszcie na otwartą przestrzeń. Była to skalista kotlinka mająca może trzydzieści stóp średnicy. Na przeciwległym końcu dostrzegłam płytką jaskinię, w której widniały ślady po licznych ogniskach. W kącie ktoś zgromadził zapas świeżego drewna.
—Lynn, ułóż teraz stos na ognisko —- poleciła mi Agnes.

Pokazała, jak rozmieścić szczapy na podpałkę i w jaki sposób położyć większe polano. Obie przyglądały się mojej krzątaninie. Kiedy skończyłam, Ruby zapaliła podpałkę i już po krótkiej chwili ogień ogarnął cały stos.
—Spójrzcie na niebo! — zawołałam.

Zachodzące słońce płonęło intensywną czerwienią i rozświetlało niebo we wszystkich kierunkach. Na głazach i krzewach cedru rosnących w rozpadlinach toczyła się niezwykła gra ruchomych płomiennych blasków i czarnych kształtów cienia. Poczułam ucisk w uszach, jakbym spadła nagle o kilkaset stóp. Agnes schwyciła mnie za ramiona i skierowała twarzą w stronę gasnącego słońca.

—To czas, w którym świat się zmienia — powiedziała. — Czas, kiedy i ty możesz się przemienić.

Obie kobiety zaczęły potrząsać swoimi grzechotkami, śpiewać i tańczyć wokół mnie.

—Jesteś zarzewiem — powiedziała Agnes. Podeszła do mnie, potrząsnęła grzechotką przy moim uchu, kilka razy dokoła mojej głowy, po czym cofnęła się.

—Jesteś kwitnącym drzewem — powiedziała Ruby. Jej twarz o zmroku wyglądała zupełnie groteskowo. Machała grzechotką przy moim drugim uchu, następnie — tak jak Agnes — wokół głowy, wreszcie odskoczyła nagle, sycząc jak jadowity wąż gotujący się do uderzenia.

Powtórzyły te czynności kilkakrotnie. Niebo było teraz czarne, a ogień żółty, trzaskający. Ogromne cienie pełzały po wysokich skałach. Stare kobiety stały się nagi mrocznymi burzami. Tańczyły pośród nocy, podskakując i potrząsając ku mnie grzechotkami, których dźwięk odbijał się echem od ścian skalnej kotliny i dobiegał do mnie ze wszystkich stron naraz. Zaczynałam tracić zmysły. Dym ze świętego ogniska unosił się nad ziemią i spowijał nas gęstym obłokiem o woni cedru, a z obłoku tego, co rusz wynurzały się ku mnie Agnes i Ruby. Grzechotki nie milkły ani na chwilę. Ciemność i dym I otulały mnie niczym grube futro. Dźwięk grzechotek narastał i stawał się wręcz namacalny. Nieomal czułam smak tej muzyki w ustach. Była potężna i na wskroś przejmująca.

Agnes wyrosła nagle przede mną ze swoją orlą grzechotką i wpatrywała się we mnie błyszczącymi oczyma. Zadrżałam. Miałam teraz wrażenie, jakbym znalazła się we wnętrzu jej grzechotki. Dźwięk stal się ogłuszający.

Czułam ból w uszach i miałam ochotę krzyczeć. Po chwili sama stałam się tym dźwiękiem i utraciłam nad sobą wszelką kontrolę. Miałam wrażenie, jakby pękła jakaś tama. Eksplodowałam w czerwoną nicość odblasku płomieni na skałach. Jak gdyby moja czaszka rozprysła się na kawałki. Grzechotka Agnes wyrwała mnie z mego własnego wnętrza. Znikło poczucie fizycznego istnienia. Raz widziałam obie kobiety, raz byłam nimi. Błąkałam się tak przez dłuższą chwilę, kiedy dosięgnął mnie głos grzechotki Ruby —jak dłoń, która schwyciła i ścisnęła znienacka moje wnętrzności. Ten dziwny dźwięk odmienił moją świadomość, przenosząc ją znowu na inny poziom. Przypominał syk gada. Śpiew Agnes i Ruby stał się nagle bardzo odległy i obcy. Poczułam suchość w ustach. Widziałam teraz różowe iskry ulatujące ze mnie w powietrze, czułam przypływ ciepła, a wszystkie moje doznania skupiły się w okolicach brzucha .Agnes i Ruby zniknęły. Usłyszałam raptem płacz niezliczonych dzieci. Wszystkie dzieci świata tłoczyły się wokół i wewnątrz mnie, a ja byłam jakimś gigantycznym pęcherzem ogarniającym je wszystkie bez wyjątku. Leżałam na ziemi-

—To martwe dzieci, które się jeszcze nie narodziły—powiedziała Ruby, kładąc mi dłoń na brzuchu. — Są w tobie i cały czas płaczą. Płaczą tak od tysięcy lat tam, gdzie obracają się wieczne koła ciemności.

Spróbowałam usiąść. Agnes owinęła mnie kocem.

— Zaufaj tym płaczącym dzieciom — powiedziała. — Poczuj w sobie siłę kobiety, matki. Jesteś samą matką ziemią.

Łzy popłynęły mi z oczu. Czułam się oczyszczona, napełniona nową siłą i do głębi szczęśliwa. Ruby zgasiła ognisko. Agnes pomogła mi wstać i powoli poszłyśmy z powrotem do domu.

Niebiescy wojownicy uśmiechali się, kiedy wielkiemu wojownikowi udało się ukraść moc
Agnes Whistling Elk

Posłyszałam kruka stukającego w szybę. Agnes uchyliła okno, żeby wpuścić go do środka. Było ta bardzo miłe przebudzenie. Otworzyłam oczy i ujrzałam zacienione szczyty zielonych wzgórz i przeciągające nad nimi chmury. Kruk stroszył pióra na stole, drżał lekko i mrugał sennie oczkami. Kawa pachniała cudownie.
—Gdzie Ruby i July? — zapytałam, siadając dój śniadania.
— Poszły na spacer — odpowiedziała Agnes. — Nie będzie ich prawie przez cały dzień. — Wzruszyła ramionami. — Przynajmniej nie musimy słuchać tego świstania. Bolą mnie od niego uszy.
Uśmiechnęłam się.
— Agnes, powiedz, co się ze mną działo. Ledwo mogę uwierzyć w to, co zapamiętałam.
— Znalazłaś się wczoraj między grzechotkami. To dwie nieodparte siły. Twoje życie zawisło między nimi, rozpięte jak pajęczyna. Była taka chwila, że mogły cię nawet rozerwać, ale to właśnie one dały ci siłę. Nie ma w tobie niczego, co nie byłoby częścią matki ziemi. Matka ziemia połączyła swoją siłę z twoją.
— Czuję się o tyle silniejsza...
—Naprawdę jesteś silniejsza. Ziemia to wielki zbiornik mocy. Zanurzyłaś się w niej i sama się nią stałaś.
Rzuciła okruch chleba krukowi, który podskoczył i połknął go łapczywie.
- Czuję się, jakbym była ciężarna. Te dzieci... czy one nadal są we mnie?
— Zawsze były w tobie. I we wszystkich innych kobietach też. Pamiętaj, wszystko musi narodzić się z kobiety. To moc świata, o której już się nie pamięta. Wielu ludzi, nawet wśród naszych, nie rozumie tego. Moje słowa rozgniewałyby ich. Takie jednak jest prawo. Kobieta jest kwitnącym drzewem. Jesteś środkiem matki ziemi, świata i stworzenia. Musiałaś się tego ponownie nauczyć i odbudować twoją siłę. Teraz już możesz zacząć się przygotowywać.
—Przygotowywać do kradzieży ślubnego koszyka?
—Tak. Oczywiście zrobisz to dopiero wtedy, kiedy wzmocnię dostatecznie twoją wolę i twoje ciało. Jesteś jeszcze słaba — masz sporo słabych punktów. Masz także wiele

szalonych nawyków. Będę musiała je z ciebie wykorzenić, żeby pozwolić ci osiągnąć większą moc. Zaczniemy od lekcji historii — tej, której nie ma w podręcznikach. Chcę, żebyś robiła notatki.

Słowa Agnes zabrzmiały tak profesjonalnie, że aż się roześmiałam.

-— Mówię poważnie. Chcę, żebyś zapamiętała każde moje słowo. Zapisz wszystko, co powiem. Twój notes i ołówki są w górnej szufladzie.

Wyjęłam przybory z komódki, czując się jak pilna uczennica, skupiona i gotowa do pisania dyktanda. Agnes wzięła do ręki długi kij i wskazała nim przed siebie.

—Spójrz w tamtą stronę. To święty kierunek. Nigdy nie mów o tym nikomu. Jest święty jak twoje prawdziwe imię. Nasi przodkowie opowiadali, że dawno temu nie było dnia ani Słońca, był tylko Wielki Duch. Wielki Duch był środkiem, był niewyczerpanym źródłem. Wielki Duch rozkazał wiać wiatrowi i powołać do życia wszechświat. Sam ukrył się i podzielił na bratanicę

i bratanka. Przez nich zaczął śpiewać pieśń stworzenia.! Wszystko drży i wibruje tą pieśnią — kosmos, gwiazdy, Słońce i Ziemia. Światło, ciemność i wszystkie rzeczy są tylko pieśnią Wielkiego Ducha. Wielki Duch śpi we wszystkich nazwanych i nienazwanych rzeczach.

Wszystko przebiegało tak, jak opowiadali przodkowie. Czymże jest wieczność, jak nie jednym tchnieniem Wielkiego Ducha? Wszelki czas jest tylko lotem strzały wystrzelonej z jego łuku. Zabrzmiała pieśń wszystkich gatunków roślin, a potem pieśń zwierząt. Wreszcie pieśń człowieka. Każdy ze światów był w tym śpiewie — żaden nie został zapomniany. Wielki Duch jest we wszystkim.

Wielki Duch wybrał ten krąg. Uniósł w górę ręce, i zaśpiewał łagodnie i wypuścił z ust siedem baniek, zawierających się jedna w drugiej. Nasz świat mieści się w tej najmniejszej. Od tego czasu krąg świata obrócił się wiele razy i wiele się zmieniło, ale kręgosłup Ziemi pozostał ten sam. Jeśli dwunożni go złamią, Ziemia zatrzęsie się i umrze. To jest granica. Nawet jej ciało nie zdoła więcej wytrzymać.

Rozmawiałam z drzewem szamanów, drzewem pamięci. Pierwsze było Słońce, druga — Ziemia, trzecie — i rośliny.

Drzewo rozejrzało się wokół i zobaczyło, że jest samo. „Chcę mieć wiele dzieci" — powiedziało. Księżycowa strona drzewa powiedziała to jego słonecznej stronie, a słoneczna strona powtórzyła te słowa — i tak się stało. Ludzie, dwunożne istoty, chadzali jeszcze wtedy wilczymi drogami, ale ustanowili też wiele praw.

Działo się to w jakimś punkcie koło wieczności. Niektórzy nazywają go początkiem, a inni końcem. — Agnes znowu wskazała przed siebie laską. — Była tam wyspa, którą Indianie nazywali Krajem Sześciopalczastych. Ja nazywam ten kraj Krajem Złodziei. Wszystkim tam dobrze się działo, bo każdy miał wiele kocy i jedzenia. Nikt niczego nie potrzebował, bo było tam wszystko. Każdy mnóstwo posiadał. Wszyscy byli szczęśliwi a morze im błogosławiło. Panował tam bardzo gorący klimat — mam na myśli prawdziwe gorąco. Pomyślisz, że istoty, które żyły w takim kraju, były zapewne leniwe i ospałe. Nic podobnego. Były chyże i bystre. Poruszały się po wyspie tylko biegiem.

Wszystko ma swoje prawa. Prawem tego kraju była wieczna zabawa. Owe istoty bawiły się kradnąc — kradły wszystko, co wpadło im w oko. Pamiętaj, że żyjąc na tej wyspie, było się wychowywanym na złodzieja. Ćwiczono się w tym od kołyski. Tych, którzy nie kradli, uważano za szalonych, ale nic im się złego nie działo z tego powodu.

Istoty te, prócz tego, że były złodziejami, były również kłamcami. Żeby dowiedzieć się prawdy, trzeba było porównywać ze sobą wszystkie kłamstwa. Jeśli istota z tego kraju powiedziała komuś prawdę, to tylko przez przypadek albo po to, by już zupełnie go zmylić. Może się to wydawać dziwne, ale ten wyspiarski kraj był bardzo postępowy. Nie znano tam zabójstwa ani okrucieństwa. Być może Kraj Złodziei nie brzmi zbyt pięknie, ale było to całkiem niezłe miejsce. Nikt się nigdy nie nudził. W rozumieniu tych istot wszystko było wspaniale urządzone. Miały one też bardzo dobre serca. Było cudownie kraść, kłamać i oszukiwać, jeśli robiło się to w szerszej intencji i nikomu nie działa się krzywda. Kiedy złapano złodzieja, wszyscy się śmiali, bo zgodnie z prawem, kiedy widziało się coś, na co miało się ochotę, po prostu brało się to. Takie było prawo — wolno było ukraść wszystko, każdemu i o każdej porze.

Mieszkańcy tej wyspy uczyli się cierpliwości i rozwijali w sobie różne niezwykłe zdolności. Potrafili leżeć plackiem, stapiając się z barwą ziemi, i czekając cierpliwie na sposobność kradzieży czegoś. Byli pierwszymi niewidzialnymi i znali dobrze ten śmiech, który towarzyszy niewi-dzialności. Bo w samym śmiechu też jest niewidzialność — zapomnieć o sobie i sprawić, że inni też zapomną. Umieli tak się upodobnić do otoczenia, że nikt nie mógł ich zobaczyć- Tutaj też — w tym leśnym kraju — jest wiele rzeczy, które trzeba dopiero nauczyć się widzieć. Jest mnóstwo rzeczy, które są niewidoczne — mnóstwo rzeczy, które okazują się innymi, niż sądzimy. Cały las zmieniłby się, gdybyś nauczyła się na niego patrzeć. Ale nawet wtedy nie dojrzałabyś istoty z tej wyspy. Tych mistrzów nikt nie widział od tamtych starożytnych czasów.

Są jednak inne sposoby, żeby do nich dotrzeć. Trzeba coś zjeść. To coś jest brązowe, ma duży kapelusz i wygląda jak szeroko rozstawione tipi. Niektórzy ludzie pożerali go w całości, wyrywali to święte pożywienie z korzeniami, i nic — wszystko na próżno. Ukazywał im się tylko kot o zielonych oczach z jadeitu. Tylko wielcy i mężczyźni i kobiety, którzy noszą głowę wysoko nad ziemią, mogą jeść ten lek prawdy. Nie daj się nigdy zwieść temu grzybowi —- to on właśnie przyspieszył koniec mieszkańców wyspy. Okazał się dla nich zbyt wielki. Dławili się nim i wypluwali go na ziemię, którą rozgniewała się i ukarała ich. Grzyb był wielkim błędem tych istot.

Ten piękny kraj istniał jeszcze przez jakiś czas, a potem rozpadł się na dwoje.

Powstały gorące trąby powietrzne, które niszczyły wszystko. Wreszcie wyspa zaczęła pękać, a potem zapadła się w morze i wszyscy jej mieszkańcy zginęli. Wyspa zniknęła pod wodą na zawsze, a mądrość Sześciopalczastych została niemal zupełnie zapomniana.

Jeśli chcesz wiedzieć — a jest to ważna rzecz — mieszkańcy tego kraju nie byli jeszcze gotowi do śmierci, zatem ich duch pozostał na ziemi. Umierali z imieniem Wielkiego Ducha na ustach. Było zbyt późno, by mógł ich ocalić z potopu, ale pomógł im inaczej. Ich duchy uniosły się razem nad wodę, jako jedna świetlista istota, której dłonie

mają po sześć palców. Chodzi teraz po i ziemi jako największy złodziej. Czasem uda się dotrzeć do niego we śnie, a on włoży niekiedy trochę mocy do
Twojego woreczka z lekami. Jeśli się z nim porozumiesz, pomoże ci ukraść koszyk Rudemu Psu. Miałabyś wielkie szczęście, gdyby udało ci się pozyskać ducha Kraju Złodziei i zostałby twoim przewodnikiem. Byłby najlepszym sprzymierzeńcem. Jeśli zobaczysz go w księżycową noc, to śpiewaj z radości. Dotknij wtedy ziemi obiema rękami, a potem przyłóż je do żołądka, żeby przyjąć jej błogosławieństwo.

Agnes przerwała na chwilę, a wtedy zapytałam ją, czy to wszystko prawda. Z naciskiem podkreśliła, że tak. Potem zapytałam ją o ten grzyb, o którym była mowa. Odpowiedziała, że opowie mi o nim więcej innego dnia.

— Na razie, Lynn — podsumowała — powinnaś pamiętać o Sześciopalczastym Duchu na wypadek, gdybyś go spotkała. Po to opowiedziałam ci całą tę historię. Teraz chciałabym, żebyś dowiedziała się nieco więcej o moim narodzie. To dodatkowy powód — ciągnęła Agnes, — dla którego zaczęłam tę opowieść. Mówiłam, że powstało wiele światów. Jeszcze nie tak dawno wszystko było inne. Wtedy wszyscy robili to samo. Oczywiście było i wyprawianie skór, i tkactwo, i hafciarstwo. Niektórzy wyrabiali fajki. Jeszcze inni — tarcze. Byli wielcy myśliwi i wielcy wojownicy. Ale w gruncie rzeczy wszyscy robiliśmy to samo. Rozumiesz, o co mi chodzi?

—Sądzę, że tak — odpowiedziałam. Notowałam wszystko zawzięcie.

—Jedyna różnica polegała na tym, jak to robiliśmy. Niektórzy potrafili robić coś lepiej niż inni, ale nikt nie lubił robić ciągle tego samego. Kiedy duch jakiejś czynności został już złapany, wystarczało nam to. Przestawaliśmy się tym interesować. Opowiadaliśmy piękną historię i koniec na tym. Śpiewaliśmy piękną pieśń i na tym się kończyło. Był jeden wyjątek—-jeśli coś posiadało moc, zachowywaliśmy to dla siebie. Zachowywaliśmy wiedzę.

Obóz nie był podzielony. Kobiety miały tyle władzy, co mężczyźni. Mówiłam ci już, że kobiety są źródłem wszelkiej mocy. Wśród wodzów były też kobiety. Bywały również wielkimi wojownikami, podobnie jak mężczyźni .

Przypuśćmy, Lynn, że byłaś wielkim wojownikiem w tamtych czasach. Z wielkim wojownikiem każdy się musiał liczyć. Wszyscy o tobie mówili. Mówili, że Lynn zrobiła to czy tamto, dokonała tego czy tamtego, że Lynn ukradła to lub tamto, temu czy tamtemu. Twoje czyny i twój honor były dobrze znane. Wszyscy wielcy wojownicy znali się nawzajem. Było wiele praw, których wielki wojownik musiał przestrzegać. — W tym momencie Agnes uśmiechnęła się do mnie. — Wyobraź sobie,] Lynn, że jesteś wielkim wojownikiem w tamtych czasach.

Trzeba pamiętać o paru rzeczach. Otóż działo się to wszystko przed pojawieniem się koni. Odległości były ogromne. Setki i tysiące mil. Do innego obozu było bardzo daleko, czasem trzeba było iść sto mil albo i więcej. To było ogromnie męczące. Nawet konno byłaby to bardzo długa droga.

Wyobraź sobie, że idziesz do wrogiego obozu, żeby wyzwać Bena i Drutna do walki. Nie byłby to dla nich żaden honor pokonać cię w stanie takiego wyczerpania. Chcieliby, żebyś była w najlepszej formie wielkiego wojownika, tak żeby mogli być dumni ze

zwycięstwa. Pamiętaj, że każdy z młodych, dzielnych wojowników marzyłby walczyć z wielkim wojownikiem. Przyjmowano cię zatem w namiocie, który nazywano wrogim tipi. Karmiono cię doskonale i dawano wszystko, co najlepsze. W obozie panowało wielkie poruszenie i wszyscy przybiegali, żeby zobaczyć Lynn, wielką wojowniczkę. Myślę, że zastępowało to dzisiejsze radio i telewizję.

Następnego dnia wychodzisz, by stanąć do walki z Drumem. Masz na sobie najlepszy strój. Twój nóż i topór są dobrze naostrzone. Cały obóz przygląda się w skupieniu. Nie chodzi o to, żeby zabić albo okaleczyć Druma, ale żeby go poniżyć. Obciąć mu warkocz albo sprawić, by inni zobaczyli w nim tchórza. Kiedy zaczyna się walka z Drumem, każdy widzi, że jesteś lepszym wojownikiem. Widzą, że możesz obciąć mu warkocz, ale tobie nawet tego nie chce się zrobić. Po prostu rozrywasz mu spodnie i wycinasz pęk włosów z jego łona. Wszyscy pękają ze śmiechu. Odwracasz się piecami, tak, że Drum może cię zabić, ale ty wiesz, że tego nie zrobi, i tak nie zostałby wielkim wojownikiem. W każdym razie nikt już nie będzie miał dla niego szacunku. Następnego dnia albo za dwa dni walczysz z Benem lub innym wojownikiem, który wyzwie cię do walki. Przez cały ten czas mieszkasz w swoim tipi i wszyscy mają dla ciebie wielki respekt.

Tyle o wojowaniu. A teraz opowiem ci o kradzieży. Sztuka kradzieży to bliźniacza siostra magii. Wszyscy wielcy wojownicy wiedzą, jak ukraść moc. Moc może ci zostać przekazana albo możesz ją skraść. W obu przypadkach musisz jednak wiedzieć, jak ją utrzymać. Są takie rodzaje sił, z którymi czarownik umiera i które spływają do matki ziemi, czyli powracają do swojego źródła. Istnieją na świecie takie ukryte miejsca, gdzie wielcy wodzowie tańczyli, aby przejąć z ziemi moc. Tam przebywają też duchy zmarłych wojowników. Jeśli potrafisz odnaleźć jedno z takich miejsc i zaskarbić sobie przychylność jego ducha, to duch ten pozwoli ci czerpać z siły tego miejsca i będzie to dla niego wielki zaszczyt. Jednak żeby tak się stało, musisz być wielką wojowniczką. Na ziemi jest wiele takich miejsc, w których wielcy ludzie — tacy jak Chrystus, Budda czy Crazy Horse — otrzymali swoją moc. Kiedy już tę moc dostaniesz, musisz umieć ją zachować. Jeżeli ktoś trafi na źródło mocy i nie weźmie jej, bo zabraknie mu odwagi, nie jest wart tego, by zostać czarownikiem. Rozumiesz teraz, dlaczego powinnaś mieć odważne serce, zanim sięgniesz po moc?

Pierwszą rzeczą, jaką musiał ukraść wielki wojownik, była kobieta. Być porwaną przez wielkiego wojownika stanowiło wyjątkowy zaszczyt. Wiele małżeństw zawarto w taki sposób. Pamiętaj, że w czasach, o których mówimy, nie wolno było się żenić z kobietą z własnego obozu.

Następnymi rzeczami, które wypadało kraść, były tarcze, łuki, strzały, oszczepy, laski wodzów i tak dalej. Jeżeli wielki wojownik potrafił to zrobić, to dobrze. Bywały jednak znacznie lepsze zdobycze.

Jak powiedziałam, istnieje wiele sposobów uzyskania mocy. Moc otrzymuje się przede wszystkim przez wizje i sny, ale — mam nadzieję, że to rozumiesz — nigdy nie było niczym niegodnym, jeśli się ją ukradło. Moc można było zdobyć, kradnąc wielkie tarcze szamanów, leki amulety i inne przedmioty, które miały magiczną siłę. Jednak były

one bezużyteczne, jeżeli nie wiedziało się jak wykorzystać ich moc. Źle użyte mogły ci zrobić wielką krzywdę, albo nawet cię zabić. Było to bardzo ryzykowne.

Kradzież mocy była najbardziej niebezpieczną kradzieżą, bo właściciel miał wtedy obowiązek odnaleźć cię i zabić. A bywały jeszcze niebezpieczniejsze kradzieże. Jeżeli ukradłaś rytualną pieśń albo obrzęd, to zabicie ciebie było świętym obowiązkiem całego obozu.

Dla wielkich wojowników kradzież była, zatem również drogą osiągania doskonałości i sposobem na to, by zostać szamanem. Niebiescy wojownicy uśmiechali się, kiedy wojownik zdołał ukraść moc.

Przypuśćmy, że musisz zmierzyć się ze mną, by zdobyć moc. Przypuśćmy, że jesteś silniejsza ode mnie i potrafisz sięgnąć do moich poprzednich wcieleń w taki sposób, w jaki Drum usiłował to zrobić, kiedy próbował cię zabić. Możesz skraść całą moją moc jednym aktem twojej woli. Co ja wtedy robię? To, że jestem starą kobietą, nie jest dla mnie żadnym usprawiedliwieniem Jesteś silniejsza ode mnie i ja o tym wiem. To zaszczyt dla mnie. Błagam Wielkiego Ducha, aby się tobą opiekował i dał ci jeszcze więcej mocy. Przyszłaś z wrogiego obozu i to też jest dla mnie zaszczyt. Szamanka jest zawsze zaszczycona, kiedy pojawia się następca. Nauczyciele chcą, żeby skradziono ich wiedzę. Taka jest kolej rzeczy, Tak było i tak będzie. Dawny porządek nadal mieszka w tych, którzy posiadają wiedzę. W obecnych czasach jednak wszystko wydaje się inne.

Stary porządek świata był dobrym, słodkim porządkiem. Potem nagle wszystko na świecie się zmieniło. Opowiadają, że do pewnej wioski Indian Dakota przybył wtedy mężczyzna — pierwszy biały człowiek, jakiego widzieli. Wszyscy byli bardzo zaciekawieni. Nie byli pewni, kim jest — człowiekiem czy kimś zupełnie innym. Szamani przyszli go obejrzeć, to samo zrobili wodzowie. Jeden z szamanów pokręcił głową i powiedział: „Może ten człowiek, jeśli to w ogóle jest człowiek, najadł się kredy".

Biały próbował powiedzieć im, że żołądek z głodu przyrósł mu już prawie do kręgosłupa. Ale nikt go nie rozumiał, a on nie potrafił im tego przekazać znakami. Znalazł się w bardzo przykrym położeniu.

Wodzowie orzekli: Jeżeli jest człowiekiem, to cierpi na jakąś chorobę, która może być zaraźliwa. Nikt z nas nie chciałby zmienić koloru skóry i wyglądać tak jak on. Powinniśmy go zabić, bo i tak umrze. A jeżeli nie jest istotą dwunożną, tylko przybrał taką postać z jakiegoś niewiadomego powodu, to też nie zaszkodzi go zabić".

Krótko mówiąc, zabicie tego człowieka pojmowano jako akt miłosierdzia. Wówczas jedna z kobiet, które przyszły popatrzeć na białego mężczyznę, zapytała: „Czy nie widzicie, że to człowiek taki jak inni? Umrze z głodu, jeżeli go nie nakarmicie. Dajcie mu nóż i pozwólcie, żeby ukroił sobie trochę mięsa z tych upolowanych saren".

W tamtych czasach — warto o tym wiedzieć — tłuszcz był na wagę złota. Był najwartościowszą, najważniejszą częścią upolowanego zwierzęcia. Jeżeli człowiek nie jadł dość tłuszczu, umierał. Dzikie zwierzęta nie miały go wiele. Tłuszcz był cenny.

Kobieta, która się odezwała, wręczyła białemu nóż i wskazała na wiszące sarny. Mężczyzna rzucił się w tamtą stronę, wyciął najtłustsze kawałki ze wszystkich saren i zjadł. To był pierwszy biały, którego zobaczyliśmy.

Indianie Dakota nazwali go wasichu, co oznacza: ten-który-bierze-tłuszcz.

Szamani patrzyli na jedzącego białego człowieka, którego twarz ociekała tłuszczem, a potem spojrzeli po sobie. Pomyśleli, że wszystko skończone — i mieli rację. Przybyły Długie Noże i zagarnęły znacznie więcej. To był koniec. Dzisiaj masz tutaj wielką zbieraninę różnych narodów.

Magia szamanów przetrwała, ale musiała się ukryć. Zresztą najgłębsza wiedza była i tak — od niepamiętnych czasów — skrywana i udzielana tylko tym, którzy, okazali się jej godni. Musi tak być. Istnieje wiele tajemnic i każda z nich dociera do ciebie w odpowiednim czasie. Rudy Pies jest mistrzem, który opanował całą tę zapomnianą sztukę. Wie, jak zachować wiedzę, i wie, jak jął ukraść. Zabrał przecież ślubny koszyk, prawda? A teraz mówi wszystkim:„Kto odważy się ze mną zmierzyć? Kto mnie pokona? Kto będzie miał dość siły, żeby mi goj ukraść?" W twoim świecie największych kradzieży dokonuje się na papierze. Tak, zapisz to wszystko dokładnie. Może powinnaś napisać książkę o Rudym Psie? To by go zabolało. Nie spodobałoby mu się to — on woli działać w przebraniu. Naucz się go widzieć. Zbyt wiele rzeczy uznałaś za pewne. A przecież całe twoje widzenie można porównać do krótkiego spojrzenia. Naprawdę wszystko występuje w przebraniu.

Kim jest szamanka? Jesteśmy podróżniczkami po innych światach. Nie daj się zwieść mirażom wieczności. Zacznij myśleć brzuchem. W twoim żołądku mieszkają dwa psy — strażnicy. Ich imiona to lęk i zazdrość. Jeden z tych psów jest lękliwie zazdrosny, a drugi zazdrośnie lękliwy. To one cię pilnują.

Naucz się używać intuicji — nigdy nie rozwiążesz żadnego problemu na tym poziomie, na którym powstał. Aby ukraść ślubny koszyk, musisz dążyć do niego nieubłaganie. Stań się panią swego przeznaczenia i uwolnij to, co jest w tobie.

Idziesz teraz w święte góry, gdzie tańczy niedźwiedzica z białopiórymi strzałami. Słyszałaś głos śniących. Uczucia rodzą się tam, gdzie się z czymś łączysz, a ty połączyłaś się ze śniącymi. Idź ścieżką prawdy i stań się jednością. Bądź kobietą. W twoim świecie kobiecość zaginęła.

Agnes przerwała. Skończyłam pisanie i dopiłam resztkę herbaty. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Agnes wyszła z chaty, a do wnętrza wdarło się jasne słoneczne światło. Posłyszałam śpiew ptaków.

—Odłóż notes i chodź ze mną! — zawołała Agnes zza szeroko otwartych drzwi.

Poszłyśmy kawałek ścieżką, a po chwili skręciłyśmy w lewo, w stronę obsypanej żółtymi kwiatami łąki. W kwiatach pracowicie uwijały się pszczoły, po trawie skakały koniki polne, a wszystko tonęło w ciepłym słońcu. Było cudownie. Agnes zawróciła do domu, ii mnie kazała zostać przez resztę dnia na łące i patrzeć na wszystko tak, abym nie czuła się oddzielona od „tego, co widać". Spacerowałam do późnego popołudnia.

Już prawie zmierzchało, kiedy posłyszałam, jak Agnes woła mnie do stołu. Pobiegłam do chaty. Jedzenie pachniało wspaniale.

Agnes podała mi miskę gorącej zupy o dziwnym, niezwykle bogatym aromacie. Zmrok ogarniał powoli izbę i obejmował nas swoim szarym cieniem, który rozpraszał nieco drżący płomyk stojącej między nami świeczki. Łagodny powiew docierał do nas przez

uchylone drzwi chaty. Agnes usiadła na łóżku i zaczęła cerować swoje stare mackinaw. Nie podnosząc na mnie wzroku, zapytała:
—Lynn, czego ty naprawdę chcesz?
—A jak sądzisz, czego mogę chcieć? Chcę ślubnego koszyka.

Agnes nic nie odpowiedziała. Zjadłam do końca zupę i odłożyłam łyżkę. Agnes przerwała cerowanie i spojrzała mi w oczy.
— Żeby zdobyć ślubny koszyk, musisz stać się od- powiednim naczyniem, czymś w rodzaju zbiornika —powiedziała. — Musisz sprawić, by twoje łono dojrzało, a energia tej rzeczy, której chcesz, popłynęła magnetycznie w kierunku twojego brzucha. Musisz stać się tym, czego koszyk chce. Musi przestać istnieć to, co cię od niego oddziela. Jeżeli będziesz myśleć o sobie jako o czymś odrębnym, przerwiesz ten strumień i koszyk cię pokona.

Zdumiały mnie użyte przez nią sformułowania.
—, Po czym poznam, że moje łono już dojrzało?
— Po prostu uzyskasz poczucie własnej mocy. Po- czujesz, że nadszedł czas. Nie sposób tego przeoczyć.
—Agnes, nie rozumiem terminologii, której używasz. Jak mogę się tego wszystkiego nauczyć?
—Po to tu jesteś, żeby się uczyć.
Odłożyła zacerowane mackinaw do szuflady komódki, wyszła na ganek i usiadła. Nalałam sobie filiżankę herbaty i udałam się za nią. Agnes patrzyła na blaski zorzy północnej. Różowe i złote barwy zdawały się anonsować jakiś niezwykły karnawał na krańcach światła. Usiadłam na stopniach i podziwiałam grę kolorów na tajemniczej twarzy starej kobiety. Żywiłam dla niej jakiś szczególny rodzaj czułości. Twarz ta była dla mniej zarazem zwiastunem bólu, bo przypominała, że wszystko, co do tej pory ceniłam w życiu, musi umrzeć. Nie wiedziałam, na ile już się zmieniłam, czułam jednak, że staję się powoli innym człowiekiem — człowiekiem, którego istnienia jeszcze przed kilkoma miesiącami nawet nie podejrzewałam.
—Na tę noc babki przygotowały dla ciebie specjalny dar. Dostaniesz ode mnie twój lek. Poznasz twoją magię. — Agnes poklepała dłonią deski ganku, dając i znak, żebym siadła bliżej.
—Gdybyś urodziła się zwierzęciem, to jakim? Zaskoczyła mnie.
—Zadajesz mi zawsze pytania, na które tak trudno
szybko odpowiedzieć. — Myślałam przez kilka minut. —Zawsze kochałam konie. A może byłabym sarną? Agnes uśmiechnęła się.
—Jesteś czarnym wilkiem. — Obserwowała moją reakcję, a potem, wyciągnęła ku mnie dłoń i dotknęła palcem mojego czoła. — Obudź się w sobie. — Cofnęła rękę. Dotknięcie sprawiło, że moje ciało przeniknęło jakieś dziwne czucie.
—Nie jesteś białym wilkiem, tylko czarnym, bo nosisz czarną sukienkę kontemplacji. Gdybyś była białym wilkiem, byłabyś bardziej otwarta, skierowana bardziej na zewnątrz. Ty natomiast biegasz po lesie w poszukiwaniu tego, na czym ci zależy, a potem wracasz

do stada. Zwijasz się w kłębek na słońcu i rozmyślasz o tym. Jesteś samotnym wilkiem, który boi się być sam. Pozwól, że opowiem ci pewną historię.

Na początku istnienia świata wodzowie wysłali wilcze szczenięta, żeby obejrzały i zmierzyły świat. Przebiegły, więc wszystkie ścieżki, a potem powiedziały: „To jest takie, jakie jest, a tamto takie, jakie było". Wilczy lek oznacza miarę. Wilki są dobrymi matematykami, jeśli trzeba. Jeżeli stopisz się w jedno ze swoją magią — ze swoim lekiem — nigdy się nie zagubisz, bo przebiegłaś już wszystkie ścieżki. To bardzo potężna i hipnotyczna magia.

Dam ci przykład. Wilk wychodzi o świcie na brzeg rzeki. Widzi, jak jego śniadanie pluska się w wodzie, więc zaczyna tańczyć na brzegu. Wszystkie gęsi patrzą zaintrygowane, a potem oczarowane płyną w jego stronę. Płyną w stronę tańczącego wilka. Kiedy są już blisko, wilk wskakuje do wody i zabija tyle gęsi, ile tylko zdoła. Jego magia może być bardzo niebezpieczna. Myśliwy ma wyjątkowe szczęście, jeśli uda mu się schwytać lub zabić wilka, a to, dlatego, że każdy wilk poucza inne wilki, jakie są zamiary i zwyczaje myśliwych. Ty nie mogłabyś polować na wilki. Nie wolno ci zabić własnego lęku. Gdyby tak się stało, znalazłabyś się w tarapatach.

Wilki założyły pierwsze szkoły. Były pierwszymi nauczycielami. Wilk postępuje zawsze tak, żeby wzmocnij swoje stado. Dostarcza żywności chorym i starym, uczy wilczęta i broni terytorium przed innymi wilkami. Potrafi tropić jak żadne inne zwierzę. Jest bardzo wytrzymały i może obywać się dłuższy czas bez jedzenia Wilk to wielki magiczny lek, a ty zapamiętaj, że to nie ja go dla ciebie wybrałam — ty jesteś wilkiem.

Agnes usiadła.

—Zaczynam rozumieć. Poruszyłaś coś głęboko mnie — powiedziałam. — Rzeczywiście czuję się trochę jak wilk. Lubię odkrywać nowe ścieżki, a teraz mam takie uczucie, jakby obudziła się we mnie nowa świadomość. Hyemeyohsts Storm musiał znać mój lek, bo dał mi przecież kłębek wilczego futra. Jaki jest cel posiadania takiego magicznego leku?

Oparłam się o słup ganku, nie mogąc wyjść ze zdumienia, jak bardzo poczułam się nagle wilkiem.

—Tym celem jest moc. W twoim świecie udajesz się do psychiatry, a on mówi ci, że w twojej głowie panuje zamęt. Pomaga ci spojrzeć w siebie i poznać twój charakter. Natomiast tutejsi ludzie od tysięcy lat obserwowali czworonogi, ptaki i siły natury. Dobrze wiemy, jakie jest twoje najbliższe pokrewieństwo. Kiedy wiem, że jesteś czarnym wilkiem, ty spojrzysz w siebie i rozpoznasz, że to prawda. Jeżeli zrozumiesz, moc czarnego wilka, to sama uzyskasz taką moc jak on. Biali mawiają: Nie jestem wężem, nie jestem wiewiórką. Jestem kimś ważnym". Wszystko bez przerwy rozdzielają. Na tym polega ich tragedia.

Agnes patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę. W jej oczach migotały iskierki — odblaski zorzy polarnej. Rozmyślałam o tym, co usłyszałam. Wzięłam do ręki kłębek wilczej sierści i rozkoszowałam się jego miękkością. Agnes nieoczekiwanie wstała. Weszłyśmy w milczeniu do chaty. —

Posprzątaj tu — powiedziała. — Ruby i July wrócą niedługo. Pójdziemy razem do łaźni nad strumieniem,żeby się wypocić. Przed tobą jeszcze dużo nauki. Czekają cię nowe doświadczenia i musisz poznać znaczenie wielu rzeczy.
—Cóż to ma wspólnego z łaźnią? — zapytałam. Poczułam lekki niepokój. „
—Bardzo wiele. Pocenie się oczyszcza ducha i ciało i ułatwia porozumienie z Wielkim Duchem. Chcę, żebyś tej nocy słuchała głosu twojego własnego leku — czwartego wilka. Dzięki oczyszczeniu będziesz silniejsza i łatwiej znajdziesz twojego przewodnika.
Agnes szczegółowo omówiła znaczenie łaźni.
- Musimy się spieszyć — dodała na zakończenie. —Oczywiście, jeśli nadal jesteś gotowa ukraść koszyk Rudemu Psu. Tej nocy, po oczyszczeniu, pomaluję twoje ciało, a potem zatańczymy twój taniec dla świata duchów. Przemienisz się i poznasz moc twego leku. Sama się nim staniesz i zatańczysz w miejscu, które zostanie nasycone jego siłą. Będziesz potem mogła czerpać siłę z tego właśnie miejsca. Przemyśl to sobie. Jeżeli rzeczywi-
ście chcesz mocy, to pozostanie ci tylko poddać się jej działaniu.
Wyszłyśmy na zewnątrz. Zorza mieniła się gorejącymi barwami zieleni, pomarańczy, bieli i błękitu. Posłyszałam odległe dźwięki fletu. Po chwili zobaczyłam wyłaniające się z mroku sylwetki starej kobiety i dziewczynki.
— O mało, co zapomniałam o łaźni — odezwała się Ruby. — No nic, w każdym razie jesteśmy.
Nie wyglądała na zmęczoną po długiej drodze. Stojąc obok niej, czułam się odrobinę nieswojo.
Agnes zagarnęła nas jak kwoka kurczęta i ponaglając powiodła w stronę Zatoczki Umarłego. Zabrałam jeszcze mój stary ręcznik z samochodu. Powietrze było aż gęste od zapachu bujnej roślinności.
Ruby i Agnes chichotały na przodzie. July, stąpając równie pewnie jak Szminka, szła parę kroków za nami, poświstując na swoim fleciku. Dojrzałam z dala chatkę, na którą wcześniej nie zwróciłam uwagi. Kiedy obie z July dowlokłyśmy się do niej. Agnes kazała mi usiąść i być cicho.
- Po prostu patrz, jak rozpalamy ogień i nagrzew my kamienie. Wyobrażaj sobie, że to wieczny ogień. Robimy to na prastary sposób. Ten ogień nas oczyści i zbliżymy się dzięki niemu do źródła mocy. Siądź w świętej pozycji i śnij. — Agnes pozostawiła mnie siedzącą w błocie nad brzegiem.
Zauważyłam, że Ruby kładzie flet July obok torby Agnes z fajką i tytoniem. July, ku mojemu zdumieniu była potulna i pozwoliła na to bez najmniejszego oporu. Siedziałyśmy teraz razem w scenerii leśnej polany nad strumieniem. Zorza nieco przygasła, za to gwiazdy migotały intensywnym, niebieskawym światłem, jak wielkie grudki lodu połyskujące na tle czarnego nieba. Niebo zaś wydało się jeszcze ciemniejsze z chwilą, gdy zapłonął ogień. Ogromne żółte płomienie pięły się coraz wyżej w noc. Powietrze było duszne i ciężkie. Agnes siadła przy ogniu. W jego blasku jej twarz mieniła się pomarańczowo. Agnes uderzała miarowo w swój bębenek i cicho nuciła. Śpiewała tak dłuższy czas, a potem zaczęła się modlić.

—Ho -— powiedziała Ruby po kilku minutach. Agnes podeszła do łaźni i położyła fajkę na ziemi. Na jej znak obie z July zdjęłyśmy ubranie i weszłyśmy do środka. Musiałyśmy się mocno pochylić, bo wejście miało tylko cztery stopy wysokości. Wewnątrz zwróciłam się z milczącą modlitwą do Wielkiego Ducha. Agnes modliła się głośno. Obeszłyśmy wnętrze zgodnie z kierunkiem ruchu Słońca. Potem usiadłam przy drzwiach naprzeciw Agnes. Milczałyśmy. Powietrze było przesycone zapachem szałwii.

Wcześniej Agnes pouczała mnie, żeby nigdy niczego nie udawać, myśleć o rzeczach wzniosłych i dobru wszelkich rzeczy. Starałam się teraz reagować tak, jak powiedziała. Siedziałyśmy w ciemnościach. Jedynie przez drzwi wpadała odrobina światła. Ogień na zewnątrz rzaskał i huczał — Ruby rozpaliła duże ognisko. W pewnej chwili podała mi z zewnątrz fajkę, a ja położyłam ją przed sobą, ustnikiem w kierunku zachodnim, dokładnie tak, jak przedtem poinformowała mnie Agnes. Potem, posługując się rozwidloną gałęzią, wsunęła do wnętrza duży, rozżarzony kamień i zatoczyła go na środek, umieszczając na czymś w rodzaju usypanego z ziemi ołtarzyka. Moje kolana niemal go dotykały. Ruby powiedziała coś w języku Cree. Agnes poleciła mi dotknąć kamienia cybuchem fajki, po czym wspólnie wyrzekłyśmy podziękowanie w języku (ree

Ruby przyturlała więcej kamieni — po jednym dla każdej strony świata, jeden dla nieba i jeden dla ziemi. Agnes powiedziała, żebym ofiarowała fajkę niebu, ziemi i czterem stronom świata, a potem zapaliła ją. Wypuściłam kilka kłębów dymu, zgodnie z instrukcją Agnes wtarłam dym w ciało i podałam fajkę w lewo, do July. Wzięła ją ode mnie i pociągnęła. Następnie pyknęła z fajki Agnes, podała mi ją z powrotem i kazała wyczyścić, a popiół wysypać ostrożnie na brzeg świętego ołtarzyka. Kiedy to zrobiłam, wzięła ją znowu. Potrzymała fajkę nad ołtarzykiem, ustnikiem na zachód, a potem przeniosła wzdłuż świętej linii ku wschodowi, czyli stronę wyjścia, gdzie odebrała ją od niej Ruby, która cały czas stała za progiem.

Kamienie na środku żarzyły się czerwono. Chatka — pleciona z wierzbowych prętów przykrytych skórami — była niewielka. Miała najwyżej osiem stóp średnicy. Znienacka Ruby zasłoniła wejście kocem. Ogarnęła nas całkowita ciemność. Agnes wyjaśniła, że ta ciemność oznacza mrok duszy, czyli naszą niewiedzę, z której musimy się oczyścić, żeby przyjąć światło. Słuchałam dobiegającego z ciemności głosu Agnes. — Podczas obrzędu wejście zostanie odkryte cztery razy, dla przypomnienia, że otrzymaliśmy światło w ciągu czterech epok.

Rozpoczęła długą modlitwę do duchów w języku Cree. Cztery razy skropiła kamienie wodą z drewnianej miseczki, używając w tym celu wachlarza z orlich piór. Cały czas modliła się do przodków.

Aromatyczna para z sykiem uniosła się w górę. Zrobiło się niewiarygodnie gorąco — nie widziałam ni a powietrze było gęste od pary. Wtedy Agnes przywoła Jasne Niebo Porannej Gwiazdy i powtórnie prysnęła cztery razy wodą z miseczki. Schowałam głowę miedzy kolanami, aby móc lepiej oddychać. Agnes wezwała tęczę, po niej orły, po czym zanuciła jakąś niezwykłą] melodyjną, przejmującą pieśń. Poczułam przypływ emocji. Rozpłakałam się. Byłam przekonana, że gorąco osiągnie pewien pułap, na którym się ustabilizuje, ale ono narastało, przekraczając niemal granicę ludzkiej wytrzymałości.

Rozżarzone kamienie jawiły się w moja wyobraźni jako połyskujące oczy wnętrza ziemi. Agnes wezwała własną moc magicznej przemiany — sarnę: i znów pokropiła wodą kamienie. Uświadomiłam sobie, że modlę się na głos. Strumyczki potu ściekały mi spomiędzy włosów i zalewały oczy. Miałam wrażenie,: topnieję z gorąca.

Ruby odsunęła koc i do środka wtargnął chłodny powiew. Światło ogniska rzucało dziwaczne cienie wnętrza naszej ciemnej jaskini modlitwy. Nieoczekiwany blask oślepił mnie i zdezorientował, ale poczułam wdzięczność za dopływ świeżego, orzeźwiającego powietrza. Agnes sięgnęła po miseczkę i natarłyśmy ciała wodą. Towarzyszyło mi uczucie głębokiej pokory.

Wejście zostało ponownie zakryte, a ja zwróciłam teraz uwagę na zachowanie July, która kołysała się miarowo w przód i w tył i cichutko pojękiwała. Nagle poczęła łkać rozpaczliwie. Przez głowę przebiegła mi myśl o niewytłumaczalnym, zadziwiającym bólu istnienia. Nie byłam pewna, czy to pot spływa po moich policzkach, czy łzy — ledwie mogłam oddychać. Znalazłam się nagle w nieznanej, ciemnej jamie, wypełnionej poczuciem smutku i opuszczenia. We wnętrzu unosiła się jakaś migotliwa mgiełka.

—-Lynn — odezwała się Agnes — pojawiłaś się jako tęczowa wojowniczka. Jesteś mostem pomiędzy światem Indian a światem białych. Kiedy już poznasz siebie, poznasz swoją drogę. Kiedy poznasz swoją drogę, poznasz co to jest moc. Kiedy będziesz mieć moc, zobaczysz Ducha. Kiedy zobaczysz Ducha, dojrzysz też ludzi.

Po chwili powiedziała, żebym wezwała wilka — mój lek.

—Nauczę cię twojej pieśni. Słuchaj i śpiewaj razem ze mną — dodała.

Kiedy tak śpiewałam z zamkniętymi oczami, pod powiekami pojawił się nagłe zielono-niebieski krąg, który przetoczył się najpierw na prawą, a potem na lewą stronę. Hipnotyzował mnie. Po krótkiej chwili nadeszło widzenie. Znajdowałam się na zewnątrz, a przede mną stała stara kobieta z małą dziewczynką.

—Skąd się tu wzięłyście? — zapytałam. —Kim jesteście?

—Wszystkie ścieżki prowadzą z powotem do centrum, do Ducha.

Wizja rozwiała się. Byłam znowu wewnątrz łaźni. Dobiegł do mnie głos Agnes:

- Co widziałaś? Gdzie byłaś? Opowiedziałam.

—To była Dziewczynka-Wilczyca ze swoją babką. Co mówiły?

Powtórzyłam.

- Tak, wszystkie drogi, wszystkie religie, prowadzą z powrotem do centrum. Prowadzą przez dobro.

—Jednego nie rozumiem. Kim one naprawdę były?

—Były wilczym lekiem.

—Co to znaczy?

—Odpowiem ci tak, moja córko: Miłość jest dobrym przewodnikiem. Zdolność dzielenia się z innymi też jest dobrym przewodnikiem. Nauka również. Nie muszę wierzyć w miłość — wiem, kiedy kocham. Nie muszę wierzyć w radość, żeby poznać radość — wiem, kiedy jestem wesoła. Żeby być tutaj, przychodzę i jestem tutaj.

Więc przestań wierzyć, że jesteś człowiekiem. Poznam siebie. Jest wiele leków.

—Twoje słowa sprawiają, że czuję się dobrze, ale nie wszystkie trafiają do mojego umysłu.
—Miałaś kiedyś dziecko.
—Tak.
- Nie chciałaś twojej córeczki. Pozwól jej się teraz urodzić.

Poczułam nagły przypływ bezsilności, jak gdyby oplatały mnie jakieś sznury, krępując najmniejszą nawet możliwość ruchu. Chciałam biec i krzyczeć, uwolnić się z zamknięcia i od męczącego gorąca. Znienacka poczułam, że ciemność — w niewytłumaczalny sposób zaczyna oddychać razem ze mną. Żar kamieni zaczął pulsować zgodnie z rytmem mojego serca. Wydawało się, że moje ciało się rozpływa, a moje dłonie zaciskają się i zakrzywiają dziwacznie. Spróbowałam rozprostować palce, ale były zgięte niczym pazury i nie mogłam nimi poruszać. Siedziałam zgarbiona, głowa rozrosła mi się jakoś na boki, a kiedy zamrugałam oczyma, poczułam, że mam zupełnie zesztywniałą twarz. Moje wargi uniosły się i wykrzywiły, obnażając kły. Warczałam — pękały wszelkie bariery. Byłam pierwotną wilczycą. Zadarłam głowę i zaczęłam wyć bezgłośnie.

Agnes powiedziała coś łagodnie w swoim języku. Nie pojmowałam słów, ale zrozumiałam, że uspokajała mnie.

Wejście otworzyło się i znów zamknęło. Owładnął mną całkowicie duch wilczycy i docierały do mnie tylko wilcze doznania. Kuliłam się, zagarniając do siebie wilczęta, których skomlenie słyszałam gdzieś w labiryncie ciemności. Straciłam zupełnie poczucie ciągłości i kolejności zdarzeń. Kiedy się ocknęłam po jakimś czasie, posłyszałam plusk wody w strumieniu. Agnes siedziała obok mnie.

Zostałaś pobłogosławiona tej nocy, Lynn — powiedziała. — Śniący mieli rację. Jesteś bardzo silnym wilkiem.

Trzęsłam się jeszcze ze strachu.
-Nie mogłam rozprostować palców, a potem stałam się prawdziwą wilczycą...
- Nie bój się. Jestem z ciebie zadowolona. Śniący mówili prawdę. Nadajesz się do kradzieży koszyka. Jesteś doskonałą łowczynią.

Powoli dochodziłam do siebie. Wilgotne włosy lepił mi się do czoła. Agnes narzuciła mi na ramiona koc, który pachniał cedrem. Szum strumienia stawał się coraz bardziej wyrazisty. Spróbowałam się podnieść, ale Agnes powstrzymała mnie.
—Posiedź tu jeszcze trochę — powiedziała i poszła w stronę ogniska, gdzie Ruby grała na bębenku. Widziałam jedynie ich niewyraźne sylwetki w mroku.

Sierp księżyca zawisł ponad wzgórzami i sączył swój spokojny blask na czarne niebo. July siedziała nieco dalej w dole strumienia i przyglądała się jego odbiciu w wodzie. Zapach nocnych kwiatów przenikał powietrze.
—Chodź — zawołała mnie Agnes. — Pójdziemy do chaty coś zjeść,, a potem przygotujesz się do twojego tańca.

Ruszyła prędko ścieżką w górę. Pobiegłam za nią, zapominając o zmęczeniu.
- Co powiedziałaś? Mojego tańca?
—Tak — zbyła mnie jednym burknięciem, a ja cofnęłam się, żeby zaczekać na, July, której flet rozbrzmiewał za nami w lesie.

Po jedzeniu położyłam się na chwilę, aby nieco odpocząć. Dotarło do mnie jeszcze, że Ruby i Agnes wychodzą z chaty. Zasnęłam ukołysana szumem wiatru w koronach drzew. Śniło mi się, że zostałam schwytana w gigantyczny ślubny koszyk i nie mogłam się z niego wydostać. Za każdym razem, gdy próbowałam wspiąć się, by złapać jego krawędź, ześlizgiwałam się z powrotem na dno.
—Obudź się, Lynn — odezwała się Agnes, potrząsając mnie za ramię. Poczułam ulgę, uwalniając się i sennego koszmaru.
— Koszyk! Znowu mi się przyśnił!
—Zauważyłam, że coś ci się śni. Wyglądałaś zabawnie — stwierdziła Agnes, szczerząc zęby w uśmiechu.

Także i Ruby pochylała się nade mną z zaciekawieniem, najwyraźniej rozbawiona. Wyraz jej twarzy zaszokował mnie. Ruby jeszcze nigdy się do mnie nie uśmiechnęła. Uśmiech na jej wyblakłej twarzy sprawiał niesamowite wrażenie.
Agnes złapała mnie za rękę i wyprowadziła z chaty. Musiało być już dobrze po północy.
—To święta noc dla ciebie. Skup się tak, jak cię uczyłam, i posłuchaj śpiewu twoich kuzynów. Zaraz wrócę.

Agnes wróciła do chaty, a ja zostałam na zewnątrz, wsłuchując się w wycie kojotów na wzgórzach. July spała na siedząco, oparta o słup ganku. Siadłam obok niej, patrzyłam na kontury drzew kołyszących się na wietrze j i czekałam.

Agnes i Ruby wyszły z chaty po kilku minutach. Odeszłyśmy spory kawałek od chaty i skręciłyśmy w prawo, w kępę cedrowych zarośli. Przeszłyśmy pomiędzy dwoma wysokimi głazami. Chrzęst żwiru pod naszymi stopami przerwał nocną ciszę. Wąska dróżka wiła się pomiędzy kolejnymi głazami, a ja poczułam się zagubiona i zupełnie zdezorientowana. Agnes i Ruby szły tak blisko mnie, że słyszałam ich oddechy.

Po chwili wyszłyśmy na małą polankę. W powietrzu unosił się jakiś dziwny zapach. Był to zapach siarki albo czegoś bardzo podobnego, zmieszany z wonią szałwi i cedru. Za skalnym załomem zobaczyłam tlące się ognisko, które najwyraźniej paliło się tam już od dłuższego czasu. Ruby dorzuciła do ognia i płomienie strzeliły wyżej.

Rozglądając się dokoła stwierdziłam, że mam lekkie zaburzenia wzroku i widzę wszystko odrobinę nieostro. |
Agnes podprowadziła mnie do ogniska i rozłożyła na ziemi przepiękny stary indiański koc z czerwonymi i czarnymi motywami błyskawic. W pobliżu tryskało źródełko, nad którym unosiła się para.
— Lynn, zdejmij z siebie ubranie i usiądź na kocu — powiedziała Agnes.

Kiedy się rozbierałam, odeszła na chwilę, a potem wróciła z dwiema glinianymi miseczkami, z których wystawały małe, drewniane laseczki. Agnes modliła się, a Ruby nuciła coś z tyłu za mną. Jej bębenek rozbrzmiewał cichym, nieprzerwanym rytmem. Głosy obu kobiet współbrzmiały ze sobą, składając się na piękną, tajemniczą pieśń w nieznanym mi starożytnym języku, której echo rozbrzmiewało gdzieś w głębi lasu. Żałowałam, że nie mogę zrozumieć znaczenia jej słów. Płomienie skakały na boki w porywach wiatru, a ja z każdym nowym podmuchem czułam ich żar na nagiej skórze. Stare Indianki tańczyły po obu stronach koca. Agnes, — gdy tylko znajdowała się bliżej

mnie — potrząsała grzechotką nad moim uchem. Mimo pewnej ekscytacji nadal czułam się zupełnie zagubiona. Ruby przeszła na drugą stronę ogniska, ani na chwilę nie przerywając śpiewu. Cały czas uderzała w bębenek.

Agnes siadła naprzeciwko. Powiedziała, że długo wahała się, zanim zdecydowały się mnie tu przyprowadzić.

—To miejsce jest święte. Mało ludzi je zna. Tutaj urodzisz się ponownie. Twoje ciało zostanie pomalowane i odmienisz się na zawsze. Dzięki tym malowidłom zawrzesz przymierze z twoim wilczym lekiem. Będziesz musiała też podjąć nowe zobowiązania.

Agnes zanurzyła palce w jednej z glinianych miseczek. Dotknęła nimi czubka mojej głowy. Poczułam wilgoć. Przeciągnęła palcami wzdłuż przedziałka moich włosów, znacząc pierwszą, centralną linię.

—To czerwień, kolor kobiety — powiedziała. —

Ta czerwona linia łączy się z ziemią, na której wszystko żyje i rozmnaża się.

Dwoma pewnymi ruchami zrobiła czerwone kres pod moimi oczami. Farba była zimna i miała zapach kwiatów.

—Wielki Duchu, ta młoda kobieta przyszła tu zgodnie z twoją wolą i chce zostać pomalowana. Pozwól, więc jej, siedzącej na twojej prastarej ziemi, aby narodziła się czysta, jak po twojej łaźni. Kiedy ja maluję jej ciał w święty wzór, Ty oczyść ją raz jeszcze. Uwolnij tę młodą kobietę od bólu jej przeszłości. — Wypowiedziawszy te słowa, Agnes poleciła mi wstać.

Podniosłam się posłusznie, Agnes pomalowała mi nogi do kolan na czerwono. Stałam potulnie, skupiona wyłącznie nad tym, co robiła Agnes. Tymczasem ona namalowała falistą linię wzdłuż mojego lewego, a potem prawego ramienia. Następnie obeszła mnie cztery razy dookoła.

—Dziś w nocy przywołaliśmy tu śmierć — powiedziała Agnes, patrząc na mnie z uwagą. — Zabiliśmy wiele rzeczy w tobie. Moc już cię nie opuści. Wędruje teraz świętą ścieżką, wkroczyłaś na nową drogę. Pozdrów tego, który patrzy na nas — strażnika dalekiej światów. Linie na twoich rękach są symbolem tęczy, łuku śniących.

Czułam się zupełnie spokojna. Zamknęłam oczy. Patrzyłam na Agnes wyłącznie sercem. Każde dotknięcie jej palców, znaczących moje ciało, przenikało mnie do głębi. Kiedy uniosłam powieki, zobaczyłam łzy spływające po policzkach Agnes. W pewnej chwili schyliła się i podniosła z ziemi przewiązany pęk złożonych koźlich skór. Ujęła je obiema rękami i wręczyła mi uroczyście. Bębenek Ruby odbijał się coraz silniejszym rezonansem w moim wnętrzu. Napierał na mnie i popychał coraz bardziej.

—Nałóż to — powiedziała Agnes. Wzięłam zawiniątko z jej rąk.

—To suknia i mokasyny. Nosiłam je, kiedy byłam dziewczyną. Dostajesz tej nocy nowe ubranie, bo jesteś już inną kobietą.

Nałożyłam ostrożnie nowy strój. Suknia była olśniewająca — wyszywana szklanymi paciorkami połyskiwała w świetle ogniska jak nakrapiana złotem. Miała wplecione przeróżne wzory z igieł jeżozwierza, a skraj i brzegi rękawów zdobiły wspaniałe frędzle. Leżała na mnie jak ulał, podobnie jak mokasyny.

Uczysz się sztuki heyoka — powiedziała Agnes, kładąc dłoń na moim ramieniu. — Ten strój pomoże ci w nauce. Pióra będą znakiem twojej nauki — dodała. Obróciłam głowę w lewo i prawo, żeby Agnes mogła wpiąć mi we włosy dwa sowie pióra. Jej kobieca czułość i delikatność zawładnęły mną całkowicie. Byłam spokojna i uległa. Czułam się jak we wnętrzu gorejącej, drżącej bańki powietrza, unoszącej się gdzieś w przestrzeni. Zapomniałam o całym świecie.

— Usiądź, Lynn. Opowiem ci o mojej nauczycielce. Kiedyś, dawno temu, byłam mężatką i miałam córkę. Tu, na północy, zimy bywają często bardzo srogie. Któregoś dnia wyszła z chaty na śnieg. Miała cztery lata — była jeszcze maleńka. Psy, które wtedy trzymaliśmy, były złe, bo tak zostały wytresowane. Dopadły do niej szybciej niż ja i zagryzły. Wnieśliśmy naszą córeczkę do chaty i położyliśmy na noc między nami. Tę suknię, którą ci dałam, miałam zamiar ofiarować właśnie jej. Moja córeczka miała na imię Czarna Tańcząca Wilczyca. Kiedy już nie żyła, patrzyłam często na wschód — tam, gdzie rodzi się Słońce — i próbowałam zwrócić moją córkę matce ziemi. Może właśnie, dlatego zachowałam tę suknię, że nigdy nie pozwoliłam jej naprawdę odejść — mojemu ślicznemu Czarnemu Wilczątku. A potem spoglądałam na zachód, tam gdzie Słońce umiera, ale nigdy nie udało mi się pozbyć smutku do końca — aż do tej chwili. Tak jak ziemia jest moją matką, tak ja jestem twoją matką. Mam teraz nową córkę. Moja rodzina i mój szczep przyjmie cię jak swoją. Moje małe wilczątko może teraz żyć w tobie.

Nie zdołałam powstrzymać łez. Agnes poklepała mnie po ramieniu i ciągnęła dalej:

— Działo się to wszystko, kiedy nie wiedziałam jeszcze wiele i sądziłam, że z szamanami nie warto się zadawać. Wkrótce potem mój mąż zginął w wypadku przy wyrębie drzew — myślę, że stracił po prostu chęć do życia. Rozpaczałam strasznie. Poszłam wtedy do pewnej heyoki i ona nauczyła mnie wszystkiego. Odnalazłam moc i otrzymałam imię, które oznacza „ta, która zna tajemnice". Zanim to jednak nastąpiło, nie dbałam ani o życie, ani o to, co się ze mną działo. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale właśnie ta obojętność była| wielkim lekarstwem. Posłyszałam kiedyś, że heyoka zna odpowiedź na każde pytanie, a ja chciałam się dowiedzieć, dlaczego nie mija mój smutek. Stara, święta heyoka odpowiadała na wszystko pytaniami — tak jakby sama niczego nie rozumiała. Wiedziałam jednak, że żyje w świętym kręgu i ma moc zmieniania wszystkiego tak, jak tylko zechce. Godzinami opowiadałam jej o mojej zmarłej córeczce. Kiedy już skończyłam i zapyta łam na koniec, dlaczego Czarna Tańcząca Wilczyca nie żyje, ona zadała mi pytanie:, „Kto chce się dowiedzie, kto nie żyje?"

Ta kobieta została moją nauczycielką. Dała mi po latach swój lek, a potem odeszła i umarła szczęśliwa. Była kobietą, która przebywała w każdym miejscu i mogła widzieć wszystko. Pokochałam ją, kiedy już poznałam ją lepiej, a część niej żyje teraz we mnie. Nie wiem, co się ze mną stało, gdyby nie pokazała mi wtedy mojej drogi. Dzięki niej moje życie ma sens.

Moje oczy napotkały wzrok Agnes. Rozpłakałam się i długo nie mogłam uspokoić. Płacz jednak ulżył mojemu przygnębieniu. Oddaliłyśmy się z Agnes od ogniska! Moje mokasyny były tak miękkie, że czułam się, jakbym stąpała boso. Agnes niosła dwie grzechotki. W pewnej chwili zatrzymała się, tupnęła kilka razy, po czym podskoczyła

wysoko i okręciła się w powietrzu, dreptać wokół mnie, a potem pochyliła się. Patrzyłam jak zahipnotyzowana. Kroczyła teraz na lekko usztywnionych nogach, trochę jak wilk, a raczej dokładnie jak wilk. Przechylała głowę, a jej oczy łypały na mnie chytrze, jak oczy zwierzęcia.
Otarła się o mnie biodrem, a w chwilę potem od- skoczyła na bok i zawyła. Coś zareagowało we mnie na to wezwanie i odpowiedziałam jej podobnym wyciem. Wycie to dobiegało do mnie jakby z oddali, a jego brzmienie nie przypominało niczego ludzkiego. Coś drgnęło we mnie. Równocześnie zamilkł bębenek.

Posłyszałam własny, chrapliwy oddech.

- Odetchnij głęboko cztery razy na cztery strony świata — poleciła Agnes dziwnym, warkliwym głosem. — Odchyl głowę do tyłu i podeprzyj pięściami podbródek. Nie patrz na mnie przez chwilę.

Zrobiłam, co kazała. Jej głos brzmiał przerażająco.— Zrób to jeszcze raz, a teraz kucnij i oprzyj się rękami o ziemię za sobą i oddychaj. Przy wydechu wyciągaj z ziemi siłę. Kradnij ją, tupiąc prawą nogą. Nie pomyl się. Wilki znają to miejsce i ten sposób. Ty też możesz to zrobić. Wyciągnij szyję w lewo, w prawo i do przodu. Dobrze. Teraz idź na zachód i skomlij jak wilk. Teraz zacznij chodzić w kółko.

Wykonywałam wszystkie polecenia najlepiej, jak umiałam. Bębenek dudnił znowu, a ja — skomląc i drepcząc w koło — czułam, jak moje nogi stają się coraz bardziej elastyczne w kostkach i sprężynują wręcz pod ciężarem mojego ciała. Biegłyśmy teraz na wschód. Otarłam dłonią twarz i poczułam, że moje policzki pokrywa futro. Nastroszyłam sierść i postawiłam uszy. Moje oczy wypatrywały wyimaginowanej zdobyczy. Truchtałyśmy prędko, potem powoli — bez chwili przerwy — na północ, później na południe. Zatrzymałyśmy się u stóp wzgórza, ale kiedy spojrzałam w bok, to nie Agnes stała przy mnie. W aksamitnych ciemnościach zobaczyłam wilczycę — moją niesamowitą siostrę.

Bębenek zamilkł i zaklęcie prysło. Moje kły i pazury zaczęły zanikać, a Agnes powracała powoli do swojej zwykłej postaci. Była znowu sobą, a ja miałam z powrotem swoje ciało. Z ledwością nadążałam za nią, kiedy prowadziła mnie do gorącego źródła. Zdjęła ze mnie suknię i zanurzyła mnie w ciepłej, siarczanej wodzie. Farba zabarwiła wodę na czerwono. Miałam wrażenie jakbym kąpała się w krwi samej matki natury.
- Zmyj ją całkiem.

Umyłam się, wyszłam z wody i położyłam na brzegu Trwałam nieruchomo, patrząc w gwiazdy. Agnes okryła mnie kocem.
—Chodź — powiedziała.
Zabrałam sukienkę i mokasyny i podążyłam za nią do chaty. Kiedy wczołgiwałam się do śpiwora, zaczynało już świtać.

Celem leku jest moc.

Agnes Whistting Elk

—Chcę, żebyś zrobiła wilczą lalkę — powiedziała Agnes następnego dnia.

Siedziałam przy stole, popijając herbatę z szałwi.
—Wilczą lalkę? — zapytałam. — Masz na myśli wilczy fetysz?
—Możesz zrobić, co zechcesz, pod warunkiem, że będzie w tym wilk i lalka. Możesz ją zrobić z gliny, suchej trawy, kawałków drewna, skóry, z czegokolwiek. Możesz ją nawet wystrugać, jeśli masz ochotę.
- Jakiej wielkości ma być ta lalka? — zapytałam, podekscytowana perspektywą wykonania własnego fety-
Agnes najpierw zbliżyła, potem rozsunęła szeroko dłonie.
— Możesz zrobić taką małą, albo taką dużą, jaką wolisz. Bardzo ci pomoże. Powinnaś zawsze pamiętać o twoim magicznym tańcu. Teraz wiesz, że żyje w tobie moc matki ziemi. Musisz nauczyć się chronić w sobie jej siły. Bardzo tego potrzebują. Zrozumienie przyszło do ciebie w postaci snów — śniący rozbudzili cię swoimi snami. Teraz nadaj tym snom — i mocom — kształt Wymyśl wilczą lalkę, która będzie mostem między dwoma światami. Kiedy już ją zrobisz, pokażesz mi swoje dzieło.
Agnes odwróciła się na znak, że rozmowa skończona. Przez głowę przebiegały mi wizje indiańskich lalek, które kolekcjonowałam i sprzedawałam. Wzięłam nóż, prowiant na drogę i wyszłam z chaty. Skierowałam najpierw w stronę pastwiska Szminki. Myślałam o jej długim czarnym ogonie. Dzień był wilgotny i mglisty, w sam raz do nadawania formy snom. Wspinałam się prędko zboczem wzgórza. Wokół majaczyły cienie skał i kępy wysokich traw. Droga na południowe pastwisko wydawała mi się obca. Wiatr szeleścił gałęziami wysoko nad moją głową.

Dotarłam na zamgloną łąkę i odnalazłam wzrokiem Szminkę. Odcięłam pęk włosia z jej ogona, a potem włóczyłam się we mgle przez resztę dnia. Grzebałam w ziemi, wspinałam się na drzewa, szukałam piór, kawałków kory, kłębków sierści, słowem — wszystkiego, co było niezwykle, a zatem zgodne z moimi zamysłami. Nad Zatoczką Umarłego odkryłam kawałek miękkiego drewna, z grubsza przypominający zwierzę na czterech łapach. Miał około sześciu cali długości, a na jednym końcu straszliwą paszczę — tę ostatnią zyskał jednak dopiero z chwilą, gdy ukończyłam struganie. Potem wzięłam strzępy futra, liście szałwi i inne rzeczy, które znalazłam, i zrobiłam z nich małe zawiniątko. Przywiązałam je na brzuchu wilka. Końskie włosie służyło mu za ogon, a na jego grzbiecie wycięłam symbole orła i niedźwiedzia. W chacie znalazłam klej i kawałek stłuczonego lustra. Dwa okruchy lustra przylepiłam w miejsce oczu, a połyskujące bielą kły zrobiłam z odłamków muszli. Rozgniotłam kilka jagód i wymazałam korpus wilka sokiem, który do złudzenia przypominał krew. Pazurki ptaków posłużyły jako pazury wilczych łap. W miarę strugania, lepienia i wyposażania mojej lalki w magiczną moc stwierdziłam, że zaczyna wyglądać coraz bardziej przerażająco. Przyłapałam się na tym, że przez cały czas nuciłam jakąś dziwną melo dię — śpiewałam ją wiele razy, zanim to sobie uświadomiłam. Uznałam, że to pieśń, która przyszła do mnie ze świata snów.

O zmierzchu moja lalka była gotowa. W którymś momencie — nie wiem, dlaczego — zdecydowałam się mówić o niej „on". Miała w sobie coś męskiego — może to, że była groźna i kanciasta. Wyglądała rzeczywiście strasznie. Miała też coś z wyglądu ptaka, co

w moim rozumieniu oznaczało, że potrafi przefrunąć z jednego świata do drugiego. Podziwiałam ją przez chwilę, po czym zaniosłam do chaty.
—Przypatrzmy się temu bliżej — powiedziała Agnes, zanim zdążyłam się odezwać. — Postaw ją na stole.
Postawiłam figurkę pośrodku stołu. Zdawała się dominować nad całym wnętrzem. Agnes obchodziła ją dookoła i kiwała głową z tajemniczym błyskiem w oku.
— Co powiedziałabyś o osobie, która to zrobiła?
- Ja to zrobiłam.
—Co byś powiedziała, gdybyś to nie była ty! Kiedy patrzę na coś takiego, wiem, kto to zrobił. W tym przypadku zrobiłaś to ty, a więc jest to doskonałe odbicie twojego widzenia świata.
— To przecież tylko lalka — broniłam się.
— Nie, to nie jest tylko lalka. Widzę w niej tego, kto ją zrobił. Gdybym nawet nie widziała cię nigdy przedtem, wiedziałabym, że ta osoba jest kobietą. Jest biała i ma bardzo marne pojęcie o wilkach i w ogóle o życiu zwierząt. Kiedy już to zrobiłaś, pokazałaś mi swoją prawdziwą naturę. Jesteś kobietą o wielu maskach. Nie musisz niczego przede mną ukrywać, ani udawać.
— Niczego nie udaję.
— Właśnie, że udajesz. Udajesz, że masz dla mnie szacunek, bo chcesz ode mnie czegoś, co ja mogę ci dać. Naprawdę jednak uważasz, że nie pasowałabym do twojego świata w Kalifornii.
— Agnes, proszę...
— Tak, właśnie tak o mnie myślisz. Zastanawiasz się, ile to wszystko będzie cię kosztowało. Zastanawiasz się, czy nie będziesz kiedyś musiała odebrać mnie z przystanku autobusowego, kiedy się u ciebie nagle zjawię. Myślisz, że jesteś zbyt dobra dla nas tutaj.
— Agnes, jeżeli sądzisz, że taka jestem, to, dlaczego pozwalasz mi mieszkać u siebie?
— Ja nie sądzę. Ja wiem. Masz nadzieję, że się u ciebie nie zjawię, bo nie wiedziałabyś, jak wytłumaczyć twoim przyjaciołom. Uważasz, że nie pasuję do twojego eleganckiego życia i wspaniałych ludzi, prawda?
—No dobrze, niewykluczone, że coś w tym rodzaju mogłam kiedyś pomyśleć...
—Boisz się, że nie wywrzesz na mnie odpowiedniego wrażenia, albo, że ja nie będę wiedziała, co jest czym. Wstydzisz się mojego stroju, mojego ubóstwa, moich] manier — wszystkiego.
— Agnes, to nie w porządku mówić tak o mnie. - Poczułam, jak kąciki ust wykrzywiają mi się w dół.
—- Ta wilcza lalka mówi mi wszystko, co chcę i dzieć. Boisz się mnie urazić i nie mówisz mi o tym sama? Wolisz, żeby ta lalka mówiła za ciebie?
— Po prostu zgadujesz, Agnes. Nie można w niej tyle zobaczyć.
— Lubisz dobre jedzenie. Lubisz posiadać piękni przedmioty — to łatwe. Potrafię to rozpoznać natychmiast. Masz poczucie humoru — to też łatwo odczytać. Lubisz żyć w otoczeniu, które uznasz za piękne. Nie możesz się doczekać, kiedy wrócisz do kraju,

który i uważasz za dobrze ci znany. Tęsknisz za miejscem, w którym łatwo jest kupować różne rzeczy — wygodę, jedzenie, usługi.
— Co w tym złego?
— Nic, ale tutaj musisz na to wszystko ciężko za- pracować.
— Co jeszcze widzisz w tym wilku, Agnes?
—Proszę bardzo, oto coś, co cię zaciekawi. Widzisz, jak owinięta jest skóra wokół niego?
— Tak -— odpowiedziałam i zaczęłam przyglądać się z bliska.
— Potrafisz coś sama o tym powiedzieć?
— Nie jestem pewna.
- Zrobiła to osoba praworęczna, bo nawinięto skórę zgodnie z ruchem Słońca. Ten człowiek jest również perfekcjonistą — zawijał ją i odwijał kilka razy. A przy okazji, dlaczego użyłaś włosia z ogona, a nie z grzywy?

Zaskoczyło mnie, że Agnes to zauważyła.
—Nie wiem. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej.
—Tak pomyślałam — roześmiała się Agnes. — Za- czynasz zachowywać się jak prawdziwa heyoka. Też się roześmiałam, choć nie rozumiałam, na czym miał polegać jej żart.

-Ta lalka mówi mi też, co nieco o twoich złudze niach, o tym, co wydaje ci się ważne i istotne i za co oddałabyś życie. Mówi mi, że nic nie wiesz o pożywieniu ani o tym, jak zabić z godnością swego przyjaciela. Mówi też trochę o twojej pozycji społecznej. Mówi, czego chcesz, a czego nie chcesz. Nie widzisz twojej śmierci i nie wyjdziesz gotowa na jej spotkanie, jak dobra łowczyni.
Łowczyni nigdy nie usprawiedliwia własnej śmierci.
— W życiu masz zwykle taki wybór — kontynuowała. — Możesz umrzeć jak przerażona dziwka albo żyć jak godna łowczyni i umrzeć jak ona. A kiedy twoje oczy napotkają wzrok Największej Łowczyni, będziesz mogła powiedzieć; „Jestem gotowa. Gdy trwało polowanie, byłam czujna. Tropiłam moją zwierzynę i zabijałam godnie. Byłam dobrą dostarczycielką pożywienia dla mojego obozu. Działałam w twoim imieniu i nie przynosiłam ci hańby. Wiem, że żyłam dzięki tobie, a teraz sama jestem twoim łupem. Między nami panuje zgoda. Jestem gotowa podążyć za tobą na łowy w świecie duchów".
— Widzisz we mnie tchórza? — zapytałam.
— Nie jesteś niebezpieczną kobietą. Jesteś trochę jak uwiązany ptak — trzepoczesz skrzydłami bez sensu. Widzę w tobie kobietę, która potrzebuje więcej woli i odwagi, prawdziwej odwagi. Nie jesteś taka prostoduszna, na jaką wyglądasz. Najsmutniejszą rzeczą, którą w tobie widzę, jest to, że lubisz myśleć o sobie jako o kimś bardzo ważnym. Jeśli o mnie chodzi, wolę być ważna dla siebie.
— Jak można się stać kimś naprawdę ważnym?
— Trzeba poznać własną śmierć.
— Nie rozumiem. Co śmierć ma z tym wspólnego?
— Mnóstwo. Pogódź się ze swoją śmiercią i stań s niebezpieczna. Nabądź mocy.
— Poczekaj. Mam mętlik w głowie. Chcesz, żebym umarła?
Agnes roześmiała się głośno.

— To śmieszne — wykrztusiła. — Nie mogę po- wstrzymać twojej śmierci. Zacznij wreszcie dostrzegać to, co jest naprawdę ważne. Ludzie mogą wydawać ci się ważni z takiego lub innego powodu. Obawiasz się ich, bo wydaje ci się, że mają jakąś władzę. Gdybyś znała twoją własną śmierć, potrafiłabyś dostrzec, którzy z tych ludzi rzeczywiście mają moc. Muszę ci powiedzieć, że tak naprawdę to niewielu ją ma. Staniesz się niebezpieczna tylko wtedy, gdy pogodzisz się ze śmiercią. Wtedy będziesz naprawdę groźna, wbrew wszystkiemu. Musisz nauczyć się dostrzegać tych, którzy są przebudzeni. Kobieta niebezpieczna potrafi dokonać wszystkiego tylko dlatego, że tego chce. Potrafi dokonać tego, co niewyobrażalne, ponieważ wszystko, co niewyobrażalne, należy do niej. Wszystko należy do niej i wszystko jest możliwe. Może podążyć za każdą wizją i ustrzelić ją, sprawić, że się urzeczywistni.
— Chcesz uczyć mnie o śmierci, żebym potrafiła ukraść ślubny koszyk?
—- Chcę zacząć cię uczyć, jak polować, żebyś mogła w razie czego uniknąć niebezpieczeństwa. Sama nie chcesz kręcić się bez celu w kółko, nie wiedząc, co robisz. Poluje się po to, żeby zdobyć pożywienie dla siebie i dla i innych. Jeżeli nauka będzie owocna, staniesz się nie- j zwykle groźna.
—Dlaczego chciałaś, żebym zrobiła tę wilczą lalkę?
—Chciałam, żebyś zrozumiała, że nic nie dzieje się
bez powodu. Przedmioty są doskonałymi lustrami, odbiciem tych, którzy je wykonali. Przyglądając się rzeczom z bliska, możesz rozwinąć w sobie zdolność rozumienia. Przedmiot, kiedy na niego dokładnie patrzysz, wręcz krzyczy do ciebie. Możesz dowiedzieć się wiele o kimś, obserwując jak unosi szklankę albo trzyma ołówek. Mnóstwo rzeczy można też dojrzeć w czyimś działaniu. Dowiesz się wszystkiego o myśliwym ze sposobu, w jaki buduje gniazdo. Patrząc na przedmiot, potrafisz powiedzieć, czy zawiera w sobie jakieś centrum. Każdy przedmiot mający moc ma swoje centrum. Pociągają cię te przedmioty, a sama nie wiesz, dlaczego. — Co to wszystko ma wspólnego ze ślubnym koszykiem?
—Dużo mówiłyśmy, wprost i nie wprost, o kradzieży. Dowiedziałaś się, że zanim nauczysz się dobrze kraść, będziesz musiała zostać wojowniczką. Zgadza się? — Tak... pamiętam.
— Zanim staniesz się wojowniczką, musisz zostać doskonałą łowczynią. Myśliwi byli przed wojownikami.
— Co muszę wiedzieć, by zostać dobrą łowczynią? Agnes roześmiała się jak dziecko.
—Tyle już powiedziano, a ty nie potrafisz zrozumieć. Sama widzisz, że bycie łowczynią to rzecz bardzo skomplikowana. Posłuchaj, można polować na wiele różnych stworzeń. Nawet ducha można upolować, jeżeli wie się, jak to zrobić. Na razie duchy chowają się przed tobą — myślisz, że powstały w twojej wyobraźni. Jednak i wyobraźnia może się obrócić przeciw tobie i zabić cię, jeżeli nie potrafisz spojrzeć jej prosto w oczy. Polowanie na królika to jedna rzecz, a polowanie na niedźwiedzia grizzly to coś zupełnie innego. Królik i grizzly to dwa różne rodzaje zwierzyny. Nie myśl tylko, że królik jest zupełnie niegroźny. Widywałam króliki, które mogłyby z łatwością zabić człowieka. Na szczęście nawet doświadczeni myśliwi rzadko spotykają takie króliki.

Gdybyś spróbowała zabić takiego królika, on tupnąłby tylną łapą, a świat zniknąłby dla ciebie — umarłabyś. Grizzly też nie jest zwierzyną dla szalonego łowcy. Nigdy nie pogardzaj nawet karibu. Powiadają, że niektóre karibu potrafią z wielkiej odległości dosięgnąć myślą myśliwego i sprawić, że postrada zmysły. Jeśli polujesz dla mięsa, nie wolno ci nigdy zmarnować ani odrobinki, nawet kości. Mięso łownej zwierzyny zamieszkuje duch, który da ci siłę. Słodkie mięso zniewolonych zwierząt nie ma tej siły. Czyni człowieka grubym i nieudolnym. Musisz odnajdywać równowagę w świecie fizycznym i w świecie duchów. Te dwie równowagi muszą być też zrównoważone.
—I taką podwójną równowagę może zapewnić jedzenie? — Rozpaczliwie próbowałam nadążać za logiką jej rozumowania.
—Częściowo. Jeżeli jesz mięso zniewolonych zwierząt, nawet nie wiesz, że każdy może narzucić ci swoją wolę. Te zwierzęta żyły w niewoli i ty też żyjesz w niewoli, jeżeli je zjadasz. Ludzi poznajesz po tym, co jedzą. Naród niewolników nie wie niczego o sobie ani o innych. Jest wiele odmian pożywienia: pożywienie dla serca, pożywienie dla ciała i pożywienie dla mózgu.
— Czy trzeba jeść mięso?
— Nie- Spróbuj jeść pożywienie, które jest lekiem, pożywienie zawierające ducha.
— Czy można kupić takie jedzenie w sklepie?
—Najczęściej tak. Ale wtedy musisz wiele wiedzieć o pożywieniu przebudzonym, o tym, które pożywienie cierpiało, a które zginęło, zachowując jedność.
— Nie rozumiem.
— Wiem, że nie rozumiesz. Zjedzmy trochę zupy. Po posiłku Agnes nie była zbyt rozmowna. Najwyraźniej mówienie zmęczyło ją. Postanowiłam pójść spać.

Kiedy się rozbierałam, Agnes złapała mojego wilka za szyję i potrząsnęła nim kilka razy. Warknęła na niego, a potem zaczęła podskakiwać wokół stołu. Nie miałam zielonego pojęcia, co te czynności mogły oznaczać, więc uznałam, że to zabawa.

Następnego ranka o świcie wyszłam za Agnes na zewnątrz. Pokazała mi wiele różnych owadów i powiedziała, które zwierzęta i ptaki się nimi żywią. Potem pokazała rośliny i wymieniła zwierzęta, które je lubią. Kazała mi powtarzać wiernie każdą kwestię. Najwyraźniej zanosiło się na to, że będę musiała zawrzeć bliższą znajomość z wiedzą, której tajnikami zamierzała się ze mną podzielić.
Zapytała, czy widzę jakąś zwierzynę.
— Nie, żadnej.
— Zobacz, nie widzisz tam cietrzewia? Na tamtym drzewie jest pełno wiewiórek. Za tą skałą pasą się sarny. Tam siedzą przepiórki, a za chwilę przelecą nam nad głową kaczki Nie widziałam żadnego z tych stworzeń, ale gdy przyjrzałam się uważnie, stwierdziłam, że naprawdę tam były.
—Tak, widzę je! — powiedziałam z przejęciem. — Nigdy bym ich nie zauważyła, gdybyś mi nie pokazała. Agnes, jak to możliwe, że dostrzegasz te wszystkie zwierzęta?
—Wiem, gdzie patrzeć. Miej głodne oczy, oczy, które czują głód wcześniej niż twój żołądek. Aby stać się łowczynią, musisz wiedzieć wszystko o zwierzynie, na którą polujesz. Od tego zaczyna się polowanie. Musisz wiedzieć, jak zwierzę się zachowuje.

Musisz widzieć zwierzynę tam, gdzie inni nie widzą. Dobry łowca zawsze to potrafi. Wiele razy to widziałam — jeden myśliwy dostrzegał zwierzynę, a inni nie. Jeżeli nie możesz jej zobaczyć, musisz wiedzieć, gdzie jest, aby ją wypłoszyć. Ważne, aby zawsze pamiętać, że należy zabić ją czysto, na miejscu. Jak można wypuścić strzałę, nie widząc najpierw zwierzęcia? Jeszcze więcej czasu trzeba, aby nauczyć się polować na człowieka. Chcąc upolować człowieka — człowieka, który posiada moc — musisz użyć całej twojej sztuki i zrobić wszystko, aby nie dać się zwieść.

— Mówisz o Rudym Psie? — zapytałam.

— Tak, ale na razie nie możesz nawet myśleć o polowaniu na tak potężną istotę. Większość stworzeń po prostu powtarza bezmyślne zachowania. Wpierw naucz się polować na nie. Dopiero wtedy, gdy zdołasz upolować z łatwością takie stworzenie, możesz pomyśleć o polowaniu na groźniejszą zwierzynę. Trzeba zawsze poznać siłę i zwyczaje zwierza, na którego polujesz. Wszystkie stworzenia mają swoje sposoby zmylenia łowcy. Niektóre zacierają własne ślady, a inne nie. Niektóre nie zostawiają żadnych śladów, nawet źdźbła trawy nie złamią. Są też i takie, które pozostawią ślady duże i bardzo wyraźne, a kiedy pójdziesz za nimi, zawiodą cię tam, gdzie wpadniesz we własne sidła. Im więcej widzisz tym lepiej potrafisz przewidzieć, co zrobią inne stworzenia i tym większe masz szansę, że zostaniesz dobrą łowczynią.

Są dobre dni dla polowania i złe. Zawsze ukrywa się gdzieś jakaś zwierzyna, czasem lepsza, czasem niewart zachodu. Ty oczywiście musisz wynajdywać dobre miejsca, aby znaleźć zwierzynę, na której ci zależy. Jako łowczyni, nie wolno ci się wahać. Musisz mądrze pomyśleć, a potem uderzyć. Żeby zrobić to skutecznie, powinnaś znać swoje mocne i słabe strony. Nie wolno ci popełnić żadnego głupstwa. Bądź niewidzialną, rozważną łowczynią. Dobra łowczyni nie ma szalonych wyobrażeń o sobie. Dobra łowczyni zabija. Jaki pożytek z napuszania się, kiedy zwierzyna ucieknie? To obraza dla zwierzęcia. Takie zwierzę może pójść na skargę do świata duchów i poprosić, żeby wysłano ducha, który zapoluje na ciebie — i albo cię zabije, albo odbierze ci rozum. W głębi duszy wiemy dobrze, gdzie ukrywa się zwierzyna i naszym zadaniem jest ją zabić.

Musisz być zawsze pewna, że jesteś łowczynią, a nie zwierzyną. Ścieżka łowcy jest święta. Nigdy nie zabijaj bezmyślnie, nawet robaka. Wyobraź sobie, że przychodzi coś wielkiego i zabija ciebie, też bezmyślnie. Zabijaj tylko taką zwierzynę, którą potrafisz upolować, i nigdy nie wchodź na terytorium zwierza, który jest mądrzejszy od ciebie. Zawsze traktuj swoją zwierzynę z szacunkiem.

— Czy to się też odnosi do Rudego Psa?

—Oczywiście. Ma to, czego ty chcesz, i wie wszystko o łowach. Do każdej zwierzyny podchodź z szacunkiem, wdzięczna za to, że jesteś łowczynią, a nie tą, która zostanie zabita.

Chciałam dowiedzieć się jeszcze czegoś o polowaniu, ale Agnes uznała temat za wyczerpany.

— Muszę nauczyć cię skuteczności — powiedziała. — Nie będę cię uczyć niczego, czego nie powie ci twój głos wewnętrzny, żadnej obcej wiedzy. Chcesz posiadać te umiejętności, prawda? Przecież nie uda ci się zagadać zwierzęcia na śmierć.

Agnes zaczęła uczyć mnie patrzeć, „widzieć przez krzaki", jak to nazywała. Przez kilka następnych dni włóczyłam się po okolicy. Na koniec każdego dnia musiałam opowiadać Agnes o tych zwierzętach, które udało mi się zobaczyć. Miałam nie myśleć i kierować się wyłącznie oczyma. Agnes powiedziała, że nie mam koncentrować się na niczym i podążać wyłącznie za tym, co mnie „pociągnie". Czwartego dnia udało mi się wytropić tą metodą bażanta. Agnes była uszczęśliwiona.

—To właśnie jest moc — powiedziała. Mnie również cieszyły nowo nabyte zdolności. Stwierdziłam, że staję się wyczulona na obecność
wszystkich gatunków zwierząt. Dostrzegłam sarnę, łosia, antylopę, skunksy i króliki. Zobaczyłam też dzikiego indyka i inne ptaki, jak cietrzewie czy kuropatwy. Udało mi się spostrzec bobry i norki, a któregoś razu natknęłam się niespodziewanie na wilka. Patrzyliśmy sobie w oczy przez kilka długich minut, po czym wróciłam biegiem do domu, by opowiedzieć o tym Agnes.

— To wiele mówiące zdarzenie — powiedziała. — Znak twojego leku i wielkie błogosławieństwo dla ciebie.

Ze wszystkich leśnych zwierząt najtrudniej zobaczyć wilka, a złapać go — to już prawie niemożliwe. Powinnaś teraz obciąć kosmyk włosów, wrócić w to miejsce, gdzie widziałaś wilka, i położyć je tam. Wilk mógł nie dopuścić do tego, żebyś go zobaczyła. Na pewno wiedział, że gromadzisz w sobie moc, i przyszedł, żeby ci pomóc!

W tym czasie Agnes traktowała mnie dość chłodno. Często przerywała mi w pół słowa, mówiąc: „Słuchaj wewnętrznego głosu. Mnie to już męczy". Czułam się samotna i pozostawiona własnemu losowi.

Któregoś wieczora po kolacji powiedziałam:

—Kiedy pojadę z moimi przyjaciółmi na polowanie będą zaskoczeni, gdy zobaczą, ile zwierząt potrafię patrzeć.

— Nie chcę słyszeć o tych mordercach! — żachnęła się Agnes.

— Mordercach — wykrztusiłam. — To myśliwi, tacy sami jak ty. Niektórzy ludzie lubią polowania.

— Powiedziałam, że to mordercy. Nie ma wśród nich ani jednego myśliwego. Wiele razy to widziałam. Przyjeżdżają tu i strzelają jak wariaci. Nie mają respektu nawet dla ptaków w okresie łęgowym. Dla nich polować znaczy mordować. Nie szanują życia. Zaganiają mustangi i kojoty z helikopterów i zabijają bez żadnego honoru. Powinnaś kiedyś wyjaśnić tym ludziom, którzy myślą, iż są lepsi od zwierząt, jakie zabijają, że pewnego dnia także umrą. Miejscem, do którego taki myśliwy zostaje najpierw wysłany po śmierci, jest wielka leśna polana. Duchy wszystkich zwierząt, które zamordował, otaczają go — bez względu na gatunek. Mogą to być kaczki, dzikie koty lub niedźwiedzie. Potem duchy zwierząt pytają:, „Dlaczego zabiłeś nas nieuczciwie?" Lepiej, żeby taki przeklęty sukinsyn przygotował sobie zawczasu dobrą odpowiedź. Jeśli nie, zwierzęta rozerwą go na strzępy, żeby odzyskać utraconą godność.

—Agnes, zwariowałaś — powiedziałam. — Wymyśliłaś to.

—Przekonasz się, czy wymyśliłam, kiedy twój czas nadejdzie. Mówię to, co wiem. Wiele razy ci powtarzałam, że nic nie dzieje się bez powodu. Sprawiedliwość istnieje. Może nie

działa od razu, ale Wielki Duch nie zapomina o niej i ma na to całą wieczność. Nam, zanim umrzemy, został dany tylko ten krótki czas. Chcę go przeżyć jak wojowniczka i widzieć piękno we wszystkim.
Zwierzę to też dziecko wszechświata, tak jak ty i ja. Kiedy odbierasz mu życie, powinnaś dobrze rozumieć, co oznacza twoja własna śmierć. W innym przypadku nie rób tego. Najzabawniejsze, że ci mordercy nie wiedzą nawet tyle, by czuć się zakłopotani.
—Po, co zatem się uczą, jak to robić? — zapytałam z desperacją.
— Uczysz się polować na niebezpieczną zwierzynę i robić to z odwagą i z honorem. Uczysz się jeszcze czegoś ponadto —jak ukraść moc. Gdybym widziała ten rodzaj morderstwa w twoim sercu, odesłałabym cię stąd natychmiast i miała cichą nadzieję, że prędko dołączysz do twoich przodków.
Chciałabym opisać to wszystko, czego nauczyłam się w następnych tygodniach. Wymagać to będzie wielu książek, a ja wspominać będę ten czas do końca życia.
Któregoś dnia Agnes pokazała mi wronie ślady na piasku.
—Można też tropić przelatujące ptaki. Wielcy tropiciele umieli to robić. Nawet na niebie pozostaje odciśnięty obraz.
Kiedy mówiła, niechcący nastąpiłam na ślady wronich łapek i zatarłam je.
—Och, przepraszam — powiedziałam — to przypadkiem, niechcący.
— W świecie szamanów nie ma przypadków — odparła rozzłoszczona. — Każda czynność ma swoje znaczenie. Potrafisz to zrozumieć? Na tym właśnie polega tropienie. „Przypadek" to słowo powstałe z zamętu. Znaczy, że jeszcze nie poznaliśmy siebie na tyle, by dobrze wiedzieć, dlaczego coś robimy. Kiedy jesteś nieostrożna i kaleczysz się w palec, to istnieje jakiś powód, dlaczego tak się stało. Ktoś z twojego księżycowego wigmanu chciał tego. Gdybyś potrafiła słuchać głosu wodzów z księżycowego wigwamu, nigdy by się to nie zdarzyło. Szamani nigdy nie popełniają omyłek. Szamanka dobrze wie, jak wysłać zwiadowców z księżycowego wigwamu, którzy zbadają, co ją czeka. Kiedy dociera tam, dokąd idzie, dobrze wie, czego ma się spodziewać, bo jej zwiadowcy już tam byli i o wszystkim jej opowiedzieli.
— Nie miałam zamiaru nastąpić na te ślady — powiedziałam.
— Właśnie, że miałaś. Śmieszy mnie, kiedy słyszę słowo „przypadek". W świętych snach babek nie ma przypadków. Przypadek to tylko sposób zrzucenia odpowiedzialności za twój czyn i prośba, żeby poniósł ktoś inny. Gdybym uderzyła cię w twarz i ogłuszyła, na pewno by ci się to nie spodobało. Zrobiłaś to samo i mnie się to też nie podoba.
Nigdy nie kłóciłam się z Agnes, ale tego dnia byłam tego bliska. Rzecz komplikował dodatkowo fakt, że ile razy wątpiłam w jej słowa, a potem spojrzałam w głąb własnej duszy, nieodmiennie dochodziłam do wniosku, że jednak miała rację.
Im więcej się uczyłam, tym bardziej wydawałam się sobie nieporadna — miałam wrażenie, ze poruszam się z coraz większym wahaniem. Na przykład moje próby zastawiania sideł kończyły się zwykle fiaskiem. Sidła albo zatrzaskiwały się same, albo okazywało się, że nawet wjeżdżający w nie czołg nie potrafiłby ich uruchomić.
—Chciałabym, żebyś zastawiła sidła przy wodopoju w Zatoczce Umarłego — powiedziała Agnes któregoś razu.

Kiedy zbliżałyśmy się do wodopoju, Agnes zatrzymała mnie szarpnięciem ręki.
—Czy wiesz, co robisz źle? — zapytała. Zastanowiłam się przez chwilę.
— Nie — odpowiedziałam.
— Z której strony wieje wiatr? Powinnaś podejść do wodopoju tak, żeby twój zapach nie powiał w poprzek ścieżki zwierząt. Podeszłyśmy ze złej strony.
— Agnes, czy zwierzęta naprawdę tak dobrze to czują?
—Ludzie śmierdzą. Tutejsze zwierzęta znają dobrze ludzki zapach.

Brodząc w wodzie, poszłyśmy w górę strumienia. Zastawiłam sidła nad samym brzegiem. Potem Agnes kazała mi wetrzeć jakieś silnie pachnące liście w niewyprawioną zwierzęcą skórę.
—To będzie twoje przebranie — powiedziała. — Mam nadzieję, że liście zabiją twój zapach. Co będzie przynętą?
— Woda?
— Tak, dla tych sideł woda jest przynętą. Czy coś się w nie złapie?
— Nie wiem.
— Nic się nie złapie — powiedziała Agnes. — Pętla jest zbyt duża i nie zdąży się zacisnąć. Gdyby była zrobiona jak należy, miałabyś niewielką szansę. Starych kojotów nie złapiesz w żadne sidła. Te stare, przebiegle, udają, że biegną w stronę wodopoju. Młodsze chcą być pierwsze, rzucają się przed nimi i oczywiście wpadają w pułapkę. We wszystkich pułapkach najważniejsza jest przynęta. Kiedy używasz wody jako przynęty, pamiętaj, że to pragnienie będzie przyciągać do niej zwierzęta. Jeżeli wiesz, jaka przynęta jest odpowiednia, możesz złapać każde zwierzę. Oczywiście, jeżeli potrafisz zrobić dobrą pułapkę. Dobrze poznaj też charakter zwierzęcia albo rzeczy, zanim na nie zapolujesz.

Nauka polowania i wszystkiego, co się z tym wiązało — jak klasyfikacja i poznawanie różnych obyczajów zwierzyny — wypełniało całe dnie. Agnes miała niewyczerpaną wiedzę na temat życia dzikich zwierząt i polowania, a także dość żmudne metody przekazywania tej wiedzy. Kazała mi na przykład dreptać po ganku dopóty, dopóki nie zademonstrowałam jej, że potrafię robić to
bezgłośnie. Na opanowanie tej umiejętności poświęciła trzy dni i na koniec znałam już każdy cal drewniana powierzchni. Udawało mi się przemieszczać po ganku we wszystkich możliwych kierunkach bez najmniejszego skrzypnięcia.

Agnes doszła do wniosku, że jestem zbyt pasywna i próbowała nauczyć mnie więcej agresywności. Spędzałam czas od rana do wieczora na powietrzu i dopiero na noc wracałam do chaty. Chwilami miałam wrażenie, że Agnes bardziej eksperymentuje ze mną, niż naucza. W niektóre dni chowała przede mną wodę i jedzenie i kazała pracować — rąbać drewno albo nosić kamienie— bez żadnej widocznej potrzeby. Ograniczała swoje wypowiedzi do krótkich poleceń. Nigdy nie dyskutowałam — podporządkowałam się jej całkowicie. Próbowałam przyswoić sobie tyle wiedzy, ile tylko zdołam.

Pewnego wieczora wróciłam do chaty, otworzyłam drzwi i nieomal wpadłam na Hyemeyohstsa Storma. Byłam zaskoczona, widząc go tutaj.

Stół został nakryty kocem wodzów, a na nim leżała wielka tarcza, najpiękniejsza z tych, które dotąd widziałam. Z tarczy zwieszał się pas z doskonale dobranych jastrzębich piór, który niemal dotykał podłogi. Agnes siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze obok stołu i przyglądała się uważnie piórom zdobiącym pas.— Na Boga, co cię tu przywiodło, Hyemeyohsts?

— Pokazywałem właśnie Agnes tarczę szamanów. Chciałem zasięgnąć jej rady w pewnej sprawie. Agnes jest dla mnie jak babka. Czyż nie mam prawa odwiedzić własnej rodziny?

Wymamrotałam coś nieskładnie w odpowiedzi.

—Jak ci się podoba tarcza? — Hyemeyohsts chciał poznać moją opinię.

—Nie wiedziałam, że robiono tarcze w taki sposób. Nigdy nie widziałam czegoś równie wspaniałego.

—Kiedyś było wiele takich tarcz — powiedziała Agnes — ale zostały ukryte albo zniszczone. Tylko niewielu ludzi ma przywilej oglądania prawdziwej tarczy Kamana.

W centrum widniał wymalowany błękitny orzeł. Skóra, przypuszczalnie z antylopy, była mocno napięta, a na jej obrzeżu przymocowano orle pióra. Pas z piórami jastrzębia miał około czterech stóp długości. Pióra były wpięte po obu Stronach pasa. Nieomal czułam bijącą od nich moc.

Hyemeyohsts przełożył tarczę ostrożnie na łóżko i siedliśmy, żeby się napić kawy. Rozmawialiśmy przez chwilę, a Storm pokazał Agnes kilka kolistych naszyjników, zrobionych z nawlekanych paciorków, o różnych wzorach i barwach. Agnes układała je na kocu i oglądała W różnych zestawieniach, a jej ruchy miały najwyraźniej ukryte znaczenia.

— Jeżeli spojrzysz w te koła — powiedział Storm —zaczniesz dostrzegać wielki, szamański, magiczny krąg. Te mniejsze kręgi mają cię pouczać. Naszyjniki szamanów są też jak tarcze.

Agnes podniosła jeden z nich i przycisnęła do serca, a potem położyła z powrotem na stole, razem z innymi.

—Te magiczne koła są jak kręgi znaczeń, jeśli umiesz patrzeć — mówił dalej Hyemeyohsts. — Przypominają równocześnie kawałki puzzle. Jak wielki wąż szamanów, zjadający własny ogon, pomogą ci odnaleźć drogę i przeprowadzą przez świat snu. Są częściami mandali twojego i mojego życia. Jeśli kiedyś zdołasz ułożyć je tak, żeby pasowały do siebie i odzwierciedlały wielki krąg, uwolnisz się od iluzji. Dokonasz aktu mocy i spełnisz cel swojego życia. W tym akcie jest twoja własna śmierć, ale w twojej śmierci odnajdziesz prawdziwy krąg. Nie jesteś jednak jeszcze gotowa do przyjęcia tych nauk.

Agnes wyznaczyła mi jeszcze jakąś pracę przy chacie, a potem byłam już tak zmęczona, że skuliłam się na łóżku, obok pięknej tarczy, i zasnęłam. Spałam aż do rana. Kiedy się obudziłam, stwierdziłam, że Hyemeyohsts przykrył mnie w nocy swoim pięknym kocem. Sam jednak odjechał, zabierając ze sobą tarczę.

Minęło tak wiele dni, że straciłam rachubę. Podejrzewałam, że Agnes była niezadowolona z postępów, jakie czyniłam. Któregoś popołudnia, po całym dniu spędzonym na tropieniu sarny, siedziałyśmy razem, podziwiając zachód słońca, rozkoszując się ciszą i wspaniałością tej chwili.
— Jutro rano — powiedziała Agnes — przekonasz się, czy potrafisz skradać się na tyle, by ukraść koszyk.- Możesz pójść pod chatę Rudego Psa i spróbować.
Zamarłam przerażona, zwłaszcza, że miałam poczucie, iż zdołałam przyswoić sobie tylko znikomą część tego, czego Agnes próbowała mnie nauczyć. Myślałam już, że przypuszczalnie będę zmuszona spędzić długie łata jako jej uczennica. Czułam, że potrzeba mi jeszcze trochę czasu. Próbowałam coś powiedzieć, ale nie zdołałam wykrztusić słowa.
— Nie, nie jesteś jeszcze gotowa — powiedziała Agnes —ale nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. Nie mogę uczyć cię w nieskończoność różnych rzeczy. Śniący uważają, że masz moc, i teraz nadszedł czas, żeby się przekonać, czy to prawda.
— Agnes — powiedziałam przestraszona. — Czuję się bardziej nieswojo niż na początku, kiedy zaczynałam. Jak zdołam tego dokonać, wiedząc tak niewiele? Nadal nie umiem najprostszych rzeczy, których próbujesz mnie nauczyć.
—Wiesz więcej, niż myślisz. Uczę cię, jak być istotą niewidzialną.
—Co to takiego?
—Istota niewidzialna, to zwykła istota. Nie rozpoznałabyś jej, gdybyś ją zobaczyła. My lubimy takie sposoby postępowania.
—Agnes, może pomyślisz sobie, że to głupie pytanie, ale czy ty jesteś taką niewidzialną istotą?
—Pytanie nie jest takie głupie, jeżeli nie możesz sama zobaczyć, czy jestem. Niewidzialna istota może wejść do pomieszczenia i robić to, na co ma ochotę. Może też wyjść, kiedy chce. Może wejść do każdego wnętrza. Taka istota zaatakowała ciebie i wzięła, co jej się podobało. Istota niewidzialna jest niebezpieczna i nie boi się uderzyć. Zawsze będzie się zachowywać inaczej, niż przypuszczasz, chyba, że sama jesteś istotą niewidzialną. Istota niewidzialna zna własną śmierć.
— A ja, czy jestem już bliska zostania istotą niewidzialną?
Nigdy jeszcze nie widziałam Agnes śmiejącej się tak głośno. Po jej policzkach ściekały łzy. Poklepała mnie po plecach.
—Zrobiłam, co się dało — powiedziała w końcu. — Dlatego tu jesteś. Jeżeli potrafisz ukraść koszyk, będzie to czyn niewidzialny, czyn wielkiej łowczyni. Im lepsza łowczyni, tym groźniejsza zwierzyna. Ktoś taki jak Rudy Pies jest niebezpieczniejszy niż wszystkie duchy. Zapolować na Rudego Psa i jeszcze ukraść coś z jego nory... No tak, jeżeli uda ci się coś takiego, to powiem, że rzeczywiście jesteś bliska niewidzialności.
— Ale nie teraz?
— Nie, jeszcze nie. Ten leśny kraj ciągle jest dla ciebie nowy. Niewidzialność oznacza moc, a ty nadal jeszcze jesteś niezdarą. Niezdara, który zastawia sidła, złapie tylko drugiego niezdarę. Niezdara nie złapie dobrej zwierzyny. Głupcy żyją z głupców, ale nie przejmuj się tym za bardzo. Istota niewidzialna potrafi być we wszystkich miejscach

równocześnie. Możesz czekać bardzo długo i nigdy nie zobaczyć kogoś takiego. Tylko istota niewidzialna może zobaczyć inną istotę niewidzialną. Istota niewidzialna ma sny, które są rzeczywiste.

Żadna przeszkoda nie zatrzyma istoty niewidzialnej. Tam, gdzie urywają się jej ślady, zobaczysz na niebie kruka, orła albo balon, ale naprawdę będzie to unosząca się w powietrzu niewidzialna istota. Kłopot z istotami niezdarnymi polega na tym, że nigdy nie odróżniają pomieszanych śladów. Nie znają się na tym i dobrze, że tak jest — gdyby się znały, wiedziałyby, co zrobić.

Takie niezdary tu i ówdzie trafiają na coś ważnego.

Zwróć na to uwagę. Mówią wtedy: ,,Ach, jakie to proste!" Tak się dzieje wtedy, kiedy jesteś na drodze do prawdziwej mocy i schylasz się, żeby podnieść pierwszą błyskotkę, na którą natrafisz. Kiedy jesteś na drodze do niewidzialności i widzisz takie błyskotki, unieś wzrok w górę i omiń je wszystkie.

Kiedy taki niezdara podniesie swoją błyskotkę, wszystko się dla niego kończy. Jest przeklęty. Unosi się wokół niego tuman pyłu, a on słyszy głosy z zaświatów. Jest niepełnym myśliwym. Wydaje się pokorny, ale ma obsesję na punkcie własnej ważności. Inne istoty widzą, niezdara dokonał błyskotliwego odkrycia, i zafascynowane. Najczęściej ktoś taki sieje wokół siebie zamęt i zniszczenie. Idzie przed siebie i przepchnie się gdzie zechce, ale nie ma w sobie ani trochę niewidzialności. Ma siłę młodego byka i mógłby zostać królem czy innym władcą albo religijnym przywódcą, ale nie pełnym łowcą. Może doprowadzić cię tylko do tego miejsca, do którego sam doszedł. Myśli, że jego błyskotliwe odkrycie jest wszystkim, co istnieje. Tuli tę błyskotkę do piersi i ryczy głośno, a ludzie zbiegają się, żeby popatrzeć i sami malują się w jego fałszywe kolory. Stroją się w jego błyskotki i ruszają za nim na własną zgubę.

Pewnie wydaje ci się, że nie dałabyś się nabrać i poszłabyś za taką nieudolną istotą, ale nie śmiej się. W każdej chwili mogłabym cię odesłać do domu z podobną błyskotką. Możesz mieć wszystkie wspaniale koszyki, jakie do tej pory powstały, oprócz tego jednego. Albo mogłabym cię oszukać i powiedzieć, że daję ci ślubny i koszyk, a ty odjechałabyś szczęśliwa, ale nie miała — miałabyś tylko zwykły koszyk. A jednak nie robię tego. Nie oszukuję cię i nie przestanę uczyć. Chcę, żebyś zdobyła to, po co przyjechałaś. Sama najbardziej chcę, i żebyś miała ten ślubny koszyk. Prawdę mówiąc, jest to dla mnie ważniejsze, niż ci się zdaje.

Najpierw musisz zdać sobie sprawę z tego ,że jesteś w niebezpieczeństwie
Lynn V. Andrewt

Zaczęło się.

Wpatrywałam się w chatę Rudego Psa, otulona perlistą, siwą mgiełką. Leżałam na brzuchu pod morwowym krzakiem, zagrzebana w liściach i z twarzą wysmarowaną rzecznym mułem. Czułam mocny, intensywny zapach ziemi. Czekałam w napięciu. Mrówki biegały po mnie i wokół mnie, sprawdzając, czy moja skóra nadaje się do jedzenia. Było to nie do wytrzymania, a jednak nie odważyłam się poruszyć. Leżałam tak od dwóch dni.

Czarodziejski paląc Rudego Psa, pomyślałam w duchu. Jak to możliwe, by ktoś, kto potrafił ukraść ślubny koszyk i miał dość mocy, żeby mnie zabić, mógł żyć w takich warunkach? Chata była prostokątna i niska i wyglądała na niezamieszkaną. Pecyny błota i stare gazety zatykały szpary pomiędzy belkami. Blaszany dach był zardzewiały i pełen dziur załatanych kawałkami papy. Maleńkie okna były tak zatłuszczone, że niczego nie można było dojrzeć we wnętrzu. Kogut i kurczęta gdakały za chatą przy szopie na narzędzia, częściowo wkopanej w ziemię ze względu na pochyłość terenu.

Ben i Drum wyszli na zewnątrz, udali się w stronę szopy, otworzyli ciężkie drzwi i zniknęli w środku na kilka minut. Słyszałam, jak grzebali tam, przesuwali coś z łomotem i przerzucali. Ben stanął w drzwiach, oparł się o framugę i począł wygłaszać sarkastyczne uwagi.

— Drum, czy na pewno wiesz, do czego służy gwóźdź? —-powiedział, rzucając niedopałek na ziemię i rozdeptując go. — To chyba nie za trudne dla ciebie, co?

Drum wyszedł na zewnątrz, wlokąc ze sobą jakieś narzędzia i kawałki liny i krzątał się po obejściu w poszukiwaniu różnych rzeczy, a Ben chodził za nim udając, że go nadzoruje. Czyścili części jakiejś zardzewiałej maszynerii, uprzątali stare żelastwo, kopali dołki i wrzucali do nich coś, co wyglądało na odpadki. Czasem jeden drugiego popychał łobuzersko, albo opowiadali sprośne dowcipy. Najczęściej jednak stali bezczynnie. Obaj starali się wykonywać jak najmniej pracy.

Rozpadająca się, koślawa wygódka miała chybotliwe drzwi na zardzewiałych zawiasach, które uchylały się i przymykały na wietrze z uporczywym skrzypieniem. Chatę Rudego Psa nazwałam w myślach Śmietnikiem, ponieważ wszystko, co było w obejściu, walało się porzucone, rdzewiejące, połamane i zapadłe w ziemię i wyglądało na porzucone od dobrych czterdziestu lat. Stary pług leżał wywrócony i mierzył lemieszem w niebo, jakby ziewając z nudów. Kilka stosów starych opon piętrzyło się obok, służąc wyłącznie kogutowi, który wskakiwał na nie i piał z zachwytem. Najwyraźniej uważał się za pana Śmietnika i obwieszczał to z dumą światu.

Po prawej stronie, za walącym się płotem, stały dwie chude krowy, których sterczące kości biodrowe niemal przebijały skórę. Miały wyleniałe boki, wyschłe wymiona, a zawieszone na ich szyjach dzwonki pobrzękiwały cicho, gdy biedne krowiny przeżuwały swoją skromną paszę.

Leżał tam też stary ford, model T, przewrócony na bok i obłupiony ze wszystkiego, łącznie z osiami. Podarty hamak, rozpięty pomiędzy tylnym zderzakiem auta a boczną ścianą wygódki, kołysał się na wietrze.

Kiedy Ben i Drum z łoskotem otwierali drzwi chaty na oścież, aż podskakiwałam. Wychodzili, aby skorzystać z wygódki albo wysiusiać się przed gankiem, natomiast Rudy Pies najwyraźniej nie odczuwał takich potrzeb. Nie widziałam go jeszcze i nawet nie miałam pewności, czy jest w chacie. Przez całe dwa dni nie słyszałam innych odgłosów prócz brzęku krowich dzwonków, gdakania kurczaków i trzaskania drzwi do chaty i wygódki.

Na drugi dzień, późnym popołudniem, dobiegł z chaty dziwaczny, chorobliwy odgłos, na poły zwierzęcy ryk. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Początkowo był to wysoki, skrzeczący dźwięk, który rozległ się kilka razy pod rząd, a potem posłyszałam coś w rodzaju żałosnego ryku jakiegoś prehistorycznego potwora. W kilka chwil potem rozległ się kilkakrotny rozdzierający jęk, któremu odpowiedział niski, warkotliwy odgłos. Głosy te rozlegały się przez dłuższy czas, ale nie udało mi się rozpoznać ich źródła.

Potem, nieoczekiwanie, zapadła zupełna cisza. Słyszałam tylko szelest drżących na drzewach liści i świst wiatru nad rozległą równiną. Mało brakowało, a zamknęłabym oczy i zapadła w drzemkę, kiedy nagle posłyszałam trzask i odgłos szybkich kroków. Dostrzegłam szarą mysz, która wybiegła przez szparę pod drzwiami chaty, przemknęła przez ganek i pobiegła w stronę sterczącego nie opodal głazu. Potem drzwi odskoczyły gwałtownie i wypadli z nich kolejno Ben, a po chwili Drum i zaczęli rozglądać się dookoła.

— Gdzie ona jest, u diabła? — zapytał Drum.

— Tam.

Ben i Drum rzucili się w pogoń za myszą wokół podwórza, próbując zapędzić ją w jakiś kąt. Mysz wspięła się na drzewo, przeskoczyła na dach, a potem zsunęła się z powrotem po słupie ganku. Była szybka i przebiegła. Drum i Ben nie mogli się do niej zbliżyć na tyle, by ją schwytać. Gdy tylko zdawało się, że już są tego bliscy, mysz wykonywała jakiś nieoczekiwany manewr, ukazywała się w innym miejscu i piszczała triumfalnie.

— Tam dalej! — wrzasnął Ben.

Mysz odczekała, aż Ben i Drum podbiegną do niej, a kiedy byli już od niej o krok, umknęła im sprytnie. Za i każdym razem była górą.

Po chwili wyglądało na to, że mysz zrobiła fatalny błąd, chowając się do zardzewiałego kanistra. Drum podkradł się i szybko zatkał ręką otwór.

— Mam ją! Mam! — krzyknął.

— Pokaż. No pokaż, Drum.

Drum rozsunął lekko palce, żeby zajrzeć do środka ' i potrząsnął kanistrem. Zajrzał jeszcze raz.

— Jest?

— Musi tam być — wybąkał Drum, — Widziałem ją. Zajrzał znowu i mocno potrząsnął.

-— Do diabła, powinna tam być, ale jej nie widzę.

— Uciekła— powiedział Ben. — Nigdy jej nie złapiemy.

Drum jeszcze raz potrząsnął kanistrem i odwrócił go, jakby chcąc opróżnić z zawartości.
— Nie ma — powiedział.

W tej właśnie chwili mysz wyskoczyła z kanistra na ziemię. Ben i Drum krzyknęli, polowanie zaczęło się od nowa. Mysz pobiegła tym razem wzdłuż chaty w kierunku wygódki, obiegła ją dookoła i przemknęła pod nogami Druma. Ten uskoczył z udanym przestrachem. Mysz | podbiegła do drzew i zatrzymała się.

— Pieprzymy cię! — zawołał Drum.

— Tak, pieprzymy! — zawtórował mu Ben.'

Mysz przechyliła główkę i patrzyła na nich uważnie czarnymi oczkami. Spokojnie powędrowała w kierunku szopy i zniknęła pod drzwiami.

— Stamtąd nie ma wyjścia! — zawołał Ben. — Jest w pułapce.

Pobiegli do szopy i wpadli do środka.

— Zatarasuj drzwi.— Posłyszałam głos Bena.

W tym momencie rozległ się głos, jakiego w życiu, jeszcze nie słyszałam — jak ryk demona. Ben i Drum wybiegli z szopy i popędzili drogą, jakby rzeczywiście zobaczyli diabła. Mysz wyszła z szopy i pobiegła z powrotem do chaty, ale minęło dobre pół godziny, zanim Ben i Drum wrócili do domu.

Później, choć za drzwiami chaty nadal panowała cisza, dostrzegłam przez okno blade pomarańczowe światło we wnętrzu. Ostatnie promienie wieczornego słońca muskały kolejne warstwy belek. Rudy Pies nadal się nie pojawiał, ale ja nie zamierzałam się poruszyć, zanim nie będę całkowicie pewna, że go nie ma.

Światło wewnątrz chaty zgasło, drzwi otworzyły się i Ben z Drumem stanęli na progu, szepcząc coś do siebie w głębokim cieniu na ganku. Potem ruszyli obaj drogą, głośno śpiewając. Obserwowałam ich znikające za wzgórzem sylwetki i czekałam, aż śpiew ucichnie w oddali. Trwałam w napięciu. Rozumowałam tak: skoro świeca się już nie pali, pewno nikogo nie ma w środku — a więc jest to chwila, na którą czekałam. Mogłam teraz wejść do chaty i ukraść koszyk. Przez cały ten czas, kiedy obserwowałam chatę, Rudego Psa w niej nie było.

- Jaka byłam głupia!

Panowała zupełna cisza, nie licząc cichego skrzypienia drzwi od wygódki. Nawet kury zachowywały się cicho. Masowałam biodra i poruszałam stopami, aby przywrócić krążenie w nogach. Byłam zupełnie zesztywniała. Wiatr powiał, a ja zaczęłam czołgać się bezgłośnie. Drżałam. Przebyłam jakoś sto jardów dzielące mnie od chaty i przywarłam do ściany z belek. Pachniały sadzą i smołą. Zrobiło się teraz jeszcze ciemniej, a bezkształtne cienie wysuwały swoje macki w moim kierunku. Nasłuchiwałam przez kilka minut, potem posunęłam się kawałek, zamarłam i znowu słuchałam, rozglądając się wokół. Strach chwycił mnie za gardło. Czułam się, jakbym za chwilę miała zostać zamordowana.

Przyciskając się plecami do ściany, obmacywałam dłońmi chropowatą powierzchnię belek i ostrożnie zbliżałam się do okna. Potem dotknęłam palcami parapetu okna i podniosłam się nieco — po chwili zajrzałam do środka. Nic. Szyby były zakurzone i odbijało się w nich niebo. Przetarłam jedną rękawem, osłoniłam z boku oczy i

spojrzałam znowu. We wnętrzu panowała zupełna ciemność. Próbowałam przyzwyczaić wzrok do ciemności, ale i to niewiele pomogło. Jeżeli Rudy Pies tam był, wiedział już, że próbuję się włamać. Zebrałam się na odwagę i podeszłam do drzwi, starając się myśleć tylko o koszyku. Powoli obróciłam klamkę i uchyliłam drzwi. Dygotałam ze strachu. Posłyszałam dobiegające od strony drogi szczekanie — brzmiało dziko. Zamknęłam drzwi tak samo cicho, jak je otworzyłam, a potem ogarnęła mnie panika. Odwróciłam się i pobiegłam przez podwórze do mego schronienia pod krzakiem i drzewami i zagrzebałam się w ziemi i liściach.

Pies był już na ganku i obwąchiwał go. Potem posłyszałam ciche stąpanie jego łap. Widziałam jego ślepia, kiedy zbliżał się do mnie, węsząc i warcząc głośno. Zamarłam w zupełnym bezruchu.

—Cicho, Gnat, cicho! — Posłyszałam nagle Druma.

i— Chyba wywęszył skunksa — powiedział Ben.

— Nie obchodzi mnie to. Nie podoba mi się to warczenie. Obudzi Rudego Psa, a wtedy dostaniemy za swoje!

—Gnat, chodź tu! — Ben przywołał psa. Zagwizdali obaj, a wtedy pies, który właśnie zamierzał mnie ugryźć, zawrócił niechętnie i pobiegł w kierunku chaty, kwitując wszystko krótkim szczeknięciem.

—Wy idioci! Przywiążcie tego kundla, zanim zabiję! Próbuję zasnąć!

To był głos Rudego Psa, dobiegający z wnętrza chaty. A jednak tam był.

Noc upłynęła spokojnie. Nic się też nie działo wokół chaty nazajutrz. Nawet kogut nie zapiał.

Pod wieczór odezwał się bębenek. Odgłos był irytujący — zupełnie inny od gry Agnes czy Ruby. Miałam wrażenie, jakby dźwięk rozpełzał się po równinie i gromadził w jej zagłębieniach. Zdawał się nie mieć żadnego celu poza hałasem. Bębnienie trwało jakiś czas, a potem zdało mi się, że słyszę ryk osła. Ziemia wokół chaty zadrżała, posłyszałam coś w rodzaju łomotu kopyt. Z wnętrza dobiegał straszliwy tumult. Po chwili ryk i bębnienie umilkły, drzwi chaty otworzyły się powoli i stanął w nich Rudy Pies.

Wyglądał jak rozczochrany, dziki góral. Ubrany był w stare spodnie koloru khaki i oliwkową wojskową kurtkę. Miał długą brodę, a rude włosy opadały mu na ramiona. Jego oczy przypominały oczy orła — był w nich ten sam przeszywający błysk. Zadrżałam. Czy to było złudzenie, czy naprawdę czułam jego moc z tej odległości?

Trzymał w ręku jakiś przedmiot, który połyskiwał jak nóż w świetle zachodzącego słońca. Zamknął za sobą drzwi, podszedł do krawędzi ganku i usiadł. Mimo ciężkich butów stąpał zupełnie bezgłośnie. Mój wzrok skupił się na tych wielkich, wysokich butach, potem przeniósł się wyżej i zatrzymał na nożu, który Rudy Pies podniósł do ust, jakby zamierzał zlizać coś z ostrza. Zrozumiałam, że nóż był w rzeczywistości fletem. Przez chwilę trzymał go przy ustach, a polem zabrzmiała słodka, delikatna melodia. Poczułam odprężenie. Rudy Pies odrzucił głowę do tyłu, zamknął oczy i grał z zapamiętaniem. W miarę jak słuchałam, zwykły świat wokół mnie zaczął się rozpływać.

Zacisnęłam powieki, a potem otworzyłam szeroko oczy, żeby widzieć wyraźniej. Mój wzrok przyciągały nieodparcie wielkie buciory. Miały dziwną, brunatną barwę palonej

pszenicy, a ich powierzchnia była jakby pierzasta. Miałam wrażenie, że zaczynają pękać, a nogi pod kolanami — ku mojemu zdumieniu — pokrywają się piórami.

Rudy Pies stanął na szeroko rozstawionych nogach. Flet brzmiał teraz głośniej i jeszcze bardziej melodyjnie niż przedtem. Raptem Rudy Pies skoczył wysoko w powietrze. Wyglądało to tak, jakby uwolnił się nagle od ziemskiego przyciągania. Wyciągnął szyję, zgiął się wpół, zawirował i w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób stał się nagle żywym obrazem groźnego ducha katcina— Kokopelli. Przez środek jego gigantycznej, podobnej do maski głowy przebiegał biały, wymalowany pas. Reszta jego twarzy — prócz białych kręgów nad oczami — była czarna. Na czole wyrastały białe i czerwone pióra, a falliczny nochal mierzył prosto w moim kierunku. Naszyjnik —jak gruby, biało-czarny wąż — owijał jego szyję. Kątem oka zauważyłam worek przewieszony przez jego ramię.

Przez chwilę nie mogłam na niego patrzeć. Był garbaty i wyglądał groteskowo w wieczornym świetle — okropny, a zarazem piękny. Jego gra oczarowywała mnie. Krążył wokół chaty tańcząc i wirując. Wskoczył na dach, potem zeskoczył niebezpiecznie blisko mnie. Zatoczył krąg. Zrozumiałam, iż wiedział od początku, że tu jestem. Uśmiechnął się do mnie arogancko, uwodzicielsko. Z worka na plecach wyjął pierścionek i wyciągnął kusząco w moją stronę podrygując i skacząc. Rzucał na mnie urok, omotywał mnie coraz bardziej. Pochylił się nade mną i poczułam jego gorący oddech. Uwielbiałam go. Był wcieleniem wszystkich duchów katcina. Skinął na mnie. Kusił mnie, wyginając i prężąc ciało, tak, że miałam ochotę sięgnąć ręką i dotknąć go. Muzyka pochlebiała mi, uwodziła, a ja szeptałam coś ledwie słyszalnym głosem. Czułam narastające gorąco. Otaczał nas pierścień cieni i światła.

—Pójdę z tobą — wyszeptałam i zaczęłam wstawać.

Zrobiłam pierwszy krok. Wtedy jakaś silna dłoń chwyciła mnie za ramię, aż zatoczyłam się przerażona. Patrzyłam prosto w gniewne oczy Agnes.

—Chodź ze mną — syknęła rozkazująco nad moim uchem.

— Nie! — krzyknęłam.

Ogarnęło mnie szaleńcze pożądanie. Wyrywałam się przez chwilę, próbując kopnąć Agnes i uwolnić się z jej uchwytu. Rozglądałam się dziko dokoła w poszukiwaniu ducha Kokopelli, ale zobaczyłam tylko Rudego Psa siedzącego w stroju khaki na ganku, dokładnie tak jak na początku. Ogarnęła mnie histeria. Kopałam i próbowałam podrapać twarz Agnes. Uderzyła mnie i straciłam przytomność.

Ocknęłam się na łóżku w jej chacie. Obudził mnie mój własny szloch i pojękiwanie. Głowa mi opuchła i bolała straszliwie w miejscu, gdzie uderzyła mnie Agnes. Stała teraz nade mną z wyrazem pogardy na pomarszczonej twarzy. Tupnęła nogą.

— Nie włożyłaś go — krzyknęła. Wyciągnęła rękę i pomachała mi przed nosem kolczykiem z rogu jelenia. — Nie mógł cię znaleźć. O mało, co zostałabyś ukołysana na śmierć. Gdybyś poszła za tym mirażem, Rudy Pies zabrałby twojego ducha.

—- Chciałam go nałożyć — wyjąkałam. — Zapomniałam po prostu.

—Mam nadzieję, że nie umrzesz. A teraz, moja panno, będziesz musiała stawić czoło żądzom Rudego Psa.

1

Czarownicy nigdy nikogo nie zabijają. Sprawiają, że ludzie zabijają się sami.
Agnes Whisting Elk

Nie mogłam nic przełknąć. Chodziłam tam i z powrotem po chacie. Ściany, dach — wszystko było nie do zniesienia. Agnes siedziała na swoim krześle, tak jak zwykle i przyglądała mi się uważnie.

—Agnes, przestań się na mnie gapić — powiedziałam.

Agnes nic nie odpowiedziała, a ja nadal chodziłam w kółko od ściany do ściany. W prawym uchu ciągle słyszałam muzykę fletu Kokopelli. Pożądanie doprowadzało mnie do obłędu.

-Dlaczego nie mogę po prostu pójść i porozmawiać z Rudym Psem, Agnes? — zapytałam. — Może byśmy się jakoś dogadali? — Mój głos był płaczliwy, jak głos rozkapryszonej, małej dziewczynki.

—Nie — odpowiedziała krótko Agnes. — Spróbuj zrozumieć — dodała, — że Rudy Pies zmienił przynętę. Sam jest teraz przynętą. Okazał się wredny i zasłużył na mocnego kopniaka w tyłek.

Nie słuchałam jej. Tupnęłam nogą i spojrzałam na nią. Musiałam wyjść. Potrzebowałam oddechu.

— Czy mogę wyjść i posiedzieć na ganku?

— Nie.

- Dlaczego nie?

— Wykluczone.

— Proszę, Agnes.

— Nie i koniec.

— Och, już dobrze.

Przypomniałam sobie lubieżny uśmiech Kokopelli. Uśmiechnęłam się i przeprosiłam za moje dziecinne zachowanie. Agnes przyjęła przeprosiny.

Minęło pół godziny męczarni. Kiedy już nie mogłam się dłużej opanować, powiedziałam:
— Idę do samochodu po książkę, którą zostawiłam w bagażniku.
Agnes nie odpowiedziała.
- To interesująca książka o jodze — dodałam, otwierając drzwi. — Napisał ją jeden z moich przyjaciół.
Oddaliłam się parę kroków od chaty, po czym, pobiegłam, co sił w nogach w stronę auta. W połowie drogi zatrzymałam się i obejrzałam za siebie. Agnes nie pobiegła za mną. Odetchnęłam z ulgą i mruknęłam:
—Żegnaj, stara jędzo!
Zawróciłam i skręciłam w lewo na ścieżkę prowadzącą do chaty Rudego Psa. Traciłam nad sobą wszelką kontrolę, ale było mi wszystko jedno. Głos fletu był coraz donośniejszy i przywoływał mnie. Ruszyłam biegiem. Ścieżka skręcała między dwie skały. Za zakrętem zatrzymałam się raptownie.
— Agnes — wysapałam przestraszona — chciałam tylko...
Stała na mojej drodze. Złapała mnie i potrząsnęła z całych sił.
—Wracaj do chaty — powiedziała. Była wściekła. Powlokłam się z powrotem do chaty, czyhając na
następną okazję, żeby prysnąć.
-— Siadaj na łóżku i uspokój się — rozkazała, kiedy już znalazłyśmy się w środku. — Jesteś taka głupia, że następnym razem chyba pozwolę mu cię wykończyć.
Moje wnętrzności płonęły. Miałam takie uczucie, jakby Rudy Pies umieścił we mnie świerzb. Chciałam biec do niego natychmiast.
Agnes grzebała w szafce szukając czegoś, odwrócona do mnie plecami. Rzuciłam się do drzwi, a ona złapała za: moje rozwiane włosy i rzuciła mnie z impetem na łóżko. Poczęłam wyć i łkać spazmatycznie.
— Lynn, zmuś się do myślenia. — Posłyszałam jej słowa. Jednakże dźwięk fletu rozbrzmiewał w moim mózgu jak muzyka organowa. Zaczęłam toczyć pianę z ust Kopałam, drapałam i próbowałam ugryźć Agnes.
—Nienawidzę cię! — wrzeszczałam. — Nienawidzę! Puść mnie, albo pożałujesz!
Agnes znalazła wreszcie to, czego szukała. Podniosła się z kawałkiem grubego sznura w ręku. Drugi trzymała w zębach. Schwyciła moje nadgarstki razem, jakby pętała cielę i przywiązała je do wezgłowia łóżka. Potem zawiązała pętlę na drugim kawałku liny i unieruchomiła nią w ten sam sposób moje stopy, po czym wstała i otrzepała ręce.
— No — mruknęła zadowolona.
Zaciskałam i rozprostowywałam palce, szarpałam się i wściekałam. Po dłuższej chwili odniosłam wrażenie, że potrafię myśleć nieco jaśniej.
—Agnes, doprawdy — powiedziałam, starając się przybrać ton urażonej godności. — Jestem osobą rozumną. Czy nie mogłybyśmy podyskutować o tym bez niepotrzebnych scen? Te sznury uwierają mnie — to boli.
—Tak, i powiem ci, że im bardziej będziesz się rzucać, tym mocniej będą się zaciskać.

Przysunęła krzesło do łóżka i usiadła obok mnie. Z zamkniętymi oczyma zaczęła śpiewać jakąś spokojną pieśń w języku Cree, aleja byłam zbyt rozjuszona, by jej słuchać.
—Czy wiesz, że to wbrew prawu? Mogę cię wpakować za to do więzienia.
Roześmiała się.
—Nie obchodzi mnie już ten przeklęty koszyk. Czuję się jak rozszarpywana na kawałki. Po prostu chcę poznać tego mężczyznę. — Zaczęłam płakać. — Nie mogę tego wytrzymać.
—Posłuchaj mnie! — Agnes krzyknęła tak władczo, że zarówno wizje, jak i muzyka fletu ustąpiły natychmiast.
—Posłuchaj — powtórzyła jeszcze raz. Jej głos docierał do mnie poprzez zamęt, który panował w moim umyśle. —Zupełnie nie rozumiesz, z czym masz do czynienia i na co się narażasz. Pomyśl o July. Chcę ci niej opowiedzieć. July jest uczennicą Ruby, taką samą, jaką ty jesteś u mnie. Któregoś dnia szła sobie szosą i próbowała zatrzymać jakiś samochód do Crowley. Zobaczyła, że nadjeżdża stary pick-up, więc odwróciła się i podniosła rękę, a auto zwolniło i zjechało na pobocze. Zaskoczona zobaczyła przed sobą wspaniały nowy samochód. Pomyślała, że wzrok płata jej jakieś figle. Biały mężczyzna za kierownicą był bardzo uprzejmy i zaproponował, że ją podwiezie. July wsiadła. Mężczyzna powiedział, że ma rancho przy rezerwacie i szuka Indian, którzy pomogliby mu zaganiać bydło. July odparła, że spróbuje znaleźć kogoś, kto się na tym zna i podjąłby się tego rodzaju pracy. Kiedy siedziała obok tego człowieka, zauważyła, że było w nim coś dziwnego. Spojrzała przypadkiem na podłogę i zobaczyła, że jego stopa zakończona była rozdwojonym kopytem. Popatrzyła na niego jeszcze raz, a wtedy jego postać zaczęła rozmywać się w jej oczach. Nie mogła skupić wzroku, ale dostrzegła, że to nie ten sam mężczyzna. Zrozumiała, że wpadła w pułapkę czarownika, — że to Rudy Pies. Próbowała uciec się do pomocy swego leku i bronić jakoś, ale było już za późno. Mogła tylko krzyczeć, żeby ją wypuścił. Nie spodziewała się, że to zrobi, a tymczasem on zatrzymał samochód. Kiedy otworzyła drzwi i rzuciła się do ucieczki, posłyszała jak przywołuje ją po imieniu: July. Potem posłyszała melodię graną na flecie. Wbrew sobie musiała się zatrzymać i odwrócić. Była w jego mocy i zawróciła do niego jak w transie. Nie miała już własnej woli.
Agnes przerwała i zapadło długie milczenie. Z trudnością przełknęłam ślinę i zapytałam:
— Co się potem stało?
— Czy widziałaś kiedyś, jak pająk zabija motyla?
— Nie, nigdy — odpowiedziałam.
— Przypomina to trochę to, co się później działo z July. Pająk bawił się nią. Nie zabił jej od razu jednym ukąszeniem. Tańczył przed nią ze swoim fletem, torturował swoją muzyką, dokładnie tak, jak robi to teraz z tobą. No i — podobnie jak pająk motylowi — powoli wysysał wnętrzności. Została jego kochanką. A on zabrał jej ducha i wolę, zamknął je w tykwie i powiesił u siebie na ścianie. Ten sukinsyn uważa coś takiego za świetny żart. Kiedy się już nią znudził, zawiózł ją do Ruby i zostawił przed gankiem. Dał jej ten stary net. July jest w mocy muzyki fletu i dlatego wciąż gra. Ruby dostała wtedy

szału. Wzgórza wokół jej chaty trzęsły się przez kilka dni, a zwierzęta bały się wyjść z lasu. Rudy Pies tylko się śmiał. — Głos Agnes zabrzmiał mściwie: — Ruby go dopadnie. Poczekaj tylko, a zobaczysz. Najpierw urządzi tak samo jego ucznia. W każdym razie widzisz, co ci grozi.

Agnes była poważna. Przyłożyła dłoń do mojego czoła, a mnie zaświtało w tejże chwili, że jestem chora, że zostałam oddzielona od mojego rozumu. Nie mogłam się opędzić od wizji tego, co przydarzyło się July. Trzęsłam się ze strachu, mając przed oczyma jej nieobecny, szalony wzrok.

Znowu dobiegły mnie dźwięki fletu. Ponownie ogarniało mnie, fala za falą, nieodparte pożądanie. Miałam wrażenie, jakby Rudy Pies zrozumiał, że traci nade mną władzę, i próbował odzyskać swoją zdobycz. Agnes zdjęła ze ściany skórzany, zawiązany starannie woreczek, otworzyła go, wyjęła ze środka szczyptę jakichś pokruszonych liści i skręciła z nich papierosa. Zapaliła go, zaciągnęła się parę razy i podeszła do mnie. Usiadła mi okrakiem na piersiach.

— Wciągnij ten święty dym — poleciła i przytknęła mi skręta do ust, przytrzymując zarazem mój podbródek. —

Lynn, on pomoże ci śnić. Śnij o twojej żądzy. Odleć. Przekrocz krąg twoich najgłębszych lęków i pragnień. Spotkaj je i pokonaj. Przejdź przez własne odbicie i uwolnij się od Rudego Psa. Odegraj twoje marzenia tak, jak chcesz, i znajdź to strzeżone miejsce, gdzie ukryłaś swoje serce.

Ostatnim obrazem, jaki zapamiętałam, był widok Agnes schodzącej ze mnie i powracającej do stołu. Zamknęłam oczy. Kuszące dźwięki fletu rozbrzmiewały gdzieś w głębi mego umysłu. Niski sufit zaczął się rozstępować, a po chwili rozsunął się całkowicie i zniknął jak zasłona. Wyrwałam się z mego ciała i wyfrunęłam z chaty. Przez chwilę krążyłam, przechadzając się między drzewami, potem przycupnęłam, żeby obejrzeć mały kamyk leżący na ziemi. Zauważyłam, że był w nim niewielki otwór. Po dłuższym intensywnym przyglądaniu się zmniejszyłam swoje rozmiary, aby podążyć za mikroskopijnym światełkiem, które zabłysło wewnątrz otworu.

Kiedy weszłam do tej maleńkiej dziurki, posłyszałam gwałtowny trzask i po chwili mknęłam przez zimną, krystaliczną przestrzeń. Po jakimś czasie znalazłam się na ogromnym, oświetlonym księżycowym blaskiem dziedzińcu pośród dżungli. W samym środku stała Wielka Świątynia Jaguara. Naprzeciw siebie, w odległości wielu-set jardów, stały dwie wyciosane w skałach piramidy. Pomiędzy nimi stał kamienny ołtarz. To było miejsce jaguara, miejsce równowagi między pamięcią a zapomnieniem.

Ciszę przerwała muzyka fletu i miękki odgłos mokasynów na trawie. Na tle południowej piramidy odcinała się wirująca w tańcu postać Kokopelli. Jego taniec był starożytną ceremonią, jego piszczałka wygrywała godowy zew rodem ze snu. Rudy Pies docierał do mnie w jakiejś niezwykle głębokiej, wewnętrznej sferze, a gdzieś w głębi mnie odpowiadała mu podobna, rozbudzona pasja.

W miarę jak księżyc wznosił się wyżej, gigantyczne piramidy stawały się coraz jaśniejsze i bardziej wyraziste.

Agnes i chata zniknęły zupełnie z mojej świadomości, a nad moją głową rozpostarło się jasne niebo innych dawnych czasów. Postać wielkiego katcina, srebrzysta w świetle księżyca, przyciągała nieodparcie. Tańczył i grał na swoim cudownym flecie, wyginając się i zbliżając coraz bardziej w stronę ołtarza. Stałam na szczycie piramidy, a moje białe szały powiewały na ciepłym wietrze. Przedostaliśmy się szczeliną pomiędzy światami — poprzez wymiar, który rządził najwyższymi funkcjami ludzkiego umysłu, wymiar magiczny. Byłam opętana miłością do Kokopelli. Odbywaliśmy święty obrzęd, który miał wnieść nową moc w odwieczny strumień życia. Byłam symbolem wszystkich kobiet.

Zstępowałam powoli po schodach w dół piramidy. Katcina siedział na ołtarzu. Wyglądał po części, jaki zwierzę, po części jak ptak, a częściowo jak człowiek. Mrugał do mnie. Szłam na spotkanie mojej śmierci, ale było mi to obojętne. Kokopella przyciągnął mnie ku sobie pałającym wzrokiem, objął ramionami i posadził na ołtarzu. Ołtarz był obsypany słodko pachnącą szałwią, a na obu jego krańcach płonęły pochodnie. Gra ciemności i pochodni działała hipnotycznie. Ledwie mogłam oddychać. Jego twarz płonęła żarem — zmieniała się, znikała, pojawiała się znowu. Zamknęłam oczy i uświadomiłam sobie istnienie czegoś, co nie było ani i nim, ani mną, a jedynie mocą snu, który ożywiał nasze postacie. Wyższe i niższe ,ja" zlały się w jedno, a my połączyliśmy się we wspólnym nurcie kosmicznego życia. Muzyka fletu rozbrzmiewała teraz sama. Kiedy leżeliśmy tak razem na kamiennym ołtarzu, spojrzałam w twarz Kokopelli i zobaczyłam, że nie ma go już — że przez połączenie się z tym, którego obawiałam się najbardziej, stałam się z nim jednością, jednym bytem, wojownikiem i wojowniczką. Odbyłam gody i połączyłam się z wojownikiem — mężczyzną — w sobie.

Piramidy zniknęły, a ja poczułam, że znowu się oddalam. Skuliłam się w pozycji embrionalnej — naga i wirująca gdzieś poza czasem. Wszystko ogarnęła ciemność.

Obudziłam się nazajutrz dygocąc. Agnes rozwiązała sznury. Przyniosła wiadro i pomogła mi zwymiotować. Potem przysunęła krzesło i usiadła obok mnie. Leżałam na wznak i czułam się bardzo słaba. Spojrzałam przez okno i zobaczyłam, że słońce jest już nisko, po zachodniej stronie nieba. A więc przespałam cały następny dzień.
Agnes odgarnęła mi włosy i przyłożyła rękę do czoła.
—Jak się czujesz? —zapytała. Na jej twarzy malowało się coś pośredniego między wielką powagą a wesołością. — I co? Będziemy mieli dzieciaczka katcinę?

Zachichotała.

Opowiedziałam jej wszystko najlepiej, jak potrafiłam. Zdałam sobie sprawę, że teraz, — kiedy opowiadałam — odczuwałam już tylko echo wczorajszej żądzy. Moje zdrowie psychiczne było ocalone.
- Agnes — zapytałam, kiedy zdołałam wreszcie usiąść. — Co to wszystko, ten sen, ma wspólnego ze ślubnym koszykiem?
—One stykają się ze sobą w twojej pamięci. Dowiedziałaś się już, że koszyk został zrobiony przez śniących i oznacza związek wielkiego wojownika i wielkiej wojowniczki wewnątrz jednej istoty. Każda kobieta szuka, zatem wielkiego wojownika, najwspanialszego z mężczyzn, wewnątrz siebie. Szukamy go przez całe życie. Jeżeli

mamy szczęście, znajdujemy go w naszych snach, łączymy się z nim i stajemy się pełne. Czy rozumiesz mnie?
— Tak, wydaje mi się, że tak.
— Te sny to wielkie szczęście. Musiałaś oszukać moc, żeby się o tym przekonać. To wielki lek. Lek, o którym kobiety już zapomniały. Niebezpieczny lek. Połączyłaś w sobie kobietę i mężczyznę i doszłaś do miejsca, gdzie drogi się rozwidlają. Możesz zmieniać się i rosnąć. Zaczynasz rozumieć, co znaczy oddawać się. Kobiety myślą, że wiedzą, ale naprawdę tego nie pojmują, zapomniały to. Wiele kobiecych namiotów stoi pustych, bo nikli do nich nie zagląda. Sięgnij po tego wielkiego wojownika, który czeka w kobiecym namiocie. Weź go w objęcia i bądź wolna.

Pomarańczowe słońce przypominało ogromne, obłe jajo osuwające się w mrok. Siedziałyśmy w milczeniu na zewnątrz. Nadal drżałam, było mi trochę niedobrze i czułam ucisk w żołądku. Kiedy już zapadła noc, Agnes powiedziała, że czas wracać do łóżka. Dodała, że to potrwa jakiś czas, zanim w pełni wyzdrowieję po moich doświadczeniach. Weszła do środka znacznie później a kiedy uniosłam na chwilę powieki, zobaczyłam ją siedzącą na krześle przy łóżku. Siedziała prosto, z rękami złożonymi na brzuchu, patrzyła na grę świateł na ścianie.
— Dobranoc — powiedziałam.

Uśmiechnęła się do mnie i dała znak, bym spała i spokojnie.

Czym są spowodowane twoje nocne koszmary i leki, jak nie upadkiem twojej woli?
Hyemeyohsts Storm

Kiedy usiadłam na posłaniu, poczułam się jak po tygodniowej hulance. Święty dym miał potężne działanie. Podeszłam powoli do stołu i usiadłam.

Agnes ułożyła przed sobą najróżniejsze przedmioty: kamienie, kryształy, pęk pachnących ziół, skorupę żółwia, kość szczękową jakiegoś zwierzęcia, pióra, suszone kwiaty i inne rzeczy, których nie potrafiłam rozpoznać.

—Wszystko żyje, Lynn. Widziałam, jak duch whisky zabrał wielu ludzi. Wielu zabrał też duch narkotyków. Tylko niektórzy potrafią dobrze poznać ducha jakiejś rzeczy. Choć bywa to bardzo niebezpieczne, można się jednak tego nauczyć. Mam nadzieję, że będziemy mogły pójść kiedyś razem na takie spotkanie. Zaprowadzę cię tam, kiedy będziesz wiedziała więcej. Teraz zjedz — dodała.

Zrobiłyśmy skromne śniadanie, ale nie mogłam przełknąć ani kęsa. Popijałam tylko herbatę, a ciepło sprawiło, że poczułam się troszkę lepiej.

— Agnes, myślę o tym doświadczeniu z zeszłej nocy, czy kiedy to było... Wszystko wydawało się takie rzeczywiste, jakby działo się naprawdę. Mam wrażenie, że spotkałam już kiedyś Rudego Psa jako wielkiego katcinę Kokopelli, tylko nie wiem gdzie.

Agnes z uwagą oglądała pod światło suchy liść.

—Czy sądzisz, że księżycowy namiot jest prawdziwy?—zapytała nagle, zagarniając kamyki i kryształy do środka wyblakłej szczęki. — Sny przenikają ziemię i pozostają w niej głęboko. Mają kobiecy charakter. To, co męskie, kształtuje materię. Sny to druga połowa twojej wizji świata. Nie sądzisz, że są prawdziwe? Tym razem przyniosłaś stamtąd moc. Tym razem zapamiętałaś.

— Nigdy nie rozumiałam dobrze moich snów — powiedziałam. — Nie wiem, czym są ani co znaczą. Moje sny z ostatnich kilku miesięcy wydawały mi się realne i najwyraźniej zmieniły zupełnie moje życie. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby sny mogły mieć własną substancję. Nawet ten ostatni. Był chyba bardziej wizją niż snem.

— Nie przyszło ci nigdy do głowy, że człowiek balansuje między dwoma lustrzanymi światami? Ziemia żyje i śni. Wszystko, o czym człowiek może pomyśleć, ma swoją substancję. Nie ma dziur w twoich myślach. Ci, którzy są przebudzeni, na przykład szamani, mogą dotrzeć aż do końca wszechświata, a nawet za jego granice. Tam są tęczowe drzwi prowadzące na drugą stronę materii, gdzie przędzie się dopiero pajęczyna substancji. Jeżeli wejdziesz do tamtego świata, to istoty, które tam żyją, dadzą ci każdą moc, jakiej zapragniesz. Większości tych mocy nie da się zabrać ze sobą z powrotem. Jacy jesteśmy szczęśliwi, kiedy udaje się nam pierwszy raz stamtąd wrócić. A przecież najwięksi wojownicy potrafili dostać się tam wielokrotnie. Przechodzisz przez te drzwi, kiedy się rodzisz, i zostajesz wessana przez nie z, powrotem, kiedy umierasz. To przez te drzwi wszystko zostaje nam dane i wszystko tamtędy odchodzi. Ich strażnicy chcą, żebyś przyszła i wzięła sobie, co ci się żywnie spodoba. Kiedy wchodzisz, witają cię śpiewem. Mówiłaś o substancji. Każda substancja, nawet moje sny, jest mi bliska i znana. Żyję z nią w zgodzie.

—Agnes — westchnęłam. — Poddaję się. Roześmiała się.

— Kłopot z tobą polega na tym, że wiele mądrości objawiono ci już w życiu, ale ty nie byłaś jeszcze na tyle przebudzona, żeby je rozpoznać.

—No, w końcu nauczyłam się, co nieco — powiedziałam urażona.
— Lynn, nastąpiłaś na orle pióro, jakby było przeszkodą na twojej drodze.
— Co to znaczy?
— Myślisz, że jestem starą wariatką, i rzeczywiście jestem — zaśmiała się głośno.
Zaprotestowałam.
— Przecież nie przyjechałabym tutaj, gdybym tak myślała, prawda?
— Kto wie? — roześmiała się znowu.
— Nadal nie powiedziałaś mi, co znaczy nadepnąć na orle pióro...
—Orzeł lata wysoko i widzi wszystkie najodleglejsze i najbardziej złożone sprawy, i to, jak się mają do siebie. Kiedy pióro orła, który sam jest wielkim lekiem, spadnie na ziemię, jest pełne wiedzy. Jeżeli będziesz mądra, to porozmawiasz z duchem, który w nim mieszka, i poprosisz, żeby został twoim przewodnikiem. Każde orle pióro ma taką moc. Wystarczy je podnieść i przemówić do niego. Oczywiście trzeba też umieć usłyszeć odpowiedź. Zjedz śniadanie.
Zmusiłam się do jedzenia, a Agnes w tym czasie odłożyła starannie posortowane rzeczy do komódki. Zamknęła szufladę i popatrzyła na mnie z uwagą.
—Chodź ze mną, Lynn — powiedziała. Wyszłam za nią na ganek. July siedziała oparta o słup i grała na flecie. Zdałam sobie sprawę, że głos fletu, który rozlegał się nieprzerwanie, przestał już do mnie docierać. Przysłuchując się jego dźwiękom zauważyłam, że były słabe i zamierające. Nie było w nich wiele tchu.
—Siądź tutaj — powiedziała Agnes, wskazując mi miejsce na deskach ganku, dokładnie naprzeciw July.
Usiadłam ostrożnie. Moje ciało było znacznie bardziej zesztywniałe, niż przypuszczałam. Agnes przycupnęła pomiędzy nami i ujęła July pod brodę.
— Przyjrzyj się jej uważnie, Lynn — powiedziała. -Popatrz jej prosto w oczy i powiedz, co widzisz. Opisz ją.
Byłam tak zajęta innymi sprawami, że nie zauważyłam, jak bardzo July zmizerniała ostatnio. Zupełnie nie docierała do niej nasza obecność. Śliniła się, a flet, co chwila wypadał jej z ust. Miała nienaturalnie bladą i wychudłą twarz, a jej piękne brązowe oczy były bardziej zapadnięte i nieobecne niż zwykle.
—Widzę kogoś, kto postradał zmysły — wykrztusiłam.
Agnes spojrzała na mnie z naciskiem.
— Czy chcesz, żeby tobie też się to przydarzyło?
— Nie! — krzyknęłam. — Nie chcę.
— No to zostań tu i popatrz sobie na nią przez chwilę — powiedziała Agnes. — Możesz tak skończyć — dodała i weszła do chaty.
Kiedy zostałam sama, oparłam się plecami o słup i próbowałam pozbierać myśli. July po omacku szukała wokół siebie fletu, który znowu wysunął jej się z palców. Pomyślałam o jej spotkaniu z Rudym Psem i łzy współczucia napłynęły mi do oczu. Równocześnie jednak —na myśl o Rudym Psie — poczułam ukłucie zazdrości i opanowało mnie takie uczucie, jak wilczycę, której, terytorium zostało zagrożone. Przez krótką chwilę nienawidziłam July. Nie panowałam nad moimi myślami. Nie byłam całkowicie pewna,

czy to nie ja jestem wariatką. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem July nie wydaje się, iż jest jedyną osobą, która została wyzwolona dzięki temu, że usłyszała muzykę Rudego Psa.
— I co, Lynn, napatrzyłaś się już? — dobiegł do mnie głos Agnes.
— Tak sądzę. Agnes, czy ona słyszy głos fletu Rudego Psa? Dlaczego próbuje ciągle grać te same nuty?
— Nic nie gra w jej głowie, nie ma tam żadnych obrazów, niczego. Jest po prostu chorym człowiekiem i może wkrótce umrzeć. Rudy Pies nigdy nie odda jej ducha. July gra na flecie, bo musi. Dlaczego księżyc krąży po niebie w taki, a nie inny sposób? July została schwytana w labirynt. Nie ruszaj jej, bo tylko przyśpieszysz katastrofę.
Zadrżałam.
— Niczego nie możemy już zrobić, żeby jej pomóc?
— Ty z pewnością nie. Ja może bym mogła, ale wtedy... — Agnes nie dokończyła zdania.
— Wracaj do chaty — powiedziała.
Wzięła mnie za rękę i wciągnęła do środka.
—Widzę, że brzydzisz się July — stwierdziła. —Nie, żal mi jej. To wszystko.
Twarz Agnes była spokojna.
—Posłuchaj. July umrze w ciągu tygodnia. Już wkrótce jej duch zapomni o tym wyniszczonym ciele. Uważaj, żeby nie pójść w jej ślady. Rudy Pies nadal ma ochotę narzucić ci swój punkt widzenia. Ten punkt widzenia możesz podziwiać tam, na ganku.
—Nie wydaje mi się, żebym potrafiła zapanować nad moim pożądaniem w razie czego.
—Lynn, bywają szamani wysysacze dusz. Wykorzystują do tego seks i nasze instynkty. Wysysają ducha z ciała z taką łatwością, jakby nic nie znaczył. Umykaj od nich prędzej, niż ulatuje strzała. Odetnij wszystkie ścieżki. Lepiej zginąć, niż dostać się w szpony takiego szamana. Rudy Pies próbuje z tobą właśnie czegoś takiego.
—Czy Rudy Pies rzeczywiście przechowuje gdzieś ducha July? - wyszeptałam. — Co to oznacza?
—To, co powiedziałam — odparła Agnes. Pochyliła się ku mnie i wbiła we mnie wzrok niczym jaszczurka.
- Z łatwością mogłabym przełamać cię na pół — powiedziała. — Ciało człowieka nie jest bliźniacze. Wiesz, mam na myśli prawą i lewą stronę. Każda strona jest inna i służy do czegoś innego. Pośrodku jest szew, który je łączy. Szaman lub szamanka widzi ten szew i potrafi rozerwać człowieka na dwie części. To łatwe. Rudy Pies używa do tego seksu. Widzisz, Lynn, ja na przykład mogłabym uprawiać seks z Rudym Psem i dla mnie byłby to akt zdobycia mocy.
— Jak w moim śnie o mężczyźnie katcina
— Podobnie. Przy mnie Rudy Pies mógłby być nawet dobrym człowiekiem, gdybym potrafiła z nim wytrzymać. Ale jeśli o mnie chodzi, to nawet nie mogę patrzeć na tego drania. Brzydzę się. Ty nie jesteś dość silna dla niego. Moc wojownika i wojowniczki nie doszłaby w tobie nawet do głosu. Pękłabyś na pól, i to wszystko.
— Umarłabym?
— Kiedy pękniesz na pół, wtedy szaman może cię zabrać, zabrać twojego ducha.

— Jak wygląda duch człowieka?
— Jak dym.
—Rzeczywiście jest w człowieku coś, co przypomina dym? I to właśnie jest dusza?
—Tak. Wygląda jak kłąb dymu z papierosa. Wszyscy bylibyśmy martwi, gdyby nie dym z papierosa. Dzięki temu dymowi dwunożni uniknęli śmierci. Śmierć zobaczyła, jak wiatr unosi dym w powietrze, i pomyślała, że to dusze, o które jej chodzi, więc odleciała.
— I to właśnie Rudy Pies trzyma w tykwie? Tę część July, która przypomina dym?
— Dokładnie tak. Właśnie to powinna July dostać z powrotem, żeby żyć.
— Czy potrafisz zmusić go, aby oddał ducha July?
— Rudego Psa nie można do niczego zmusić. Nikt nie zdoła go popchnąć, jeżeli nie zechce się ruszyć.
—Agnes, co się dzieje z człowiekiem, który umiera?
— To nie jest takie ważne. Całe życie człowieka jest obserwowane przez władców piorunów. Człowiek ma wewnątrz siebie naznaczoną drogę —to turkusowa droga. Najważniejsze to pozwolić własnemu duchowi iść po tej drodze. Jeśli ci się to uda, na końcu połączysz się z władcami piorunów. Wszystkie inne drogi prowadzą do złudzeń i absurdu. Na tych drogach panuje ból, smutek i zamęt. Mam odrobinę mocy dzięki temu, że widzę moją drogę aż do końca. U kresu zostają rozwiązane wszystkie zagadki i otrzymuje się odpowiedź na wszystkie paradoksy. Wówczas dowiadujesz się znaczenia twoich łez i cierpień. A kiedy już znajdziesz się na drodze, poczujesz się pełna i nikt nie zdoła ci jej odebrać. To właśnie jest droga własnego leku człowieka, droga szamanów, a i dla ciebie to jest też właściwa droga.
— Czy naprawdę jestem na tej drodze, Agnes?
— Tak, ale jeszcze o tym nie wiesz. Ciągle jeszcze możesz nie przeżyć.
Poczułam nagły lęk.
— Rudy Pies chce mnie zabić, prawda? Agnes uśmiechnęła się.
— Gdyby tylko chciał cię zabić, to pół biedy. On chce cię poddać próbie, a w porównaniu z tym, co dla ciebie przygotował, śmierć wygląda jak wesoły piknik. Kiedy szaman się na ciebie uweźmie, trzymaj się wszystkiego, czego zdołasz, ze wszystkich sił. Możesz mu stawić opór w czterech żywiołach — w ogniu, wodzie, ziemi i powietrzu. Kiedy zagna cię w jakieś inne miejsce, to poznasz, że już przegrałaś. Zmykaj wtedy szybko i wracaj do domu zbierać swoje indiańskie laleczki. Zapomnij o wszystkim. Ale może być i tak, że zostaniesz schwytana w zaświatach. Wtedy nie będziesz już mogła nigdzie uciec.

Rozważałam słowa Agnes. Myślałam o moim śnie moim pożądaniu Rudego Psa, o July i jej wewnętrznej pustce. Wszystko się zgadzało, a ja zrozumiałam, jak okrutnie zwiódł mnie Rudy Pies. Gniew narastał we mnie coraz bardziej.
- Jak on śmie mną manipulować! — wyrzuciłam z siebie te słowa tak nieoczekiwanie, że Agnes roześmiała się.
— No, już najwyższy czas — powiedziała. — Zaczynasz co nieco rozumieć, ale ciągle jeszcze jesteś w nim zakochana. Twoje oczy mi to mówią. Teraz, kiedy wrócił ci częściowo rozsądek, mogę spróbować cię wyleczyć. Znam tylko jeden sposób, który może go powstrzymać..|

—Co mam zrobić?
—Musisz pójść i usiąść nad sadzawką w tym miejsc gdzie pierwszy raz ci opowiedziałam o Rudym Psie. Siedź tam tyle dni, ile zdołasz wytrzymać. Pilnie obserwuj i czekaj, co się wydarzy. Wkrótce pojawi się twoja siostra i uleczy cię.
— Mam tam spać zupełnie sama?
—Tak. Na razie nie widzę innego sposobu. Będzie ochrona wokół ciebie. Będziesz miała też swój kolczyk w uchu. Bądź czujna, a wszystko pójdzie dobrze.
—Kto to taki ta moja siostra? Kogo masz na myśli?— Spotkasz ją tam, na miejscu.
—Wiesz, że nie mam siostry, więc na pewno masz na myśli coś lub kogoś innego.
— Musisz to odkryć sama.
Agnes przygotowała dla mnie zawiniątko zjedzeniem na drogę. Wyglądało na to, że zależy jej na pośpiechu.
— Czy naprawdę muszę to zrobić?
— Musisz — powiedziała z naciskiem. — Rudy Pies nie pokaże się tam na pewno. Chodzi o jego honor. Będzie respektował twoje odosobnienie.

Posłusznie zwinęłam śpiwór, nie odważając się nawet pomyśleć o czekającej mnie nocy. W poczuciu zagubienia spojrzałam na Agnes.
—Idź. I nie wracaj, zanim nie będziesz miała, o czym mi opowiedzieć.

Skinęłam głową i wyszłam. Oddalałam się od chaty jak zbity pies i z rezygnacją zmierzałam w stronę, gdzie mieszkała Ruby. Bezkresne, błękitne niebo przywodziło na myśl spokojny bezmiar odległego oceanu. Byłam już tak zmęczona ciągłym straszeniem, że uspokajałam się, powtarzając sobie: jak umrę, to umrę, i już.

Trochę to pomogło — nastrój poprawił mi się nieco i kroczyłam bardziej sprężyście. Wszystkie życiowe siły mobilizowały się we mnie do obrony przed śmiercią.

Zatrzymałam się kilka razy, w tym raz na posiłek.

Szłam wolnym krokiem, w harmonii z trawą, drzewami i niebem. Dwukrotnie wspinałam się na szczyty wzgórz, żeby nacieszyć się widokami. Ucięłam sobie nawet krótką drzemkę, używając zrolowanego śpiwora jako poduszki. Pogoda zmieniała się, robiło się cieplej, a z chwilą, gdy dotarłam do sadzawki,, szczyty wzgórz złociło łagodne, popołudniowe słońce.

Położyłam węzełek z jedzeniem na kamieniu i rozejrzałam się w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca dla siebie. Przyciągnęło moją uwagę niewielkie zagłębienie gruntu. Było gładkie i usytuowane na wolnej przestrzeni tuż nad sadzawką, a równocześnie osłonięte od wiatru drzewami. Leżało wystarczająco daleko od miejsca wodopoju, by pijące zwierzęta nie czuły się zaniepokojone.

Siedziałam na płaskiej skale ponad wodą. Na kolację zjadłam suszone mięso i smażony chleb. Obmyłam twarz wodą, a potem zgromadziłam trochę leżących gałęzi, lekko wilgotnych i pachnących ziemią. Po jakimś czasie zdołałam rozniecić niewielkie ognisko.

Zgasły ostatnie promienie słońca i prędko zapadł zmrok. Wśliznęłam się do śpiwora, a pod głowę podsunęłam tenisówki. Było mi zadziwiająco wygodnie. Zasnęłam w świetle pełni księżyca, ukołysana kumkaniem żab i graniem świerszczy w trawie. Błagałam

księżyc, by nie przestawał świecić. Poczułam, że jego blask budzi we mnie jakieś światło. Tuż przed zaśnięciem ujrzałam, jak wędruję przez ogromną, skąpaną w księżycowym blasku równinę.

Xxxxxxxxxxxxxxx

Każdy prawdziwy czarownik wie,jak ukraść moc.
Agnes Whistling Elk

Moje szczęście trwało krótko. Obudziłam się tuż przed świtem pod wrażeniem wizji śmierci z rąk Rudego Psa.
- Agnes – wyszeptałam. – Agnes
Nie odpowiedziała. Pierwszy raz zdarzyło mi się obudzić wcześniej niż ona. Szara poświata zaczynała wydobywać z mroku zarys desek podłogi i zamglone kontury drzew za oknem. Panowała martwa cisza. Leżałam w przepoconym śpiworze, który lepił się niczym opatrunek do ciała. Czułam przygnębienie. Miałam wrażenie, że nigdy nie zdołam się niczego nauczyć. Nigdy nie ukradnę ślubnego koszyka. Jakże będę mogła spojrzeć sobie w oczy na stare lata? Moja perspektywa widzenia uległa całkowitej zmianie, a jednak ten magiczny świat znajdował się nadal poza moim zasięgiem. Świat jest zbyt brutalny, a ja nigdy nie nauczę się tego, co Agnes stara się mi przekazać. Zaczęłam popłakiwać w poduszkę.
- I nad czym to płacze Biedna Krowa tak wcześnie rano? – zapytała Agnes, obracając się ku mnie i unosząc na łokciu.
- Agnes, nigdy nie potrafię ukraść koszyka Rudemu Psu – wykszusiłam.- Marnowałam tylko czas. On mnie zniszczy.
- Coś jeszcze cię martwi?
- Jestem taka głupia.
- Jeszcze coś?
- Nie mogę pojąć, jak mogłam się w to wszystko wplątać. To nie do wiary.
Agnes wstała i otworzyła okno, aby – razem z mgłą- wpuścić do wnętrza trochę świeżego powietrza. Rozpaliła ogień, żeby zagrzać wodę.
- Lynn, przestań się obwiniać i posłuchaj mnie.
Musisz się dzisiaj sporo nauczyć. Nie mamy wiele czasu, więc powinnaś się skupić. Nie musisz już mówić, Biedna Krowo. Umrzyj dla twoich wspomnień. Pijesz wodę stamtąd, gdzie wielki śpiący ryś przeciąga się w świetle księżyca. Zapominasz, że ktoś dał ci moc.

Przyjdą do ciebie potem małe wodniki i zapytają:" Gdzie podziałaś tę moc, która cię miała oświecić?"

Otarłam łzy i naciągnęłam koc na ramiona.

- Agnes, nie rozumiem nawet połowy z tego, co mówisz. O czym ty opowiadasz? Dlaczego ni stąd, ni zowąd nazywasz mnie Biedną Krową?

Pociągając nosem patrzyłam, jak mgła wdziera się do wnętrza przez otwarte okno. Agnes usiadła i spojrzała na mnie z uwagą, a potem machnęła ku mnie dłonią, rozprostują równocześnie palce, jakby chciała coś rzucić prosto w moją twarz.

-Nazywamy to rzucaniem piasku w oczy byka, zanim się go zabije, Biedna Krowo. Nie chcemy, żeby byk widział swoją śmierć.

- Co masz na myśli, i dlaczego znowu nazwałaś mnie Biedną Krową?
- Bo nie rozumiesz śmierci.
- Kim była Biedna Krowa?
- To był mężczyzna. Zresztą nieważne, że był to mężczyzna. Równie dobrze mogła to być kobieta. Tego ranka ty nim jesteś. Chodził w kółko po obozie i nad wszystkimi się litował:" Och, biedny Czarny Wróbel nie ma mokasynów", „ Och, biedny Młody Byk nie ma ciepłego koca", „Och Żółte Oko kuleje", „O, ja biedny, jestem taki nieszczęśliwy".

Biedna Krowa natknął się na Dwa Kojoty, tego szamana, o którym ci już opowiadałam. Nadal krążył po obozie i użalał się, mówiąc: „Biedny każdy". Wszędzie gdzie spojrzał, widział coś smutnego. Dwa Kojoty zagadnął go: „Hej, Biedna Krowo, gdzie masz swój cień? "Biedna Krowa spojrzał pod nogi i zobaczył, że nie rzuca cienia. Nie było go tam. Biedna Krowa zgubił cień. „Nie mam go" – odpowiedział. „Nie sądzisz, że powinieneś go odnaleźć?" – zapytał Dwa Kojoty. „Tak" – odparł Biedna Krowa. – „Nie chcę chodzić bez cienia. Pójdę go poszukać".

Biedna Krowa chodził po wiosce i szukał cienia. Zaglądał do wszystkich namiotów i użalał się nad sobą. Nigdzie nie mógł go znaleźć. Dwa Kojoty zobaczył go kilka dni później i zapytał: "Hej, Biedna Krowo, czy znalazłeś już swój cień?" Biedna Krowa odpowiedział:" Nie, nigdzie go nie ma. Poddaje się". „A czy próbowałeś w łaźni?"- zapytał Dwa Kojoty. – „Może zostawiłeś go tam, kiedy poszedłeś się wypocić? – „Pójdę i zobaczę" – odpowiedział Biedna Krowa i poszedł do namiotu , gdzie była łaźnia. Wbiegł do środka i znalazł swój cień. Na koniec po wiosce rozeszła się wieść: Dobre nowiny, Biedna Krowa znalazł swój cień w łaźni. Biedna Krowa nie żyje.

Opowiedziałam ci tę historię, bo przypominasz mi Biedną Krowę. Zwracasz uwagę na tyle rzeczy, które nie mają żadnego znaczenia. O rzeczach, które są ważne, nie masz zielonego pojęcia.

- Masz rację – powiedziałam. – Jestem taka Biedna Krowa, prawda? Często użalam się nad sobą i światem.

Znów zaczynałam wpadać w depresję. Wstałam i zjadłam odrobinę bekonu oraz kilka orzechów. Potem zamyśliłam się, popijając herbatę.

- Już dowiedziałaś się, co to znaczy wróg i co to znaczy przeciwnik- powiedziała Agnes. – Siły w Beverly Hills to te same siły, które poznałaś kiedyś nad sadzawką. W twoim świecie nazywają się :szaleństwo i śmierć.

- Czy przeciwnicy i wrogowie to to samo? – spytałam.
- Masz wielu wrogów wokół siebie, raka czy inne choroby, przed którymi musisz się bronić, tak samo jak przed złymi ludźmi, których celem jest destrukcja. Ale posiadanie przeciwnika to naprawdę wielka rzecz.

Obudziłam się w tej samej pozycji, w której zasnęłam. Byłam doskonale wypoczęta. Słońce właśnie wschodził. Leżałam i obserwowałam grę promieni jutrzenki na porannym niebie. Rześki powiew wiatru muskał mi twarz. Zanim wstałam, ucięłam sobie jeszcze krótką drzemkę.

Różnica temperatury pomiędzy słońcem a cieniem była znaczna. Postanowiłam zasiąść na tym samym płaskim głazie i patrzeć na wodę sadzawki. Słońce grzało mnie tutaj i sprawiało,że czułam się coraz bardziej odprężona. Agnes dała mi ścisłe instrukcje, abym siedziała twarzą na północ – najspokojniej, jak tylko możliwe – i patrzyła w wodę, ucząc się z niej. Powiedziała, że ćwiczenie panowania nad sobą i skupienia uwagi jest dla mnie szczególnie ważne.

Początkowo rozpraszał mnie szum wiatru koronach drzew oraz niezliczone drobne owady. Siedziałam niemal bez ruchu, poruszając lekko palcem zanurzonym w wodzie, a moja jedyna towarzyszka była ważka przelatująca od czasu do czasu nad sadzawką. Wiatr marszczył powierzchnie wody. Zatrzymałam przepływający liść, uniosłam go nad wodą, a potem puściłam z powrotem. Gdybym była Narcyzem, to wiem, że byłabym skazana na śmierć.

Pomyślałam o Rudym Psie i opanowało mnie poczucie zupełnej bezradności. Nadal czułam się bezbronna, mimo iż wiedziałam doskonale, że był to z jego strony paskudny trik. Wielki katcina – nie potrafię opisać ekstazy, w jaką wprawiała mnie myśl o nim. Przede mną przeleciał ptak, a potem drugi, w przeciwnym kierunku. Jeszcze inny miotał się we wszystkie strony tuż nad wodą. Dobiegł z lasu krzyk godowy jakiegoś zwierzęcia.

Słońce, które było już wysoko, wydawało się przypiekać mocniej niż zwykle. Poczułam, że znów nie jestem sobą. Śniłam o wielkim katcina – marzyłam i myślałam już tylko o nim.

Czas – ogrom czasu – przepływał obok mnie w każdej sekundzie. Walczyłam ze sobą, by spojrzeć na wszystko nieco przytomniej. Leżałam wyciągnięta na rozpalonej skale i próbowałam wykroczyć świadomością poza moje fizyczne granice – powoli zanurzyć się w wodzie i zniknąć pod jej falującą powierzchnią. Poczułam się jak ryba w głębinach oceanu i po chwili zapadłam w ciężki sen. Miotałam się na słońcu śniąc, że pozwalam unosić się morskiej fali, nie mając żadnego wpływu na własny instynkt ani koleje mego losu.

Śniłam z otwartymi oczyma, że płynę bez najmniejszego wysiłku przez podwodne groty, trącając martwe kształty skał, jakby w błaganiu o znak. Przyglądałam się swemu odbiciu, dziwiąc się,że żyję, i traciłam to poczucie, gdy zbliżałam się do brzegu. Co rusz pojawiała się twarz Kokopelli, a ja próbowałam złapać ją w wodzie, po czym patrzyłam ze zdziwieniem na własne mokre, puste dłonie. Byłam istotą żyjącą poza miłością i poza nadzieją. Powróciłam do podwodnych grot, przywołując jakiegoś dalekiego boga. Przypomniałam sobie moje dawne dusze, zobaczyłam odległe ciągi zdarzeń i wszystkie

cierpienia, które przywiodły mnie tutaj. Zadawałam pytania duchowi morza, który był gdzieś głęboko we mnie. W wodnej toni był prapoczątek, odwieczna mądrość, radość i prawda. Woda przepływała miedzy moimi palcami, zmarszczki na wodzie powstawały i znikały, bąbelki i piana odpływały ode mnie. W zielonej toni był spokój. Powierzchnia wody stała się niebem i chmurami, a ja pozostałam samotna na brzegu.

Znienacka dostrzegłam cos kątem oka. Odwróciłam się powoli i spojrzałam prosto w nieruchome oczy grzechotnika. Był jakieś sześć stóp ode mnie. Uniósł głowę i mierzył mnie swoim niewzruszonym spojrzeniem. Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, a potem on zniżył spokojnie głowę, wyciągnął się na słońcu i zasnął., nie zwracając na mnie więcej uwagi.

Wpatrywałam się w niego, czy się nie poruszy, ale on leżał nieruchomo. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. A potem wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Ważka, która krążyła nad sadzawką od wielu godzin, nieoczekiwanie usiadła na łbie grzechotnika. Mignął rozdwojony język węża i ważka podfrunęła w górę, zawisła na chwilę nieruchomo ponad nim, a potem poleciała prosto ku mnie. Jej szybki lot sprawił, że uchyliłam się, ale ważka nieomylnie wylądowała na moim czole – dokładnie pomiędzy brwiami – i pozostała tam przez parę sekund, po czym odfrunęła w dół strumienia.

Domyśliłam się, że ta ważka była siostrą, na którą czekałam.

Ostrożnie wstałam i odeszłam parę kroków dalej. Zostawiłam tytoń w darze dla węża i ważki, w pośpiechu zabrałam moje rzeczy, zarzuciłam zawiniątko na plecy i ruszyłam szlakiem w drogę powrotną. Po chwili obejrzałam się za siebie – wąż nadal spał przy wodzie.

Było złociste, słoneczne popołudnie. W miarę upływu czasu i pokonywanej drogi zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, że moje pożądanie dla Rudego Psa minęło jak ręką odjął. Łzy wdzięczności spłynęły mi po policzkach i rzuciłam się biegiem, by jak najprędzej dotrzeć do chaty. Nie mogłam się doczekać, by opowiedzieć wszystko Agnes

Kiedy zobaczyłam z daleka chatę, zawyłam jak wilk, dając znać o moim nadejściu. Agnes wyszła na ganek i stała tam, uśmiechając się od ucha do ucha. Padłam w jej objęcia, wyciskałyśmy się gorąco, a potem weszłyśmy do środka. Osunęłam się na krzesło i wypiłam kubeczek wody.

Agnes zapytała , co się wydarzyło, a ja opisałam ze szczegółami moje przeżycia znad sadzawki.

- Proszę, wyjaśnij mi, co to oznacza – błagałam podekscytowana. – Wprost nie mogę uwierzyć, jak bardzo zmieniło to moja percepcję. Cóż to był za koszmar. – A potem dodałam: - Dopadnę Rudego Psa!

Agnes roześmiała się.

- Tak – odpowiedział. – Ta ważka jest twoją siostrą. Jest strażniczka i opiekunką Quetzalcoatla.

Wszystkie stworzenia, które zapadają w sen zimowy – jak niedźwiedź i wąż – Są zwierzętami śniącymi. Śpią długo i wówczas śnią. Twoja siostra ważka dostrzegła twoje zmartwienie i przeniosła siłę śniącego węża do oka twojej wizji wewnętrznej. To ona uwolniła cię od tej obsesji. To proste.

- Twoje wyjaśnienia nie wydają mi się wcale proste.
Ale na razie mi wystarczają.
- Myślę, że dobrze by ci zrobił kubek gorącej herbaty – powiedziała Agnes.
Skinęłam głową. Rozmawiałyśmy i chichotałyśmy, przygotowując razem kolację. To było wspaniałe uczucie – być z powrotem w domu.
- Co przez to rozumiesz?
- Powiedzmy, że jesteś pisarką i postanowiłaś zmierzyć się z Anais Nin, tą dziewczyną, o której mi opowiadałaś jako z twoją szlachetną przeciwniczka. Próbujesz ją pokonać w twórczości i mieć lepsze pomysły niż ona. W pewnym sensie jest ci potrzebna, żebyś mogła lepiej zobaczyć siebie. Nie chcesz, żeby została zniszczona – straciłabyś swój model. A więc czego szaman od ciebie oczekuje? Oczekuje, że przejmiesz jego moc, abyś mogła być godnym przeciwnikiem następnego szlachetnego wojownika.
- Jak się ma walka i konkurencja do bycia czyimś przeciwnikiem?
- Już ci mówiłam, że świat wszędzie wygląda podobnie. Konkurencja to brzydka siostra tej postawy. Tam, gdzie jesteś prawdziwym przeciwnikiem, tam nie ma nic do wygrania ani przegrania. Możesz tylko skorzystać. Ale jeśli zaczniesz myśleć, że ty i twoja przeciwniczka jesteście sobie potrzebne, to możesz wiele stracić. Nie możesz być zależna od osoby, która jest twoim przeciwnikiem. Możesz tylko zależeć od samej siebie. Nikt nie będzie ci pomagał. Na przykład heyoka widzi świat jako równowagę przeciwieństw, ale nie jako walkę. Stara się nie oddzielać zewnętrznego, słonecznego namiotu od namiotu księżycowego, wewnętrznego. Tak naprawdę nie da się z niczym konkurować ani z niczym wygrać.
- A można wygrać ze śmiercią?
- Nie, ale można się jej przeciwstawić. Współzawodnictwo jest egoistyczne i skierowane tylko na siebie, natomiast przeciwstawienie się czemuś jest szlachetne. –Jej oczy błysnęły. –Na przykład, czy da się współzawodniczyć z zimą?- zapytała.
- Nie, w żaden sposób – odpowiedziałam
- A jednak jej też możesz się przeciwstawić, i to skutecznie. Odnosi się to także do duchów. Jakiś człowiek wymyśla telewizję. Wszyscy współzawodniczą ze sobą, żeby zrobić lepszą, ale równocześnie honorują jedyność jego pomysłu, jego snu. Mogę tu siedzieć przez wiele dni i próbować znaleźć dla ciebie jakąś metaforę prawdy. Próbować cię bezskutecznie obudzić. Ale ty musisz chcieć – chcieć jeść i pić ziemię, słońce i wszechświat, żeby zrozumieć, że wszystkie te rzeczy są w tobie.
Agnes potrząsnęła głową. Moja depresja ustąpiła. Miałam ochotę wylegiwać się przez cały dzień i myśleć o tym, co powiedziała Agnes, ale ona nie zamierzała pozwolić mi na to.
- Chodź – zawołała. – Nałóż ten sweter. Idziemy na spacer.
Próbowałam oponować.
- Wstawaj – ponagliła mnie i pociągnęła za rękę, zmuszając do podniesienia się.
Wzięłam sweter.
- Dokąd idziemy? – spytałam, kiedy już wyszłyśmy na zewnątrz.
Wskazała kierunek spojrzeniem. Poszłyśmy ścieżką w stronę Zatoczki Umarłego.

Mgliste powietrze było chłodne i rześkie. Całun mgły spowijał jeszcze las i zarośla. Pod osłoną starych drzew wyrastały młode. Agnes skręciła nagle w bok. Podeszłą do młodego jesionu, przygięła go delikatnie i skinęła ku mnie, abym przyjrzała mu się z bliska.

- Zwykle to jest odpowiednie i takiego się szuka, ale my nie mamy dość czasu. To drzewko musiałoby schnąć tydzień albo dwa.

- Do czego ono służy? – zapytałam.- Używa się go na łuki? A może tarcze?

- Nie. Robi się z niego fajkę poznania. Zrobisz ją sama.

Nie mogłam sobie wyobrazić, że potrafię zrobić jakąkolwiek fajkę. Powiedziałam jej to.

- Po prostu patrz uważnie – odparła Agnes. Posłyszałam lekkie zniecierpliwienie w jej głosie.

Poszłam za nią we mgle z powrotem do chaty. Zanim weszłyśmy do środka, Agnes złapała zawieszoną pod okapem wysuszona gałązkę jesionu. Wyglądała podobnie do tamtej, tylko była już częściowo ostrugana. Agnes położyła ją na stole.

- Siadaj – poleciła mi bardzo oficjalnym tonem.

Szukała czegoś, stojąc do mnie plecami, a potem odwróciła się nagle i rzuciła w moją stronę nóż myśliwski, który wykonywał obrót w powietrzu. Wbił się w stół, w odległości niecałej stopy od mojej dłoni.

Wzdrygnęłam się.

- Nie uważasz – powiedziała. – Ostrugaj resztę kory. Ciągnij ostrzem równo, do końca.

- Dobrze. Teraz wytnij małe kółko na jednym końcu…o, takie. – Agnes zrobiła nacięcie, a potem oddała mi nóż. – Teraz zrób to samo, a ja zagotuję wodę i zaparzę herbatę.

Śledziła postępy mojej pracy przez dobre dwadzieścia minut, od czasu do czasu dając mi krótkie instrukcje. Potem podeszła do półki i zdjęła z niej piękny, kamienny cybuch. Pokazała mi, jak połączyć go z ustnikiem.

- A teraz Lynn – powiedziała, wręczając mi stary druciany wieszak do ubrań – weź to i wyprostuj.

Mocowałam się z wieszakiem przez następne dziesięć minut, używając kombinerek i pomagając sobie stopami w miękkich tenisówkach. Wreszcie drut został jako tako wyprostowany, a ja pokazałam moje dzieło Agnes.

- Rozgrzej go teraz w piecyku – powiedziała. Do czerwoności.

Zrobiłam jak kazała, trzymając drut przez gruby ręcznik, żeby się nie poparzyć. Wyjęłam rozżarzony drut z pieca, zastanawiając się, co mam zrobić.

- Trzymaj teraz mocno ustnik i przepychaj drut przez środek, tak żeby wypalić miąż. Właśnie tak. Widzisz, idzie całkiem łatwo, bo jest dobrze rozgrzany.

Rzeczywiście, drut wypalił przelot ustnika bez problemów.

- Całkiem dobrze – pochwaliła Agnes.- Odłóż teraz ten wieszak, usiądź i zacznij strugać, żeby ustnik był bardziej płaski.

Agnes uśmiechała się. Obie byłyśmy zadowolone. Postawiła przede mną małe krosna własnej roboty i kilka słoiczków różnokolorowych paciorków. Obok położyła kawałeczki skory, rzemyki, pióra i puch.

- Kiedy już skończysz struganie, ponawlekaj paciorki w taki wzór, jaki ci się spodoba, i ozdób nimi kilka cali twojej fajki. Wybierz także trochę piór i przymocuj w tym miejscu. – Stuknęła palcem w przednią część ustnika.

Pomysł szalenie mi się spodobał i bez reszty skupiłam się na tej pracy. Postanowiłam zrobić motyw błyskawicy z turkusowych, żółtych i czerwonych paciorków, a boki wzoru z granatowych. Tkwiłam nad stołem do późnego popołudnia, kiedy przez uchylone okno dobiegły do naszych uszu niewyraźne dźwięki fletu. Po chwili wpadła do środka Ruby, otwierając z impetem grzwi na oścież.

- Z July jest niedobrze… naprawdę źle – powiedziała do Agnes, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Muzyka za drzwiami była słaba, ledwo słyszalna.

Wstałam i wybiegłam na zewnątrz. July siedziała na ganku oparta plecami o ścianę chaty. Wyglądała na półmartwą – równie przerażająco jak Ruby. Cofnęłam się i zawróciłam. Ruby wyszła za mną, a ja miotałam się pomiędzy tą starą, szalona kobietą, a drugą, umierającą.

- Co mogę dla niej zrobić? Może cos podać? – rzuciłam przerażona .

- tylko jej ducha, to wszystko – warknęła Ruby opryskliwie.

- No, już dobrze Ruby- wtrąciła się Agnes, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Syczenie i plucie nic tu nie pomoże. Chodźmy zabawić się trochę. – Spojrzała na mnie. – Lynn, weź kurtkę. Pójdziemy dać Rudemu Psu potężnego kopniaka w tyłek. Rób wszystko tak, jak ci powiem, i trzymaj się na uboczu.

Postawiłyśmy jedzenie i wodę obok July, a same ruszyłyśmy truchtem ścieżką pod górę. Obie stare kobiety biegły jak młode dziewczyny. Dotarło do mnie w tym momencie, że udajemy się na jakąś konferencję z Rudym Psem.

- O Boże! – wrzasnęłam. –Rudy Pies…

Agnes i Ruby zatrzymały się i stanęły przede mną, a ja spróbowałam się opanować.

- Co my robimy? – zapytałam.

- Cicho idiotko – zgromiła mnie Agnes. – Chcesz żeby wszystko w promieniu stu mil trąbiło Rudemu Psu, że nadchodzimy?

- Nie – odparłam pełnym przestrachu szeptem.

Agnes i Ruby spoglądały na mnie z wściekłością. Ruby złapała mnie za ramię i ścisnęła. Drgnęłam z bólu.

- Nigdy nie gadaj. Wiesz, co chcesz zrobić, i wtedy uderzaj.

Znowu ruszyłyśmy biegiem i gnałyśmy tak, dopóki nie znalazłyśmy się w odległości około stu jardów od chaty Rudego Psa. Wówczas zwolniłyśmy i poszukałyśmy osłony.

Agnes pochyliła się ku mnie i szepnęła chrapliwie:

- Schowamy się obie za tymi drzewami. Wtop się w otoczenie i nie ośmielaj się ruszyć, zanim ci nie powiem.

Byłyśmy teraz trzydzieści jardów od domu. Dostrzegłam kątem oka, jak Agnes dała Ruby jakiś znak zza drzewa, a Ruby podbiegła do chaty, schyliła się i zebrała garść kamieni. Zawahała się chwilę, po czym zaczęła rzucać kamienie na blaszany dach. Każde uderzenie wywoływało straszliwy łomot.

Rudy Pies wysunął głowę przez uchylone drzwi.
- Kto robi ten cholerny hałas? – wrzasnął.
Ruby nie próbowała się kryć. Przeciwnie, zaczęła gulgotać, histerycznie jak rozjuszony indyk i dreptać w kółko po podwórku.
Rudy Pies wyszedł boso na ganek. Był tak samo rozczochrany i miał na sobie tę samą oliwkową kurtkę, co poprzednio. Ben i Drum wyzierali ostrożnie zza drzwi, ukryci za nim. Widziałam wyraźnie rude owłosienie na jego piersi. Spróbowałam odszukać w sobie, choć ślad tych uczuć, które niedawno jeszcze mną targały. Nie pozostało z nich prócz wstrętu.
- Ruby, do diabła, wynoś się z mojego terenu!-
ryknął znowu. Wszystko wokół zamarło od jego głosu, jakby powiało mrozem.
Ruby rzuciła następny kamień. Odgłos był taki, jakby ktoś zabębnił z całej siły w blaszany kubeł na śmieci.
- Ciesz się, że nie spaliłam ci chałupy! – wrzeszczała. Podniosła jakąś deskę i tłukła nią o stary, zardzewiały pług. – Ukradłeś moje nożyce do drutu i nie mów mi, że tego nie zrobiłeś.
- Nie ukradłem twoich nożyc, stara wiedźmo! –
wrzasnął Rudy Pies. – Zmiataj stąd do diabła!
- Pożałujesz, ty bękarcie. Zawołam indiańską policję i oni odbiorą ci moje nożyce.
- Tylko spróbuj, a zobaczymy. Powiem im, co tu wyprawiałaś.
- Nie odważysz się! – krzyknęła Ruby i rzuciła kolejny kamień, tym razem w okno. Uderzył w ościeże, odbił się i roztrzaskał szybę. – Nauczę cię kraść cudze nożyce do drutu!.
Nie wierzyłam własnym oczom i uszom. Naprzeciw siebie stali potężny czarownik i szamanka i skakali sobie do oczu o głupie nożyce do cięcia drutu. To nie miało sensu.
Ruby rzuciła pustą butelką w stronę ganku. Butelka uderzyła o kamienie podpierające ganek i rozbiła się w drobny mak. Szkło rozprysło się na wszystkie strony. Rudy Pies odskoczył do tyłu, a Ben i Drum zniknęli przestraszeni za drzwiami.
Ruby była wspaniała. Choć niewidoma, potrafiła ocenić dokładnie odległość od miejsca, w którym stała, do brudnych kamieni stanowiących fundament ganku Rudego Psa. Kawałki potłuczonego szkła ułożyły się ułożyły półkole, niemal dotykające jego stóp. Taka precyzja nie mogła być dziełem przypadku. Ślepota nie skazała jej na niedołężność – najwyraźniej nie była dla niej żadną przeszkodą.
Ruby przechyliła głowę lekko na bok, niczym stara wrona wypatrująca czegoś przed sobą. Jej matowe oczy były chłodne i nieruchome w szarym świetle zmierzchu.
- Wiem, że coś kombinujesz, Ruby! – krzyknął Rudy Pies i machnął ręką. – Wynoś się stąd i to już!
Wszedł do chaty, trzaskając za sobą drzwiami.
Dopiero teraz Ruby się rozszalała. Skrzeczała i wrzeszczała, biegała w kółko i rzucała kamień za kamieniem na blaszany dach chaty, czyniąc nieprawdopodobny hałas. W końcu drzwi otorzyły się gwałtownie i Rudy Pies wypadł znów na ganek. Był wściekły. Miał twarz czerwoną od gniewu, a rude włosy na głowie i brodzie sterczały potargane na

wszystkie strony. Mimo, że byłam dobrze ukryta, trzęsłam się ze strachu. Agnes wyglądała niemal jak drzewo, do którego się przytuliła.

- To mój dom i mój teren, Ruby. – A swoja drogą, co ty robisz tu, w rezerwacie? Dlaczego nie żyjesz z innymi białymi? Indianie nie mogą z tobą wytrzymać. Śmierdzisz, ty sprośny wasichu!

- Nie twój interes, gdzie mieszkam –pienił się Rudy Pies. – Mogę mieszkać w każdym cholernym miejscu, w którym mi się podoba.

- Oddawaj mi nożyce!

- Nawet gdybym jemioł, to bym ci nie dał!

- Spalę ci tę przeklętą chałupę!

- Tylko spróbuj, to będzie o jedną martwą staruchę więcej!

Drum i Ben chowali się za Rudym Psem, potakując skwapliwie jego słowom. Rudy Pies i Ruby zaczynali najwyraźniej tracić rozum z wściekłości.

- Wynocha stąd! – zawołał Rudy Pies. – Wszyscy mówią, że jesteś kompletnie stuknięta. I mają rację!

- Pocałuj mnie w dupę! – ryknęła Ruby w odpowiedzi.

Pomknęła chyżo na drugą stronę chałupy i wtargnęła do szopy z narzędziami. Z ogłuszającym hałasem zaczęła przewracać wszystko w środku. Mężczyźni, pod wodzą Rudego Psa, postąpili kilka kroków w jej stronę, nie opuszczając jednak ganku.

- Wiedziałam! – rozległ się krzyk z szopy. –

- Mam je!

Wyskoczyła z powrotem na podwórze, dzierżąc triumfalnie swoją zdobycz

— To są moje nożyce do drutu — powiedział Rudy Pies. — Kupiłem je w zeszłym roku w Brandon, na wyprzedaży. Nie ukradłem ich. — Znowu zrobił krok do przodu, ale nadal nie opuszczał ganku. — A poza tym to nie są nożyce do drutu, ty głupia stara jędzo. To są kleszcze. Drum, czy to nie są kleszcze?

— Noo — potwierdził Drum ochrypłym głosem. — Jasne, że tak. Pamiętam dobrze.

— Trochę szacunku dla mnie! — krzyknęła Ruby. — Nie jestem taka naiwna. Nie obchodzi mnie, jak się nazywają. Są moje!

— Ciekawe, po co takiej starusze nożyce do drutu, co? — warknął Rudy Pies.

— Chcę postawić wysoki płot dookoła mojej chaty, żeby tacy złodzieje narzędzi jak ty trzymali się z daleka.

— Oddaj te nożyce, albo...

— Albo co?

— Odbiorę ci je!

—To zupełnie w twoim stylu, odebrać starej kobiecie to, co jej przedtem ukradłeś.

—Ty stara... — zapienił się Rudy Pies i tupnął nogą.

Tymczasem Ruby maszerowała w stronę drogi, wyzywająco kręcąc biodrami i unosząc nożyce wysoko nad głową.

—Dalej! — krzyknął Rudy Pies do Bena i Druma. — Nie możemy pozwolić jej z tym uciec! — Jego twarz była teraz jeszcze czerwieńsza, a oczy żarzyły się wściekle. — Łapać ją!

Wszyscy trzej popędzili w pogoni za Ruby. Krzyczeli i wrzeszczeli, co sił w płucach. Drzwi chaty pozostały otwarte na oścież.

Spojrzałam w stronę Agnes, chcąc zapytać, czy możemy w czymś pomóc Ruby. Stała tam, a potem zniknęła, a ja odwróciłam głowę tylko po to, by ujrzeć ją znikającą wewnątrz chaty. Stało się to tak prędko, jakby Agnes wykonała jeden olbrzymi skok długości trzydziestu jardów i wylądowała bezgłośnie na ganku. Po chwili ukazała się ponownie, a ja miałam wrażenie, jakby częścią ciała przeniknęła przez fragment drzwi. Uśmiechała się i trzymała w rękach tykwę. Potem skoczyła przed siebie i po sekundzie zobaczyłam, że stoi już obok mnie.

Byłam tak przerażona, że zrobiło mi się niedobrze. Chciałam się pochylić i zwymiotować, ale Agnes poklepała mnie po ramieniu.

—To nic nie pomoże. Bądź wojowniczką! — rozkazała.

Pobiegłyśmy w kierunku chaty Agnes, szybciej niż kiedykolwiek w życiu zdarzyło mi się biec. Nagle zobaczyłem, że Ruby biegnie obok nas. Pojawiła się tak niespodziewanie, że ciarki przebiegły mi po plecach.

—Masz to? — spytała krótko, zwracając się do Anges.

—Tak — odpowiedziała Agnes zdyszana. Trąciła Ruby w bok małą, ozdobioną paciorkami tykwą.

Zarechotały zgodnym, diabolicznym śmiechem. Kiedy wpadłyśmy na podwórko przed chatą Agnes, poturlałyśmy się na ziemię. Chichotałam histerycznie.

—Szkoda, że nie widziałaś miny Rudego Psa, kiedy gonił za tobą — powiedziała Agnes do Ruby. — Ty sprycjaro. — Agnes znowu ryknęła śmiechem.

Biły się po plecach, poklepywały po ramionach i składały sobie nawzajem gratulacje. Po kilku radosnych podskokach ponownie zaczęły tarzać się ze śmiechu po ziemi.

W pewnej chwili przestałam się śmiać.

—Ruby, w jaki sposób udało ci się uciec?

—Pozwoliłam im myśleć, że mnie przestraszyli. Rzuciłam kleszcze na ziemię i uciekłam.

— Czy Rudy Pies nie zechce splądrować twojej chaty? — spytałam zaniepokojona.

Ruby i Agnes spojrzały na mnie uważnie.

—Nie, rozczarowałby się — odpowiedziała Ruby po namyśle. — Nie ma tam nic dla niego. Ja nie ograbiłabym jego chaty. Nie jestem kimś takim.

—Przecież właśnie to dzisiaj zrobiłyście — powiedziałam.

— Nie — odpowiedziała Ruby. — Po prostu odebrałyśmy coś, co należy do July. Duch człowieka jest jego własnością.

- Każde takie spotkanie z Rudym Psem to rzucenie wyzwania jego poczuciu władzy. Wiedz o tym, Lynn. ,

— Sama nie wiem — dodała Ruby. — Z czasem to się już robi nudne.

Patrzyłam na nie, czując mętlik w głowie. Roześmiałam się znowu.

Nagle, wszystkie razem, przypomniałyśmy sobie o July. Odwróciłyśmy się i spojrzałyśmy na nią. Nadal siedziała w tym samym miejscu. Obok leżał przewrócony kubek z wodą i odwrócony talerz. Dmuchała słabiuteńko w swój flet, w rytmie płytkiego oddechu. Jej oczy były zupełnie zmętniałe.

—Musimy jej go oddać — powiedziała Agnes. — Rozbudź jej odbicie w malowidle.

Pochyliły się obie nad July, podniosły ją i poprowadziły na środek podwórka. July była cicha i potulna.

Po krótkiej krzątaninie Ruby obróciła ją twarzą na zachód. Słońce zaszło już za horyzont, ale jego słabnące promienie rozświetlały jeszcze niebo. Ruby chwyciła July w pasie i poleciła jej, by stała nieruchomo. Agnes stanęła za nią.

Stare kobiety działały precyzyjnie i bez pośpiechu. Kiedy uznały, że wszystko jest w porządku, Ruby kiwnęła na Agnes. Agnes uniosła tykwę z tyłu, dokładnie nad głową July. Ruby nacisnęła na brzuch dziewczyny, a Agnes otworzyła tykwę. Posłyszałam krótki, donośny odgłos, przypominający wystrzał z pistoletu. Coś niczym cienkie pasemko dymu zawirowało nad czubkiem głowy July, po czym zostało wessane, czy raczej wciągnięte do środka przez prostą, srebrzystą nić, która wyłoniła się ze szczytu czaszki.

Po raz drugi tego wieczoru poczułam ból w żołądku.

—Przynieś koc dla July — krzyknęła do mnie Agnes.

Rzuciłam się do chaty i wróciłam z kocem zdjętym z łóżka Agnes. Ruby narzuciła go na ramiona dziewczyny.

Potem wzięły July za ręce i poprowadziły tam i z powrotem wokół podwórza, zachęcając cichym szeptem.

— Co się stało? — zapytałam.

- July właśnie wróciła — odpowiedziała Agnes po prostu.

—Już nigdy nie daj się nabrać temu cholernemu Rudemu Psu — surowym tonem powiedziała Ruby do Juły.

July ściskała dłońmi głowę. Była kimś zupełnie innym. Pochlipywała cichutko. Potem jej oczy rozjaśniły się i zobaczyłam, że się uśmiecha.

—Nie mogłam wrócić — odezwała się. — Czy macie coś do zjedzenia?

— Lynn, daj July trochę suszonej sarniny — powiedziała Agnes.

Weszłyśmy wszystkie razem do chaty.

— A co to tutaj robi? — zapytała July, podnosząc z ziemi swój porzucony flet.

—Och, nie — krzyknęła Ruby. Wyrwała jej flet z ręki, połamała na kolanie i wyrzuciła kawałki przez okno.

July wzruszyła ramionami.

Nagle dobiegł nas szum i trzepot skrzydeł. Duży czarny kruk siadł July na ramieniu i głośno zakrakał nad jej uchem.

Agnes odwróciła się do mnie.

— Kruk latał wszędzie i szukał zagubionego ducha July. To jej ptak. Teraz są znowu razem. Wszyscy są szczęśliwi.

July jadła zachłannie. Kiedy skończyła, zostałyśmy sobie przedstawione. Czułam, że wie wiele rzeczy, których ja jeszcze będę musiała się nauczyć.

W nocy, kiedy Ruby i July już poszły, leżałam cicho w śpiworze i zastanawiałam się, co teraz nastąpi. Wszystko wydawało się pozbawione sensu.

Jedno wiedziałam na pewno. Nadal pragnęłam ślubnego koszyka.

1

Pozostawiam cię wewnątrz zwierciadła stworzenia, lecą dotykającą kręgu świata.
Hyemeyohsts Stor

Agnes obudziła mnie, potrząsając łagodnie. Noc była czarna jak smoła. Kiedy zapaliła lampę, za oknem nie było widać nic, jakby ktoś zaciągnął za nim gęstą, czarną kurtynę. Wyczytałam z oczu Agnes, że za chwilę będzie mi dane zmierzyć się z wielkim wyzwaniem. Kiedy naciągałam dżinsy, poczułam drżenie palców.

— Rudy Pies będzie wściekły jak diabli, kiedy złapie cię w pobliżu swojej chaty — stwierdziła rzeczowo.

Poczułam ucisk w żołądku.

— Nie wątpię w to. .

— Szuka teraz okazji do zemsty. Musisz bardzo uważać. Zna milion różnych sztuczek. Widziałaś, co zrobił z July. Mało brakowało, a nie przeżyłaby tego. Nie wolno ci podejmować żadnej decyzji bez porozumienia ze mną. Możesz dalej obserwować, czy nie nadarzy się dobra okazja, ale nie wolno ci samej iść po koszyk. Zrozumiałaś?

— Chodzi ci o to, że nie wolno mi nawet ruszyć się w stronę chaty bez pytania cię o zdanie?
— Właśnie. Nie możesz pozwolić sobie na jeszcze jeden błąd.
—A jednak chcesz, żebym poszła tam i wypatrywała okazji?
— Tak. Ale nawet, jeśli Rudy Pies postawi koszyk przed twoim nosem, to zapytaj mnie, zanim spróbujesz po niego sięgnąć.
— W takim razie, po co w ogóle mam tam iść, skoro nie wolno mi wziąć koszyka?
— To będzie próba, czy nadajesz się na wojowniczkę i czy masz dość silnej woli. Nie pozwól, by odkryli twoją kryjówkę. Gra zrobiła się bardzo poważna. To sprawa życia lub śmierci.

Odetchnęłam głęboko i siadłam do skromnego śniadania, zmuszając się do przełknięcia kilku kęsów. Rozpamiętywałam te wszystkie dni, które spędziłam na szpiegowaniu pod chatą. Doszłam do wniosku, że cel raczej oddala się ode mnie, zamiast przybliżać.
— Dlaczego wysyłasz mnie tak wcześnie rano?
— Rudy Pies jest wielkim śpiochem i wstaje dość późno, więc masz pewne szansę, że nie wyczuje twojego nadejścia. Jest taki nieobliczalny, a ja ciągle o tym myślę... — Po raz pierwszy posłyszałam wahanie w jej głosie. Odsunęła krzesło, wstała i zaczęła przechadzać się wolno po izbie. — Mam nadzieję, że się nie mylę... Zupełnie nie wiem, co powinnaś teraz zrobić. Jedno pamiętaj:, jeżeli cię odkryją, chwyć się za kolczyk i zmykaj co sił, żeby ratować życie. Jesteś pewna, że nadal chcesz tego zwariowanego koszyka?
— Agnes, jak możesz o to pytać? Oczywiście, że chcę.
— Może już się starzeję, Lynn. — Pokręciła głową. —Byłoby mi dużo łatwiej, gdybyś po prostu wróciła do Beverly Hills.
— Agnes, co się z tobą dzieje?
— Nic, a zresztą idź, zdobądź koszyk i nie wracaj bez niego.
— Agnes, przecież przed chwilą powiedziałaś, żebym najpierw przyszła cię zapytać o zdanie.
— No tak, jeżeli tak ci powiedziałam, to pewnie lepiej będzie, jeśli to zrobisz...

Poczułam się dziwnie.
— Agnes, proszę, nie plącz mi teraz wszystkiego w głowie. Proszę!
Odpowiedziała coś w języku Cree.
—Agnes, nie rozumiem, co do mnie mówisz. Agnes, proszę, co ty wyrabiasz...— Zaczęłam wpadać w panikę.

Agnes nie odpowiedziała. Zaczęła dawać mi jakieś znaki, używając języka migowego. Podbiegłam i potrząsnęłam nią — wydawała się zupełnie bezwładna.
—Lynn! Lynn! — powiedziała nagle głośno. — Rudy Pies mnie atakuje. Zrób tak, jak kazałam ci na początku. Wróć. Mam nadzieję, że zastaniesz mnie jeszcze żywą...
— Co mam zrobić, jak mam ci pomóc?! — krzyknęłam.

—Możesz ruszać. Nie daj się zamordować.   Naciągnęłam gruby, brązowy sweter i złapałam parę kawałków sarniny. Napchałam mięsem obie kieszenie. Agnes uściskała mnie w drzwiach.
—Jestem syta, Mała Wilczyco. Uważaj na psy.   Najwyraźniej myliła mnie ze swoją córeczką sprzed lat. Nagle zachrypiała, złapała się za gardło i upadła na podłogę, kopiąc w powietrzu nogami.
—Łapcie tego przeklętego byka! — wrzasnęła. — Trzymajcie go!

W tym momencie ja również zaczęłam krzyczeć. Agnes skoczyła na równe nogi.
— I co, kochanie? Obudziłaś się już? — zapytała sarkastycznym, zupełnie przytomnym głosem.
— Tak — wyjąkałam. Gardło bolało mnie od krzyku.
— Dasz się nabrać na każdy stary numer, prawda, Lynn? Chciałam tylko sprawdzić, czy mogę ci zaufać, że w razie, czego potrafisz zadziałać niezależnie. Nie potrafisz.
— Chcesz powiedzieć, że to wszystko było grą, zwykłym żartem? — Nie potrafiłabym nawet powiedzieć, czy poczułam ulgę, czy wściekłość.
— Nie żartem. Próbą. Nie jesteś jeszcze gotowa.
— Nie wydaje mi się, żeby to było fair...
— Och, nie wydaje ci się, Biedna Krowo. Rudy Pies też się nie będzie tym przejmował, kiedy ci pokaże, gdzie raki zimują. Nie będzie się zastanawiał, czy to uczciwe, ponieważ jesteś taką gapą. — Agnes zmierzyła mnie wzrokiem. —   Oszukałam cię także po to, żeby trochę zachwiać twoją ufność. Może to być jedyna okazja, żeby zdobyć koszyk, a ja chcę, żeby ci się udało. Wróć, zatem szybko, żeby opowiedzieć mi, co zaobserwowałaś i o czym powinnam twoim zdaniem wiedzieć.
—Okay — odpowiedziałam.

Pożegnałam się z nią krótkim spojrzeniem i wybiegłam z chaty. Noc była bezgwiezdna, ale moje stopy same wiedziały, dokąd iść i jak stąpać bezgłośnie. Jedynym słyszalnym odgłosem było dalekie pohukiwanie sowy.

Gdy znalazłam się jakieś sto jardów od siedziby Rudego Psa, zaczęłam się czołgać i tak zbliżyłam się na trzydzieści, może czterdzieści jardów od chaty. Kiedy świt rozjaśnił horyzont, leżałam już starannie zagrzebana w grubym poszyciu, czekając i wypatrując czujnie. Około dziewiątej wyszedł z chaty Drum z blaszanym kubkiem w ręku. Usiadł na stopniach i zaczął siorbać swoją kawę.
— Cholerna baba — zaklął.
Uśmiechnęłam się, wspominając Ruby bombardującą ich domostwo kamieniami.

Drum pokręcił się chwilę po obejściu, po czym zawołał:
—Wstawaj, Ben, czas do roboty!
Ben coś odpowiedział, ale jego głos dobiegł do mnie zbyt przytłumiony, bym mogła zrozumieć poszczególne słowa. Po chwili ukazał się na ganku z kubkiem i dzbankiem kawy. Obaj zaczęli ziewać, przeciągać się, drapać i robić głupie uwagi.

Po jakimś czasie weszli do środka. Ukazali się znowu w dobrej godzinie. Zamiast zwykłych dżinsów mieli na sobie wyświechtane, stare kombinezony robocze. Wytaszczyli z szopy ogromny zwój drucianej siatki i poturlali go pod ganek. Potem wrócili po piły,

młotki, pręty, pudła pełne gwoździ, łańcuchy, haki i inne żelastwo, którego nie zdołałam rozpoznać. Zgromadzili przed gankiem ogromną kupę złomu, po czym stanęli przed nią i zaczęli wpatrywać się w nią z takim nabożeństwem, jakby stanowiła niezwykle złożony problem logiczny.
— Przeklęta starucha! — wykrzyknął Drum, pod nosząc ciężki młotek i rzucając nim z rozmachem o ziemię. — Gdyby nie ona, nie musielibyśmy tego robić!
— No — przytaknął Ben, jak zwykle lakonicznie.
— Chcesz rozwijać, a ja będę ciął, czy wolisz ciąć, a je będę rozwijał?
Ben podrapał się po głowie.
— Wszystko jedno, byle było zrobione...
—To wiesz, co? — powiedział Drum. — Ja przydepnę koniec siatki, a ty będziesz rozwijał i ciął.
— Nie sądzisz, że trzeba to najpierw pomierzyć? zapytał Ben.
Teraz z kolei Drum podrapał się po głowie.
— No tak. Nie pomyślałem o tym...
Potem ciągnęli losy, kto będzie trzymał, który koniec taśmy mierniczej. Drum przegrał.
—Trzydzieści dziewięć... nie, zaznacz lepiej czterdzieści dla pewności. Czterdzieści cali — oświadczył Drum, przykładając taśmę do framugi okna.
— Nie zapamiętam tego — zaprotestował Ben.
— No to przynieś ołówek, do cholery!
— Dobra. Nie musisz od razu wrzeszczeć.
Ben wrócił po kilku minutach z papierem i ołówkiem.
— Jak to było, Drum?
Mierzenie okien chaty ciągnęło się w nieskończoność. Żeby zmierzyć boczne okno, Ben musiał przynieść stołek. Do tylnego okna była już potrzebna drabina.
Co kilka minut pomstowali na Ruby. Przekleństwa zresztą towarzyszyły im w pracy bez przerwy, a najmniejsza nawet czynność wymagała długiej debaty. Mimo to nieodmiennie wybierali najbardziej karkołomny wariant postępowania.
—Przeklęte babsko! - zaklął znowu Ben, rozwijając starą, zardzewiałą i pogiętą siatkę z cienkiego drutu. Drum przytrzymywał siatkę, stojąc na jej końcu. Za każdym razem, gdy Ben odciął kawał siatki długimi nożycami, reszta drutu zwijała się gwałtownie, rozdrapując lub kalecząc mu ręce.
— Daj mi to — powiedział Drum, sięgając po nożyce. — Boże, co za bałwan z ciebie. Ja to zrobię.
Zrobił krok do przodu, zapominając, że stoi na brzegu siatki. Drut zwinął się, rozrywając mu kombinezon.
— Przeklęty drut! — wrzasnął. Jego głos zabrzmiał echem pomiędzy drzewami. Wsunął palec w dziurę w nogawce kombinezonu. — Zobacz, co ta wiedźma zrobiła!
Parę kolejnych godzin trwało przytwierdzanie krzywo odciętych fragmentów siatki do okien. Głowili się nad tym jak nad gigantyczną, geometryczną łamigłówką. Na koniec wyszedł z chaty Rudy Pies.

— Wy osły! Co tak długo tu robicie?! — ryknął. Ben i Drum skulili się pod jego spojrzeniem. — Przybijcie resztę gwoździ i kończcie tę robotę, ale szybko. Ruszcie się, do diabła!

Ben i Drum złapali ogromne młotki i zaczęli przybijać gwoździe na chybił trafił. Rudy Pies przyglądał im się przez chwilę, po czym pokręcił głową z obrzydzeniem.

—Miliardy ludzi chodzą po świecie, a mnie się musiało trafić dwóch takich matołków na uczniów.

Ben i Drum zaczęli stukać jeszcze prędzej.

—I żebyście mi założyli jeszcze tę kłódkę w szopie — rzucił Rudy Pies. — Radzę wam, żeby wszystko było gotowe do wieczora.

Młotki załomotały teraz z zawrotną szybkością.

— Nikomu nie można ufać w dzisiejszych czasach — powiedział Rudy Pies z ponurą miną. — Policzę się z nimi. Ta ich biała dziewucha zapłaci mi za to.

Zniknął w chacie, trzaskając drzwiami.

Wpatrywałam się w chatę, próbując przypomnieć sobie, jak dokładnie wyglądał ślubny koszyk na tajemniczej, starej fotografii. Starałam się wyobrazić go sobie tam w środku. Agnes wzmocniła w jakiś sposób moje dążenie do posiadania koszyka i prędzej oddałabym życie, niż zrezygnowała z niego.

— Auuu! — skrzywił się Drum. Upuścił młotek i wsunął obolały kciuk między kolana. Jęczał z bólu. — Ben, zrób coś.

Siatka, którą Ben właśnie przed chwilą przybijał, wygięła się, odskoczyła od okna i upadła na ziemię.

Wiedziałam, że ci trzej mężczyźni byli alchemikami najwyższej rangi, jednakże na planie fizycznym byli absurdalnie wprost nieudolni. Ben i Drum zdawali się skutecznie niweczyć wszystkie swoje poczynania. Ich działania stanowiły niekończącą się, zawiłą komedię pomyłek i niekompetencji, jak na złym, monotonnym filmie.

Rudy Pies wyglądał od czasu do czasu na zewnątrz klnąc i wygrażając. Kiedy stał nad nimi, zdarzały im się najbardziej groteskowe gagi: a to Benowi upadł na nogę łom, a to Drum stukał młotkiem z taką siłą, że rozbił szybę. Można było odnieść wrażenie, że współzawodniczyli ze sobą o to, który okaże się większym durniem.

Rudy Pies poddał się w końcu i z pogardą pozostawił Bena i Druma ich własnemu losowi. Późnym popołudniem ukończyli wszystkie okna. Potem przybili ogromne żelazne skoble do drzwi szopy i założyli łańcuch i kłódkę. Kiedy Drum stał, przypatrując się z zachwytem swemu dziełu, Ben przyciągnął potężną żelazną sztabę, stanowiącą część starego lewara, i rzucił ją z łoskotem na ziemię.

— Co chcesz z tym zrobić, do diabła? — zapytał Drum.

— A jak myślisz? Założę też kłódkę na kiblu. Nie zdziwiłbym się, gdyby Ruby wpuściła nam grzechotnika do dziury.

— Nie sądzę. Nawet Ruby nie wpadłaby na taki pomysł.

— A ja i tak założę kłódkę.

—Dobra, w każdym razie do szopy już nie wejdzie, chyba, że z laską dynamitu...

—Taak. Do sracza też nie wejdzie. — Ben pociągnął sztabę przez podwórze w stronę wygódki. — Nie pomożesz mi? — zawołał do Druma. — Też będziesz z niego korzystać.

Drum pomógł. Było już bardzo późno, kiedy skończyli robotę i odłożyli narzędzia do szopy.

— Popatrz na te okna — powiedział Drum.

— Noo... A kibel wygląda jak płatna toaleta — rozmarzył się Ben.

— Myślę, że zrobiliśmy dobrą robotę, co?

— Jasne. Powinniśmy się wynajmować na budowach. Kurczę, moglibyśmy zostać inżynierami, gdybyśmy chcieli.

Rudy Pies wyjrzał i podszedł do nich.

— Wy? Nie zaprojektowalibyście nawet karmnika dla ptaków.

Ben i Drum zamilkli zakłopotani. Rudy Pies pokręcił ze smutkiem głową.

Dusiłam się ze śmiechu. Wszystko trąciło farsą.

— Staraliśmy się bardzo, Rudy Psie — powiedział Ben urażonym tonem.

—A czego się spodziewałeś? Nie jesteśmy przecież cieślami.

Nie dosłyszałam już odpowiedzi Rudego Psa, bo wszyscy trzej weszli do chaty. Spróbowałam się trochę odprężyć po długim nerwowym napięciu. Przez jakiś czas nic się nie działo, a potem Rudy Pies, Drum i Ben wytoczyli się na zewnątrz. Zatrzasnęli drzwi i objęci ruszyli drogą, zataczając się i śpiewając.

Leżałam bez ruchu, póki nie zniknęli z pola widzenia. Uznałam, że wyruszyli do Crowley poszaleć. Byłam pewna, że się upili.

Nie odważyłam się ryzykować bez porozumienia z Agnes — zwłaszcza po doświadczeniach tego poranka. Pomknęłam, co sił w nogach i wtargnęłam jak wicher do chaty. Przez dłuższą chwilę nie mogłam nic wykrztusić, bo zabrakło mi tchu. Agnes siedziała na krześle i spoglądała na mnie z ciekawością.

— Agnes — powiedziałam w końcu z przejęciem. —Wygląda na to, że wyszli na dłużej. Ruszyli do miasteczka. Zataczali się i śpiewali. Byli pijani.

— Z pewnością — orzekła Agnes, podnosząc się i z krzesła. — Teraz masz okazję. Uważaj, żeby cię nie oszukali. Odwagi, Lynn. I pamiętaj o wszystkim, czego cię nauczyłam. Biegnij prędko i skradnij koszyk.

Wyszłam nie zwlekając. Było ciemno, ale przymglony księżyc świecił na granatowym, bezchmurnym niebie. Zatrzymałam się jak zwykle w odległości około czterdziestu jardów od chaty Rudego Psa. Nigdzie nie dostrzegłam znaku życia. W domu też było ciemno. Dygotałam z przejęcia. Podkradłam się bliżej i przyklękłam za jakimś krzakiem. Poczułam zimną, wilgotną ziemię pod kolanami. Potem posunęłam się kawałek dalej i znalazłam osłonę za czymś, co wyglądało na rosochaty pień drzewa.

—Witaj, kochanie — powiedział nagle Drum. Krew zastygła mi w żyłach. Zrozumiałam, że trzymam go za nogę. Drum upodobnił się w mroku do uschniętego drzewa — przechylił się na bok i rozłożył groteskowo ręce. W ciemnościach nie można go było odróżnić od pobliskich krzewów. Puściłam go i odskoczyłam przerażona.

Druga niewyraźna sylwetka majaczyła po mojej prawej stronie, a trzecia z tyłu. Byłam otoczona.

— Panienko, zabieraj stąd swój tyłek, i to prędko, albo powieszę go sobie na ścianie. — To był głos Rudego Psa.

Trzy postacie ruszyły ku mnie równocześnie, a ja wrzasnęłam i rzuciłam się do ucieczki, słysząc za sobą tubalny śmiech Rudego Psa. Zaczepiłam stopą o korzeń i wywinęłam koziołka. Zerwałam się natychmiast i pognałam dalej na złamanie karku w kierunku chaty Agnes.

— Łapać ją! — Słyszałam okrzyki za sobą. — Tam! Ben i Drum poczęli rzucać za mną kamieniami. Kamienie były duże i padały blisko mnie. Każdy z nich mógłby z łatwością rozłupać mi czaszkę. Obaj pękali ze śmiechu.

Biegłam kamienistą ścieżką aż do utraty tchu. Dopiero, gdy upadłam pod drzwiami, dotarło do mnie, że niebezpieczeństwo zostało daleko za mną.

— Oszukano mnie! — krzyknęłam. — Mało brakowało, a by mnie zabili!

Agnes roześmiała się.

— Nie zawracaliby sobie tym głowy, a to, dlatego, że twoja próba była taka śmieszna.

Chciało mi się płakać.

—Dla mnie nie było w tym nic śmiesznego. W oczach Agnes zauważyłam rozbawienie.

—Wiedziałam, że Rudy Pies zastawia na ciebie pułapkę — powiedziała.

—Wiedziałaś o tym i mimo to pozwoliłaś mi tam pójść?

— Tak, miałam ochotę to zobaczyć. Kiedy powiedziałaś mi, że byli pijani, od razu wiedziałam, co kombinują. Czarownicy nigdy nie piją, chyba, że udają pijanych, aby kogoś zwieść. Musiałam im pokazać, jaka jesteś słaba, żeby ich z kolei oszukać. Zmyliłaś ich, wpadając w ich pułapkę. Nie mają już dla ciebie żadnego respektu. To dobrze. Nie będą czuli potrzeby, żeby się chronić przed tobą. — Nalała filiżankę herbaty i pchnęła w moją stronę. — Usiądź — powiedziała. — Teraz już nic ci nie grozi. Pij. Naciesz się gorącą herbatą. Wypiłam kilka łyków.

—Widzisz, Lynn — mówiła dalej — ci faceci myślą, że jesteś zwariowaną, głupią kobietą i nie możesz nikomu zagrozić. Myślą, że cię zawstydzili i uciekniesz stąd. Dopóki tak myślą, są słabi. To najlepszy moment. Wielu ludzi traci z oczu wizję, za którą podąża, ale mam nadzieję, że ty jesteś twarda. Musisz być łowczynią, wojowniczką. Pokaż nam wszystkim, co znaczy odnaleźć sen. Wracaj i obserwuj ich przez resztę nocy. Twoje dążenie jest przemożne. Przybyłaś tu, aby odnaleźć swoją drogę. Odnalazłaś ją, więc musisz teraz wziąć koszyk.

Agnes wstała od stołu i podeszła do komódki. Po chwili wróciła ze swoim woreczkiem z lekami i moją indiańską suknią oraz mokasynami z koźlej skóry.

—Nałóż te rzeczy — powiedziała. — Nie przynieś im ujmy. Są pełne kobiecej siły.

Rozebrałam się pośpiesznie. Powiało chłodem, ale gdy nałożyłam suknię, natychmiast poczułam rozchodzące się po ciele ciepło. Dotyk koźlej skóry był delikatny jak pieszczota.

Agnes sięgnęła po woreczek z lekami.

—Wyjdźmy na zewnątrz — powiedziała. — Zabierz koc. Wzięłam koc i wyszłam za nią przed chatę. Kazała mi rozłożyć koc na ziemi i wygładzić wszystkie fałdy.

— Siadaj — powiedziała surowo.

Siadłyśmy po przeciwnych stronach koca. Agnes rozwiązała rzemyki woreczka, rozwinęła skórę i pokazała mi zawartość. Wyjmowała i układała każdą rzecz po kolei — liczne żółte, czarne i czerwone tasiemki, wysuszone kwiaty, kawałki kwarcytów, strzępy włosów, a może skalpy, sowi szpon, kilka maleńkich woreczków zdobionych paciorkami i starannie związanych, oraz wiele innych rzeczy, których nie zdołałam rozpoznać.

Agnes pochyliła się i wpięła dwa sowie pióra w moje włosy.

— Czy któraś z tych rzeczy szczególnie do ciebie przemawia? — zapytała, wskazując na rozłożone na kocu przedmioty.

— Nie wiem.

Poczułam nagły przepływ siły z czegoś, co wyglądało jak kamień o bardzo nierównej powierzchni.

— To — pokazałam palcem. Agnes skinęła głową z aprobatą.

— To jest dziadek. Gałka peyotlu. Ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Sama często czuję jej siłę.

Kiedy tak lustrowałam zawartość woreczka, moją uwagę przyciągnęła oddarta połówka dwudziestodolarowego banknotu.

—Skąd to masz?—zapytałam osłupiała. Przypomniałam sobie moją wyprawę do Gwatemali i młodego Indianina, który przedarł otrzymany banknot na dwie części. Nadal miałam moją połowę.

—To przełamany pieniądz z południa, który zapowiedział twój przyjazd.

Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy.

Agnes wzięła małą fajeczkę i wręczyła mi. Chwyciłam palcami delikatny ustnik. Ułożyła teraz cztery orle pióra w koło, lotkami do środka. Ich końce niemal się stykały.

— Każde pióro oznacza jeden kierunek świata — wyjaśniła. — To znak, że jesteś w centrum.

Podałam jej fajkę. Nabiła ją żółtym, grubym tytoniem, który wyjęła z jednego z małych, ozdobnych woreczków. Zapaliła ją i wypuściła kilka obłoczków dymu.

—Nasyć się tym dymem, to twój przyjaciel — powiedziała i przekazała mi fajkę. — Wciągaj go głęboko i pocieraj brzuch.

Fajka była ciepła i gładka jak polerowana kość. Gorzkosłodki dym wywoływał zawrót głowy.

— Chwyćmy tę fajkę razem. Przodkowie są z tobą i pomogą ci w spełnieniu twojego snu. Ten dym-przyjaciel jest gościem z płaczącego tipi starej kobiety, która rozmawia z różami.

Kiedy to mówiła, jej twarz jaśniała. Głos brzmiał łagodnie i kojąco. Czułam ucisk w uszach, niczym ciśnienie sprężonego powietrza. Wydawało mi się bardzo ważne, by powiedzieć Agnes, że ją cenię i kocham.

Miałam wrażenie, że mogłabym jeść ten dym, który przypominał swoją konsystencją jakąś delikatną, jedwabistą substancję. Agnes jawiła mi się chwilami jako osiemnastoletnia dziewczyna z długimi, opadającymi na plecy warkoczami. Próbowałam powiedzieć coś o moim widzeniu, ale wszystkie myśli zapadały się i znikały gdzieś

głęboko w moim wnętrzu. Siedziałam na tym kocu przez całą wieczność. Miałam wrażenie, że owa chwila trwać będzie w nieskończoność.

Agnes wyjęła rozżarzoną fajkę z mojej ręki.

— Ta fajka szamanów służy już od tysiąca lat, a słodkie ziele, które w niej palimy, to ziele tajemne. Jego duch jest kobietą. To dar dla wojowniczki, która jest w tobie. Ma cię uczynić silną w walce.

Agnes wstała i dała mi znak, żebym zrobiła to samo. Moje ciało zareagowało natychmiast, jakby powodowane swoją własną — nieznaną mi — wolą.

— Biała pani z północy, która mieszka w lasach i włada wszystkimi zwierzętami, słucha nas teraz. Są też tutaj źli szamani, którzy chcą ukraść moc z twojego miejsca, gdzie krzyżują się drogi heyoka. Dzięki temu dymowi będziesz mogła ich zobaczyć. Mierzą długimi, ostrymi strzałami w twoje siostry. Żywią się twoimi snami, nie licząc się z twoim głodem. Ich woreczki zawierają złe leki, a ich serca są także złe.

Agnes tupnęła w ziemię przed sobą.

—Zrób to samo — poleciła. Tupnęłam w identyczny sposób.

— Moja córko — powiedziała. — Moja przebiegła wilczyco. Nadszedł czas, byś spojrzała na południowy wschód, gdzie przebywają wielcy wodzowie pokoju. Kobiety były tam pierwsze. Czas, żeby kobieta znów tam dotarła, by zapanowała równowaga. Tę fajkę trzeba trzymać równo nad ziemią. Moje serce będzie syte, jeśli tego dokonasz.

Wyjęła z torby garstkę czegoś, co wyglądało jak mąka, i sypnęła na mnie. Sięgnęła potem za pazuchę i wyciągnęła spomiędzy piersi nóż w pochewce zrobionej z białego, zajęczego futra. Wysunęła go z pochwy. Miał klingę ciosaną z krzemienia. Agnes rozwarła dłoń i nakłuła ostrzem opuszkę kciuka.

Krew spłynęła w zagłębienie dłoni, na przegub, a potem zaczęła kapać na koc. Przeciągnęła naciętym kciukiem wzdłuż czubka mojej głowy, aż do granicy włosów na czole. Poczułam wilgoć. Uniosła potem rękę i trzymała ją w górze, niczym w geście pozdrowienia.

—Krew, która barwi twoje czoło, to krew szamanki. To dobra krew ze słodkiej rzeki mojego ciała. Moja krew to krew wszystkich kobiet. Jestem ramieniem heyoka i ja to mówię. Twoja czerwona droga łączy wszystkie nasze serca. Sprawia mi radość, że mogę wyznaczyć twoją drogę.

Podała mi nóż i pochwę. Nóż wyglądał teraz na zrobiony z kości, a nie z łupanego krzemienia. Był bardzo ostry.

—Przypnij go do pasa. Ten nóż jest święty, przyniesiony z tamtego świata. Jeśli uda ci się dotrzeć do koszyka, jest to jedyny nóż, który zdoła przeciąć włókna. Zrozumiesz, o czym mówię, kiedy już tam się znajdziesz

Schowałam nóż i przytroczyłam go do pasa.

— Teraz usiądź tu — pokazała Agnes. — Na tym kocu. Bądź cicho i nie ruszaj się. Czuję, że tam w ciemnościach jest wielka biała pani z północy. Jeśli rzeczywiście zostałaś wybrana, by to zrobić, ona wyśle jakieś zwierzę,które przemówi do ciebie. Nie bój się niczego – może wysłać sarnę albo borsuka, albo nawet skunksa. Możesz tu pozostać aż do wschodu słońca. Jeśli nic się nie wydarzy, ruszaj mimo wszystko. Ale

jeżeli pojawi się jakieś zwierzę, to powinnaś uznać, że spotkało cię podwójne szczęście, że wieczna prorokini uczyniła cię świętą jak ona sama.

Agnes zawiązała swój woreczek z lekami. Kiedy uświadomiłam sobie, że zamierza odejść, powróciły moje najgorsze obawy.

— Ależ Agnes — powiedziałam. — Ci trzej nigdy nie opuszczają swojego terenu.

Spojrzała na mnie.

— Lynn, będziesz musiała jakoś sobie poradzić. Wymyślisz coś, kiedy będziesz na miejscu. Nie myśl o tym, bo twoja moc uleci. Teraz jesteś wypełniona mocą, widzę to .

Nie czułam się wypełniona. Zastanawiałam się, czy przypadkiem dym-przyjaciel nie odebrał mi resztek dzielności .

— Agnes — zaczęłam błagać.

— Zrobiłam dla ciebie wszystko, co mogłam zrobić Posiedź tu jakiś czas. Dym-przyjaciel powiedział mi, że północna pani, która błyszczy w błękitnym świetle, właśnie się zastanawia, czy nie posłać ci swojego kochanka, żeby cię pocieszył. — Wzruszyła ramionami. — Ale to wszystko zależy od niej. Pamiętaj, kiedy będziesz używać noża, tnij prędko.

Agnes odeszła, zostawiając mnie na kocu. Noc była ciemna, a mrok gęstniał coraz bardziej. Zamknęłam oczy. Posłyszałam szelest zarośli za plecami. Coś pomrukiwało, i to całkiem niedaleko. Z lewej strony dobiegł mnie odgłos stąpania miękkich łap — jakiegoś dużego zwierzęcia. Słyszałam teraz sapanie i poczułam silny piżmowy zapach. Zamierzałam właśnie spojrzeć w tę stronę, kiedy stworzenie to zanurzyło mordę w moich włosach. Ku mojemu przerażeniu polizało mnie po szyi. Miało wąsy, a jego język był szorstki.

Otworzyłam oczy i ujrzałam głowę rysia — tuż przy mojej twarzy. Pysk miał szeroko otwarty i dyszał. Zaczął mruczeć, a ja pogłaskałam go. Poczułam węzły mięśni pod jego skórą. W pewnej chwili uniósł się i oparł dwiema łapami o moje ramiona, tak, że spojrzałam prosto w jego zielone oczy, po czym odskoczył i radośnie obiegł parę razy wokół mnie. Po chwili zmienił kierunek i zaczął krążyć w przeciwną stronę, wreszcie zatrzymał się, przeciągnął i wydał głęboki pomruk.

— Jesteś piękny — powiedziałam.

Ryś był zwierzęciem, o którym Agnes opowiadała mi wcześniej. Ruszył nagle ku mnie i — przebierając przednimi łapami w powietrzu — przeskoczył prosto ponad moją głową. Odwróciłam się w ostatniej chwili, by zobaczyć, jak znika w gęstych zaroślach.

Pod chatą Rudego Psa doczołgałam się do dogodnego punktu obserwacyjnego i położyłam się na ziemi, przysypując liśćmi i trawą. Czekałam.

Wzeszło słońce i rozszczebiotały się ptaki. Pojawiły się skaczące i fruwające owady, a po moich dłoniach zaczęły pełzać maleńkie mrówki. Motyle przelatywały nad podwórkiem i wiadomo było, że coś się dziś wydarzy — dobrego lub złego. Instynktownie sposobiłam się do walki.

Z wnętrza chaty dobiegły niewyraźne głosy. Miałam wrażenie, że moja percepcja uległa wyostrzeniu. Na ganku pojawił się Rudy Pies. Zauważyłam, że ptaki natychmiast umilkły.

— Drum, chodź tutaj! — krzyknął.
Drzwi otworzyły się po chwili i wyszedł Drum z kubkiem kawy w ręku.
— Co? — zapytał.
— Podaj mi tę laskę ze szpikulcem. Nie pomyl ze zwykłą laską. Przyniosę trochę dzikiej rzepy. Będzie na kolację.
Drum cofnął się i wrócił z laską. Rudy Pies wziął ją i poszedł w kierunku zachodnim, ku wzgórzom. Wkrótce zniknął za drzewami. Drum usiadł na schodkach, żeby dopić kawę. Ben otworzył z impetem drzwi i pobiegł do wygódki.
— Dlaczego się tak śpieszysz, Ben?
—Muszę — odpowiedział Ben, otwierając niedawno założoną kłódkę. Wszedł do środka i zamknął drzwi.
Padło jeszcze kilka słów, których nie dosłyszałam. Drum podreptał do szopy.
—Pośpiesz się — rzucił przez ramię. — Mnie też się chce.
Drum otworzył drzwi do szopy i zniknął wewnątrz. Słyszałam, jak przerzuca jakieś żelastwo i przeklina Ruby. Po chwili wyleciała na zewnątrz siekiera o długim trzonku. Za nią łańcuch. Drum grzebał dalej w środku, najwyraźniej szukając jeszcze czegoś.
To było to!
Skoczyłam na równe nogi i pomknęłam ku szopie. Moje ruchy były szybkie i pewne. Wiedziałam doskonale, co zamierzam zrobić. Zatrzasnęłam drzwi i błyskawicznym ruchem założyłam kłódkę, zamykając w środku Druma z jego narzędziami. Podniosłam siekierę i łańcuch i biegiem pokonałam dwadzieścia pięć jardów dzielących mnie od wygódki.
— Hej! — krzyczał Drum, bębniąc pięściami w drzwi i szopy. — O co chodzi? Wypuść mnie!
Miałam takie uczucie, jakbym poruszała się w zwolnionym tempie. Wiedziałam, że nie zdołam szybko zamknąć dziwacznie zamontowanej na drzwiach sztaby, więc owinęłam prędko wygódkę łańcuchem dookoła, zawiązałam łańcuch i zaklinowałam go trzonkiem siekiery.
Teraz Ben zaczął łomotać z wnętrza wygódki.
— Zaraz cię wpuszczę! Po co się wygłupiasz?
Obaj wrzeszczeli i rąbali pięściami w ściany, a ton ich głosów zdradzał narastającą wściekłość.
Chwyciłam nóż i podbiegłam do chaty. Drzwi były otwarte. Moje oczy musiały przywyknąć do mroku i dopiero po chwili go dostrzegłam. Koszyk, doskonały koszyk ślubny, stał na stole w rogu izby. Wyciągnęłam rękę, żeby go zabrać.
Nagle posłyszałam głos Rudego Psa. Zmusiłam się do uniesienia noża i w tym momencie drzwi chaty otworzyły się na oścież. Stała w nich... Agnes! Czyżbym miała halucynacje?
— Agnes, co ty tu robisz? Wszystko psujesz.
— Oddaj mi nóż — zażądała. — To nie ten koszyk. Prawdziwy koszyk jest ukryty. Rudy Pies znowu cię wywiódł w pole. — Postąpiła krok w moim kierunku.

—Nie ruszaj się, Agnes! — wrzasnęłam histerycznie. Trzymałam nóż wymierzony w jej stronę. — Stój tam, gdzie stoisz! — Moje ręce drgały spazmatycznie.

Zawsze robiłam to, czego Agnes ode mnie żądała, ale tym razem coś było straszliwie nie tak! Czułam, że działa na mnie odpychająco. Miałam wrażenie, jakby nagle cały wszechświat obrócił się przeciw mnie. Mimo to wiedziałam, że nic mnie nie powstrzyma. Nawet Agnes.

— Agnes, spójrz na mnie.

Agnes powoli podniosła na mnie wzrok. Jej oczy były okrutne i zawzięte. To nie były jej oczy. Poznałam, że należą do Rudego Psa. Chyba krzyknęłam ze strachu.

W tejże chwili koszula i mackinaw zwisły na nim jak na strachu na wróble, a ze ślubnego koszyka wybiegły w jego stronę niezliczone świetliste włókna. Rudy Pies był połączony z koszykiem nitkami światła. Jego ciało marszczyło się i falowało. W pewnym momencie sprawiało takie wrażenie, jakby składało się z ogromnej masy drucianych kabłąków, z której zaczęła przezierać powoli twarz rudowłosego mężczyzny. Równocześnie rozpływała się twarz i postać Agnes. Kiedy krzyknął, abym odstąpiła od koszyka, jego głos był już niskim głosem mężczyzny.

—Jak śmiesz tu przychodzić! — zagrzmiał. Wyglądał jak szaleniec, pełen pogardy i poczucia wyższości.

Cofnęłam się i przytuliłam koszyk do brzucha. Jednym kopnięciem przesunęłam stół, zastawiając się nim przed Rudym Psem. Zaczęłam przecinać twarde świetliste włókna z siłą, której istnienia nawet w sobie nie podejrzewałam.

Rudy Pies wbił we mnie wzrok, zgarbił się, a jego głowa zaczęła chwiać się w przód i w tył, jak głowa pijanego. Zbierał siły. Jego postawa przypominała postawę rozjuszonego byka, który zbiera się, by zaszarżować. Każde cięcie nożem było teraz walką o życie. Przyciskałam koszyk coraz mocniej do ciała, przyciągając ku sobie przecięte włókna. Czułam przenikające mnie gorąco i niezwykły przypływ energii.

—Nie wiesz, co robisz. Jeżeli mnie odetniesz, zmienisz równowagę sił. Nie rozumiesz... — Chwiał się na boki, jakby tańczył jakiś taniec mocy. — Nie wierz Agnes. Ona kłamie.

—Nie, Rudy Psie. To ty jesteś kłamcą! — krzyknęłam, przecinając następne włókna. Niewiele ich już zostało.

Rudy Pies pochylił się nagle do przodu, sięgnął ręką w głąb pieca i wyjął stamtąd garść rozżarzonych węgli. Z jego gardła wydobył się nieludzki krzyk. Cisnął we mnie żarem i zaatakował. Nadlatujące ku mojej twarzy i płonące węgle wyglądały jak ogniste kule. Niektóre i z nich dosięgły celu. Krew z rozciętego czoła zalała mi oczy. Zachwiałam się, ale zdołałam przeciąć ostatnią nić. Poczułam silny opór pod nożem. W tejże chwili wielkie cielsko Rudego Psa zwaliło się na mnie. Zdążyłam i tylko osłonić ramionami koszyk, po czym runęliśmy na podłogę. Nagle poczułam, że jego ciężar zelżał, a potem ustąpił. On sam stał się migotliwym kształtem unoszącym się tuż nade mną. Zerwałam się na równe nogi i odskoczyłam na bok. Światło rozpraszało się, a Rudy Pies zdawał się rozpływać w tej przerażającej poświacie. Jęczał uwięziony wewnątrz niej. Jego skóra obwisła, jakby była siecią zarzuconą niedbale na szkielet. Rudy Pies skręcał się i kurczył.

Marszczył się i starzał. Patrzyłam z przerażeniem, tuląc do siebie ślubny koszyk. Potem dziwne światło zniknęło, a przede mną stała tylko zgarbiona postać siwowłosego starca.

Odwróciłam się i wyszłam z chaty. Było po wszystkim. Może i byłam stuknięta, ale liczyło się jedno — miałam swój koszyk. Czułam go. Był jak żywa istota, niczym zwinięty wąż, a ja poczułam, że jego ciepłe sploty drgnęły nagle w moich ramionach. Spojrzałam w dół i doznałam takiego wrażenia, jakby jego wspaniała forma wymykała mi się z rąk. Co się działo? Miałam wrażenie, jakby część koszyka została wchłonięta przez moje ciało, jakby zniknęła w moim splocie słonecznym. Koszyk zachował jednak swój — niezależny od mego ciała — kształt. Trzymałam go w rękach.

Krew spływała nadal po mojej twarzy i pomyślałam przez chwilę, że nie mogę wykluczyć halucynacji, spowodowanych uderzeniem w głowę. Nie przestawałam zerkać na koszyk, jakby chcąc się upewnić, że go nie zgubiłam. Wówczas pojawiło się nowe doznanie: poczułam się tak, jakbym biegła gdzieś wyżej — ponad sobą. Całe moje ciało zaczęło dygotać i poczułam fale drgawek przebiegające w górę i w dół kręgosłupa. Nie wiem, jak długo trwała ta ekstaza. Na koniec jakieś wspaniałe światło wypełniło mój umysł i całe moje jestestwo ogarnął błogi spokój. Strach minął.

Już nie pamiętam, jak dotarłam do chaty, ale przypominam sobie szeroki uśmiech, który pojawił się na twarzy, Agnes, kiedy mnie zobaczyła.

— Oddaj mi nóż — powiedziała.

Odpięłam nóż od pasa i podałam go Agnes. Wsunęła go za koszulę.

Zemdlałam. Agnes zdążyła mnie podtrzymać, zanim upadłam na ziemię. Kiedy odzyskałam przytomność, leżąc na łóżku, było już ciemno. Agnes nacierała mi brzuch i głowę jakąś nieprzyjemnie pachnącą maścią. Splot słoneczny bolał mnie bardzo.

Płonęły lampy naftowe. Na zewnątrz siedziały Ruby i July, i śpiewały jakąś pieśń w języku Cree. Agnes przyglądała się z uwagą mojej twarzy.

—Gdzie jest koszyk, Agnes? Chciałabym go zobaczyć.

—Jest razem z twoimi rzeczami. — Agnes podeszła do komódki i podniosła koszyk, abym mogła zobaczyć go w całej okazałości. Potem podała mi go ostrożnie.

— Pamiętaj, że teraz ty jesteś strażniczką koszyka. Należy do ciebie i wszystkich kobiet. To, co było w nim święte, przebywa teraz w tobie. Otrzymałaś to, po co tu przybyłaś.

Potaknęłam skinieniem głowy, sama zdziwiona własnym niezwykłym samopoczuciem. Mogłam je porównać jedynie do uczucia, jakiego doznawałam, będąc w ciąży. Czułam obecność życia w sobie.

— Za dwa, trzy dni będziesz zdrowa. — Agnes obdarzyła mnie znowu ciepłym uśmiechem. — A tak przy okazji, mam coś jeszcze dla ciebie. Nadszedł czas świętowania, czas wizji.

Kiedy usiadłam na łóżku, Agnes zdjęła z półki dużą, ozdobioną paciorkami torbę do fajki. Była obszyta wilczym futrem. Łzy zakręciły mi się w oczach ze wzruszenia. W torbie była moja fajka, nad którą się tak biedziłam wcześniej, ale już całkowicie wykończona, ozdobiona i złożona.

— Masz teraz własną fajkę — powiedziała Agnes z błyskiem w oku. — Pal ją z dumą. To kobieca fajka, święta fajka. Zawiera w sobie prawa wszechświata — wszystko, czego się

musisz jeszcze nauczyć. Twoja nauka już się rozpoczęła. Możesz teraz zacząć widzieć świat takim, jakim naprawdę jest.

EPILOG

Po doświadczeniach opisanych w tej książce powróciłam do Beverly Hills. Widywałam się z tymi samymi, starymi przyjaciółmi i odwiedzałam te same, dobrze mi znane miejsca, ale wszystko wydawało mi się bladym cieniem wspomnień, jakie o tych ludziach i miejscach zachowałam.

Obracałam się w tym świecie przez kilka tygodni, ale nie mogłam już dłużej wytrzymać. Nic nikomu nie mówiąc, kupiłam bilet na samolot i poleciałam do Kanady, żeby zobaczyć się z Agnes. Kiedy weszłam do chaty, Agnes siedziała na podłodze. Usiadłam naprzeciw niej i dałam jej tytoń — karton amerykańskich papierosów. Wzięła je bez słowa i położyła obok siebie na zbitej z desek podłodze.

Miałam wrażenie, że spodziewała się mojej wizyty.

— Wszystko jest inne — próbowałam jej wytłumaczyć. — Nie wiem, co mam robić. Chcę wrócić tu, do twojego świata. Chciałabym, żebyś dalej mnie uczyła.

Spojrzała na mnie z uwagą.

— Nie — odpowiedziała. Jej głos nie dopuszczał sprzeciwu. — Nie czas jeszcze.

— Agnes, powiedziałaś mi, że wszystko, czego się nauczyłam, jest święte i jest tajemnicą. Czy to prawda?

— Tak, to prawda.

— Nikomu nie mogę o tym opowiadać? Z nikim tego przedyskutować?

— Nie.

— Co mam zatem począć?

Znowu przyjrzała mi się wnikliwie. Wyciągnęła ręce do przodu, równolegle nad podłogą. Dłonie zacisnęła w pięści. Potem powoli otworzyła je i trzymała nieruchomo przed sobą z wyprostowanymi ku górze palcami.

—Czy wiesz, co to oznacza? — zapytała. Potrząsnęłam głową.

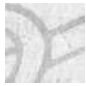
— To język znaków?

— Tak. Kiedy rozewrzesz tak palce, oznacza to dwie rzeczy. Palce symbolizują ludzi, a otwarcie ich oznacza wypuszczenie czegoś. Pozwalam ci dać tamtym ludziom świat ducha. Pozwól wieści odlecieć. Niech orzeł pofrunie.

— Co to znaczy?
— Do tej pory widziałaś już mnóstwo. Mnóstwo nie znaczy, że dość. Mówiłam ci, że może nadejść czas, kiedy będziesz musiała wybrać swoją śmierć. Ten czas już nadszedł. Jedź i napisz książkę. Wypuść z rąk to, czego się nauczyłaś. Potem możesz do mnie wrócić.

Kiedy odjeżdżałam wyboistą drogą od Agnes, powtarzałam w myślach strofy wiersza Robinsona Jeffersa:

Orzeł i Sokół z zakapturzonymi głowami rozrywają wielkimi szponami życie na strzępy. Sęp i Kruk czekają na śmierć, aby ją złagodzić. Poeta nie nasyci się swoim czasem na tym świecie, Nim nie rozszarpie go na kawałki
I sie ie także.



W przygotowaniu

James Redfield
Proroctwo Celestyny

W tropikalnej puszczy Peru odkryto starożytny rękopis zawierający dziewięć fundamentalnych wtajemniczeń w życie, które godzą w istotę świata. Śledzimy wędrówkę bohaterów w wysokich Andach, gdzie wśród dziewiczych lasów i starych ruin poszukują owego rękopisu. Wątki przygodowe łączą się z ekscytującą wizją ocalenia naszej planety przez odrodzenie duchowe człowieka i całej ludzkości, do którego, zdaniem autora, nieuchronnie dojdzie u progu nowego tysiąclecia.

Jest to książka o rozwoju duchowym, o poszukiwaniu nowych perspektyw, napisana w stylu doskonałej powieści przygodowej. Stała się największą sensacją wydawniczą ubiegłego roku w USA. Była wznawiana kilkanaście razy, łącznie sprzedano około dwóch milionów egzemplarzy i wciąż cieszy się niesłabnącym powodzeniem, nieprzerwanie znajdując się na liście bestsellerów.

W przygotowaniu

Lynn V. Andrews
Lot po siódmy księżyc

Drugi tom szamańskiej biografii Lynn V. Andrews. Bohaterka kontynuuje swą edukację, odsłaniając motywy konieczności powrotu do starej szamanki Agnes Whistling Elk w celu dalszej nauki.

Lot po siódmy księżyc to fascynujący wgląd w mało znaną kulturę Indian Kri, a jednocześnie niepowtarzalny zapis nowych, nieznanych dotąd doświadczeń autorki, która z pokorą, krok po kroku odkrywa i poznaje niezwykłe prawa natury.
Ta piękna książka dostarcza rzadką, ale gruntowną wiedzę o szamańskiej drodze, wplecioną w porywającą opowieść o kobiecej inicjacji w świat wojowniczek.

Joan Halifax, dyrektor The Ojai Foundation

Lot po siódmy księżyc to przepiękne studium nie znanej kultury... cudownie się to czyta.
„The McCormick Messenger"

Lynn V. Andrews
Kobieta jaguar

W trzecim tomie Lynn V. Andrews wkracza w obcy, mroczny świat swej osobowości. Jej niezwykła podróż w nieznane prowadzi czytelnika do nowych krain ducha i umysłu. Bohaterka mówi o gromadzeniu swej kobiecej energii, a jednocześnie otwiera przed każdym drogę do odkrycia własnej mocy. Ukazuje wyzwania, ale i nagrody, jakie czekają na świętej ścieżce poszukiwania. Głównym celem jest „stanie się tym, kim się jest".

Autorka udowadnia, że życie jest wędrówką do osiągnięcia pełni i równowagi, do zespolenia ciała i ducha, życia i śmierci...

Tę książkę trzeba postawić na jednej półce z Szamanką i Lotem po siódmy księżyc i czytać razem z tamtymi.

Bruce Woodford, „The Santa Fe Reporter"

Mamy szczęście, że żyją jeszcze takie kobiety jak Agnes Whistling Elk i Lynn Andrews, która miała okazję wstąpić na drogę szamanki i mogła nam to opisać.
„Yoga Journal"
W przygotowaniu
Lynn V. Andrews
Kobieta Wietrzny Koń

Za murami Katmandu, gdzie majestatyczne Himalaje wbijają się postrzępionymi szczytami w lazurowe niebo Nepalu — tam właśnie Lynn V. Andrews rozpoczyna swą najważniejszą podróż. Kieruje się do odległej doliny położonej wysoko w górach, gdzie poszukuje tajemnic przeznaczonych na trzecie tysiąclecie.

Wierząc, że to kobieta włada mocami uzdrawiania, Lynn podąża za swą wizją w krainę śniegu. Czeka tam na nią straszliwa męska siła — Wietrzny Koń, który — inaczej niż dotychczasowi partnerzy bohaterki, uosabiający jedynie negatywne wartości — gotów jest zaoferować namiętne małżeństwo duszy i ciała, jedność wyższej ponad wszystko miłości, zdolnej zmienić przeznaczenie Lynn, a kto wie — może i czytelnika.
Aby się zakochać, nie wolno się bać śmierci. Jeśli boisz się śmierci, nie przeżyjesz swego życia — mówi Wietrzny Koń.